

FUNDACJA  
"Archiwum i Muzeum Pomorskie  
"Krajowej Armii Krajowej i Wojskowej Służby Polci"  
37-100 Toruń, ul. Górkich 2  
15-22-186 (fax) archAK@um.torun.pl  
REGON 1470502736

# MEMORIAL

*General Marii Wittek*

FUNDACJA GENERALI ELŻBIETY ZAWACKIEJ  
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej  
oraz Wojskowej Służby Polci.  
87-100 Toruń, ul. Podmurna 33, tel. 9048 56 65 22 186  
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl



† 1991

TROJANOWSKA Maria

ps. „Rysia”

PWK PSK

361/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — TROJANOWSKA Maria  
- p. s. "Ryżnia"  
361/DSK

I/1. Relacja ✓

I/2. Dokumenty (sensu ścisłego) dotyczące osoby relatora ✓

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora ✓

II. Materiały uzupełniające relację ✓

III/1 – Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2 – Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 – Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 – Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 – inne... —

IV. Korespondencja —

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie ✓

# MEMORIAL

## General Marii Wittek

FUNDACJA GENERAL ELŻBIETY ZAWACKI  
 Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej  
 oraz Wojskowej Służby Polek  
 87-100 Toruń, ul. Pomorska 93, tel. 0546 56 65 22 186  
 e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl

Nazwa względnie stempel Archiwum

Trojanowska Maria

ps. "Rysia"

361/WSK

(nazwa zespołu, zbioru, kolekcji i sygnatury akt.)

Ip.	Nazwisko i imię korzystającego	Temat pracy (ewent. cel wykorzystania)	Data korzystania
1	Zaluzewska Anna	biogram	maj 1996
2	Korkanyja Kimylichowich	Oprowidywanie wstępne	II. 1999
3	Teresa Bojarska	Oprowidywanie biografium	22.01.1999 (wystawa) 29 VIII 1999
4	O. Góralczyk	Zbieranie materiałów do pracy o słuź.	23.03.2011
5	Mikulska Anna	poszukiwanie materiału Tow na wystawę o PSK do todrz	12.04.2012
6	Barbara Rojek	Przygotowanie teki do digitalizacji	28.05.2015
7	Karolina Dzikowska	Kwerenda do pracy magisterskiej pt. Kobiety w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie	15.05.2013
8	Nina Pałak	316 Lt PWSK wj Maria Trojanowska	12.07.2019
9	Anna Mikulska	porządkowanie materiałów	18.04.2023

# I. 1. RELACJA

1. M. Trojanowska, W więziennym kalejdoskopie, Los Angeles 1977, mps. (ksero), k. 11, s. 1-11
2. M. Trojanowska, Nieudana wyprawa kurierska i jej skutki, Los Angeles 1979, mps. (ksero), k. 8, s. 12-25
3. M. Trojanowska, Dzieci, [b.m.] 1981, mps. (ksero), k. 2, s. 26-28
4. M. Trojanowska, Transporty, [b.m.], [b.d.], mps. (ksero), 2 egz., k. 2+2, s. 29-32
5. M. Trojanowska, Było to w Forli, [b.m.], [b.d.], mps. (ksero), k. 1, s. 33
6. list Zivord'a d'Anelric do M. Trojanowskiej, Eboli 1945, mps. (ksero), k. 1, s. 34 [załącznik do pozycji nr 5]
7. M. Trojanowska, Meszce Jugosłowianie, [b.m.] 1988, mps. (ksero), k. 1, s. 35-36
8. M. <sup>k.k.m</sup> Trojanowska, Bo My z Transportu..., [b.m.w.], [b.d.], druk (ksero), k. 2, s. 37-38.
9. S. Bojawska, Maria Trojanowska - biogram, [b.m.w.], [b.d.], druk (ksero), k. 5, s. 39-44.

## W WIEZIENNYM KALEJDOSKOPIE.

Przesyłkowe więzienie w Charkowie, w sierpniu 1940 roku było niezamowicie przepełnione. Nietylko po ostatnie, siedzące miejsce, ale więźniowie zalegali wszystkie korytarze, a część ich, niemieszcząca się w budynku, pilnie strzeżona biwakowała na tyłach podwórza więziennego.

Wszyscy więźniowie zwożeni tu byli z więzień regularnych Zachodniej Rosji, gdzie po nosnych śledztwach trwających nieraz miesiącami i wreszcie odczytanych im wyroków Wierchownago Sowietu w Moskwie (bez przewodu sądowego) - znaleźli się tu przed dalszą, nieznaną, drogą przeznaczenia do łagrów - obozów pracy przymusowej, rozsianych po całej Północno-Wschodniej części Z.S. R.R.

W naszej celi, 12 x 15 stóp objętości, na 56 znajdujących się tam kobiet było tylko 4 łóżka, na których w nocy spało po 4 kobiety na każdym. Reszta spała nieraz siedząc na kamiennej podłodze. Zwisające nogi "uprzywilejowanych", z łóżek w północy nieraz dotknęły czyjejs głowy na podłodze, lub gdy zaszła potrzeba dobrnięcia do "paraszy" przez ciasno zbite ciała ludzkie - podnosił się głośny, gwałtowny i soczysty protest deptanych i za chwile w całej celi wrzało. Dopiero "bojce", wartownik na zewnątrz, uderzeniami w drzwi i groźnymi okrzykami zmuszał mieszkanki celi do przywrócenia względnego spokoju.

Budzono nas o 6-ej rano i kolejno, celami wypuszczano do ubikacji, gdzie jednocześnie można było, przy pomocy łokei dobrać do zlewu i odświeżyć wodą ręce i twarz. Myśla nie byłoby.

O 7-ej rzadawano nam dzienną porcję chleba i cukru, które

odrazu zjadaliśmy, zapijając to ciepłą, brunatną cieczą bez nazwy i smaku.

Upalne lato, zaduch dawno nie mytych ciał i niepranej oddawna odzieży, także przepełnione nieraz poza brzegi "paraszy" - beczki z ludzkimi odchodami, paraliżowały w ciągu dnia nie tylko ruchy stóp - ezonych ciał, ale i pracę mózgow. Siedzące lub leżące na podłodze, marzące o zmianie pozycji przysiadają chociaż na krótko na brzegach łóżek, to też pozycje "uprzywilejowanych", na łóżkach były zawsze jednakowe - kolana pod brodą.

Przewidziane regulaminem więziennym 15-tu minutowe spaceru, bez prawa prowadzenia rozmów, po bardzo ograniczonej przestrzeni więziennego podwórza były skrócone niekiedy do poniżej 10-ciu minut.

Wracając ze spaceru przechodziliśmy obok cel męskich, drzwi których zawsze były otwarte ze względu na brak w nich powietrza. Ich cele były o połowę mniejsze od naszej, przy mniej-więcej tej samej ilości więźniów. Niesamowicie brudni, zarosnięci, w pół leżącej pozycji w waleta, oparci głowami o ściany wypełniali całą przestrzeń celi bez przejścia pośrodku. Uderzający był widok ich twarzy, wynędzniałych i apatycznych. Byli to przeważnie polacy. Stanowili oni w tym okresie czasu około 70% ilości wszystkich uwięzionych.

Około godz. I-iej dawano nam nieokreślonego rodzaju zupę z dodaną łyżką kaszy. Każda z nas miała drewnianą miskę, ale łyżek nie było. Zupę się piło a kaszę wyjadało się palcami. Po tym posiłku czekało się na następny, "kolacje", która składała się z takiej samej, południowej zupy ale już bez kaszy. Bardzo często dawano nam tylko kubek owocowej herbaty.

Wieczory, po lekkim ochłodzeniu powietrza były już trochę różniejsze. W naszej celi miałyśmy 6 mniszek starej daty, pamiętające jeszcze okres przedrewolucyjny, gdy zamieszkiwały liczne wtedy klasztory rosyjskie. Sterane fizycznie, miały jeszcze duże siły duchowych, głęboką wiarę i potrzebę podzielenia się nią z otoczeniem. Gdy tylko zapadał zmrok, bez pytania, bez uzgadniania między sobą, rozpoczynały na głosy śpiewy pieśni cerkiewnych. W celi zapadała cisza. Zapadało w ciszę całe więzienie i wbrew przepisom więziennym nie słyszało się wtedy i wartowników. Obecne w celi prosiły niekiedy o dodatkowe pieśni, coteż mniszki czyniły chętnie.

Po rewolucji, gdy wszystkie klasztory przeszły na własność Państwa, mnichom i mniszkom wydano paszporty i kazano im szukać pracy i inne miejsce zamieszkania. Pewna ich ilość odmówiła jednak przyjęcia paszportów, ponieważ były one czerwonego koloru a więc pochodziły od djabła. W Z.S.R.R. nikt nie może zmieniać miejsca zamieszkania bez zezwolenia władz, lub wogóle podróżować bez dowodu osobistego. Tacy, którzy nie stosują się do tych przepisów uważani są za włóczęgów i podlegają karom więzienia. Nasze mniszki rekrutowały się z tej właśnie grupy obywateli. Odsiedziawszy za włóczęgostwo kilka miesięcy w więzieniu i odmawiając w dalszym ciągu przyjęcia paszportów wędrowały w świat aż do następnego zatrzymania i ponownego osadzenia w więzieniu. I tak wędrują one po przez resztę swego życia od wielu lat.

Moje najbliższe sąsiadki po łóżku, rosjanki były zawodowymi złodziejkami. Mimo że były młode (17cie, 19cie i 26lat), to czuły się w więzieniu jak u siebie w domu, bo z małymi przerwami na wolności, przychwycone ponownie na złodziejstwach wracały do więzienia. Czasami w nocy, gdy duchota nie pozwalała usnąć prowadziły między

soba, pocichu "zawodowe" rozmowy narzekając na niepowodzenia i zły los. Wtedy, tak samo pocichu wtraciłam się kiedyś do tej rozmowy z zapytaniem, czy nigdy nie brały pod uwagę możliwości zmiany zawodu i prowadzenia względnie spokojnego życia na wolności. Wtedy, 26cioletnia Lena, gruzliczka opowiedziała mi coś o swoim życiu. Rodziców nie znała. Wychowywała ją jej Babka posyłając do szkół i usiłując naprowadzić ją na właściwą drogę życia. Właśnie w szkole przyłączyła się do małej grupy kieszonkowców i odtąd rozpoczęła się jej karjera złodziejska. Wyszła zamąż za złodzieja, miała z nim synka, którego znów wychowuje Babka, a za którym - jak twierdzi bardzo tęskni. Gdy chłopak miał 2 lata, zdecydowała się skończyć ze złodziejską karierą i rozpocząć nowe życie dla syna. Zaczęła studjować, ukończyła nawet Technologiczny Instytut i poszła do pracy w swoim, nowym zawodzie. Ale przyjaciele lat ubiegłych o niej nie zapominali. Początkowo były to tylko przyjacielskie wizyty, a później jeden i drugi poprosili ją o przyjacielską przysługę przechowania drobnych rzeczy jak wiedziała pochodzących z kradzieży. Odmówić nie mogła, bo bała się o los swego synka. I tak powoli, ale systematycznie wciągnięto ją spowrotem do starego, złodziejskiego zawodu i nałogu. "Nie myśl, że to jest łatwo zmienić zawód złodziejski. Jesteś już znana, znajdą cię wszędzie i zawsze wciągną spowrotem na tą samą drogę. Czuję coraz mniej sił fizycznych i nie potrafię już walczyć".

Pewnej nocy usłyszałam jak najmłodsza, Katia zwierzała się szeptem Lenie, że zauważyła, że w moim małym tobołku przechowuje parę ładnych, kolorowych chusteczek do nosa, że bardzo one jej się podobają, że nie na to poradzić nie może, ale musi mi je ukraść. Czułam po prostu, że Lena była zszokowana tym oświadczeniem. Kategoriecznie sprzeciwiła się jej zamiarom i zagroziła, że jeżeli ona to uczyni, to po wyjściu z więzienia, to opowie złodziejskiemu bractwu jakto Katia po-



gwałciła prawo etyczne swego zawodu kradnąc od sąsiadki-wieźniarki i że karjera Kati może się bardzo źle dla niej skończyć.

Następnego ranka, udając, że porządkuję zawartość swego tobołka wyciągnęłam 3 chusteczki do nosa i obdzieliłam nimi 3 moje sąsiadki. Były tym mile zaskoczone a szczególnie rada była temu właśnie Lena.

Następnego dnia, o godz. 5-ej rano drzwi celi nagle się otworzyły i stanęła w nich, w asyście "bojca" kobieta w białym fartuchu. Głośno zapytała:

"Czy która z was ma ochotę pójść do pracy w tutejszym szpitalu?".

W jeszcze uspiionej celi podniosły się do góry trzy reki. Jedną z nich to moja. Kobieta uważnie przyjrzała się nam trzem i wreszcie palcem wskazała na mnie i na Lubę, w średnim wieku rosjankę.

Po dziś dzień nie wiem jak to się stało, że wybrała mnie, polkę, cudzoziemkę, co było sprzeczne z regulaminem więziennym.

Poszliśmy z Luba i kobietą w białym fartuchu - jak się później okazało kierowniczką szpitala do budynku szpitalnego. Kierowniczka dała nam pobieżnie instrukcje co do naszych nowych obowiązków. Zaczęłam od mycia ciężko chorych, prześcielenia łóżek, wynoszenia basenów, mycia podłóg w dwóch salach chorych i korytarzu. Potem asystowałam lekarce, przekazującej mi instrukcje co do poszczególnych chorych z rozdawaniem lekarstw włącznie. W południe roznosiłam na talerzach jedzenie a potem zmywałam naczynia, także i po kolacji. O 6-ej wieczorem przychodził po mnie i Lubę "bojca" i odprowadzał nas do naszej celi.

Najgorzej przedstawiała się sprawa mojego obuwia. Miałam wprowadzić moje narciarskie buty, ale widziałam, że one mi na długo

już nie wystarczą, a w perspektywie zima i nieznane łagry na północy.

Jeszcze w więzieniu w Dniepropietrowsku, przewidując konieczność zaoszczędzenia moich butów, przemyślałam nad możliwością przynajmniej na lato zrobienia sobie jakichś trepek. Pomysł dobry, ale wykonanie napotykało na bardzo duże trudności. Nie było odpowiedniego materiału, ani nici, ani nożyczek. Wśród kilkudziesięciu polek w naszej celi ochroniliśmy skutecznie przed wszystkimi rewizjami jedną, bardzo cenną dla nas igłę. Kiedyś, podczas 15-tu minutowych naszych spacerów, na podwórku więziennym niepostrzeżenie <sup>udało się którejś</sup> podnieść z ziemi małą kawałeczek szkła, który - jak za różdżką czarodziejską stał się niezastąpioną parą nożyc. Przy innej okazji, w tenże sam sposób udało się nam zdobyć 2 nierówne patyki, które zastąpiły nam druty i w celi rozpoczęła się masowa przeróbka swetrow, spodnic, bluzek, bo nicie wyciągaliśmy z naszych, zawszonych kocow.

Dla zabezpieczenia naszej tajemnicy przed nagłymi, niespodziewanymi rewizjami, jedna z nas prawie stale nadśluchiwała pod judaszem znajome nam już w każdym niemal ruchu hałasy na korytarzu.

Trepki uszyłam sobie także z koca.

Ale w szpitalu, moja дума - trepki okazały się nieprzydatne. Mieliśmy wtedy dużo wypadków dezynтерии i krwawej biegunki. Ubikacje były oblegane i w użyciu przez 24 godziny na dobę. Każdy wynoszony basen, to przeprawa przez ludzkie odchody. Przy wiejsiu więc do szpitala chowałam moje trepki i biegałam boso. Mydła wtedy oczywiście nie było w całym szpitalu nawet na lekarstwo. Naczynia zmywałam tylko ukropem, to też ręce i nogi miałam, czerwone, obrzmiałe i poparzone.

Nie narzekałam. Wprost przeciwnie. Stale byłam na nogach i w ruchu, którego po półrocznym pobycie w więzieniu bardzo potrzebowałam.

Czułam się także potrzebną. Więcej niż połowę pacjentów stanowili polacy w różnym stadium chorób. Mogłam zamienić z nimi kilka słów,

czasami nawet zażartować, przemyć z celi machorkę.

Zdarzało się także, że musiałam komuś, poraz ostatni zamknąć oczy nie znając go ani z imienia i nazwiska ani z miejsca urodzenia.

Szczególnie emocjonalnie przeżyłam jeden wypadek.

Zaśaz pierwszego dnia mojej pracy w szpitalu, gdy myłam podłogę w korytarzu, a Luba robiła to samo od drugiego jego końca naskoczyła na nas lekarka, że zaniedbujemy nasze obowiązki w odniesieniu do bardzo ciężko chorych w dwóch separatkach, o istnieniu których wogóle nic nie wiedziałyśmy. Wskazując na mnie palcem powiedziała:

"Jeden z chorych to twój rodak. Ja go zupełnie nie mogę zrozumieć".

Zaprowadziła Lubę do separatki, w której leżał już półtrup młodego rosjanina, a mnie wepchnęła obok, do drugiej separatki i wskazując na chorego powiedziała:

"Chłopak ma tyfus. Stan jest bardzo ciężki i nawet gdybym miała jakie lekarstwo, to i tak by to mu nie pomogło. Tylko troskliwa opieka i pobudzanie jego woli do chęcia życia. Od tej chwili zostawiam go pod twoją opieką i na twoją odpowiedzialność".

Lekarka wyszła z separatki a ja zbliżyłam się do łóżka i zaczęłam przyglądać się choremu. Był to młody chłopak lat około 18-tu. Zamknięte oczy i wychudzona, wynędzniała twarz o bardzo regularnych rysach.

Przysiadłam na łóżku i powoli, cicho, ale dobitnie zaczęłam przemawiać do niego:

"Jestem polką, jak i ty i więźniarką, jak i ty a na imię mi Maria. Mam cię wziąć pod swoją opiekę, na tak długo, aż o własnych

siłach podniesiesz się z łóżka. Musisz ze swej strony dołożyć wszelkich starań, by to dokonać, a wiem że cię na to stać, bo jesteś i będziesz potrzebny Polsce już w niedalekiej przyszłości".

Zauważyłam pewną zmianę w wyrazie jego twarzy. Bruzdy przy oczach pogłębiły się jakby od wysiłku myślowego, powieki zaczęły drgać i za chwilę spojrzały na mnie mętne, ale olbrzymie, jasno - niebieskie oczy.

"Jesteś Polką i nazywasz się Maria?" - zapytał ledwo dosłyszalnym szeptem.

"Tak. A jak ty się nazywasz?"

"Juleczek".

"Piękne imię. A nazwisko?"

Nie dostałam odpowiedzi a oczy znów się zamknęły. Widziałam, że jest bardzo wyczerpany i w bardzo złej formie. Nasunęła mi się obawa, że może to są już jego ostatnie godziny, że gdzieś tam w Polsce ma pewno rodzinę, że gdybym mogła coś więcej o nim wiedzieć, to bym w przyszłości znalazła możliwość zawiadomienia jej o jego losie. Zaczęłam więc znów mówić spokojnie i powoli:

"Nie bój się mnie. Jestem twoim przyjacielem, nie wrogiem. Jędziemy na tym samym koniu. Musimy mieć wiarę w przyszłość i w naszą wolność, a wtedy będziemy razem walczyć z naszym, wspólnym wrogiem i to w mundurach. Jak ci się podoba myśl o mundurze? Skąd pochodzisz?"

"Z W... " - padła ledwo dosłyszalna odpowiedź.

"Masz tam kogoś z rodziny?"

"Matkę, Wiktorję Ch... Ale wy jej nie wsadzicie do więzienia? Wystarczy, że ja tu jestem. Szedłem na Węgry, do naszego wojska. Złapali mnie i innych przy samej granicy. Ale wara od mojej matki."

wiedziała, że pewno on teraz usnie, ale niebezpieczeństwo wciąż istnieje, nie wolno mi więc go zostawić samego ani przez chwilę i w razie zmiany na gorsze wołać ją.

Znalazłam się w bardzo trudnej sytuacji, bo nikt nie przejął moich obowiązków na salach. Nie wykonać je to sabotaż i kilka dodatkowych lat do wyroku. Ale jeżeli coś się stanie Juleczkowi? Ta sama perspektywa. I wtedy naprawdę zaczęłam biegać do sal i spowrotem do otwartych drzwi separatki. Ale szczęśliwie Juleczek spał przez kilka godzin bez przerwy. Pamiętając przestrogi lekarki zwróciłam się do kierowniczkii szpitala, by pozwoliła mi zostać przez noc przy Juleczku. Ale było to wbrew regulaminowi więzienia i o 6-ej musiałam wrócić do celi.

Tej nocy wcale nie spałam. Myśli moje wędrowały po przez wszystkie doświadczenia ostatniego roku poczynszy od 1-go września, bombardowania Warszawy i jej bezbronnej ludności, kilka kurjerskich wypraw na Zachód i Wschód, nieudane przejście, aresztowanie, więzienie, ciężkie nocne badania przez NKWD, perspektywa nieuniknionego, dalekiego łagru a teraz jeszcze Juleczek. Myślałam biegłam do Boga, ale czy to można nazwać modlitwą?

O 5-ej rano byłam już gotowa do wyjścia. Czekanie do 6-ej było najnieznośniejsze. Czy zastanę separatkę z Juleczkiem, czy też już pustą? Wreszcie Szpital i pierwsze kroki do separatki. Jest Juleczek! Duże niebieskie oczy wpatrzone w drzwi, ale ani ręką, ani nogą ruszyć nie jest w stanie, cały oblany potem. Cichy, niewyraźny szept:

"Czekałam na ciebie, ale teraz usnę".

Spał przez cały dzień i wtedy, gdy go myłam, zmieniałam koszulę, przescierałam łóżko i karmiłam. Spał także, gdy opuszczałam szpital.

Przez kilka następnych dni był wciąż słaby i apatyczny. Nie chciał nic jeść, bo mu nic nie smakowało. Zaczęłam więc ponownie przemawiać do jego rozsądku. Przekonywającym bodaj moim argumentem było, że nikt w Rosji leprzego jedzenia mu nie da i że przejściowo, zanim znajdzie się w wojsku, w łagrze będzie musiał zdobywać je ciężką pracą a więc musi mieć siły, a więc wszystko co mu przynoszę powinien jeść i Bogu dziękować.

Zdawało mi się, że mnie nie słyszy, ale posłusznie otwierał usta do każdej, podanej mu łyżki strawy.

Po dwóch dniach, gdy stałam w progu separatki, by jak zwykle rzucić okiem na niego - zamarłam z przerażenia. Był bardzo niespokojny prawie tak jak podczas kryzysu a przez całe jego ciało przechodziły wstrząsy, ręce i nogi poruszały się.

Podeszłam do łóżka i siląc się na spokój, dość równym głosem zapytałam:

"Co ci jest, Juleczku?"

"Nic mi nie jest" - odpowiedział, "ale sama mi powiedziałaś że muszę być silny, zdolny do marszów i ciężkiego życia w łagrze, więc gimnastykuję się. Także postanowiłem, że od dziś będę jadł całe to świństwo, które mi przynosisz i już za kilka dni zrobię ci niespodziankę moją doskonałą formą fizyczną. Zobaczysz."

Następnego dnia przeniesiono go na ogólną salę zajętą prawie w 100% przez Polaków. Pierwsze kroki stawiał jeszcze opierając się o moje ramię. Po trzech dniach, gdy przechodziłam obok sali stał w drzwiach i usmiechając się powiedział:

"Widzisz, daję już sobie sam radę. Jeszcze kilka dni i będę gotów do walki ze wszystkim i ze wszystkimi, zobaczysz."

Ale nie zobaczyłam. I po dzień dzisiejszy nie wiem, czy

1/11

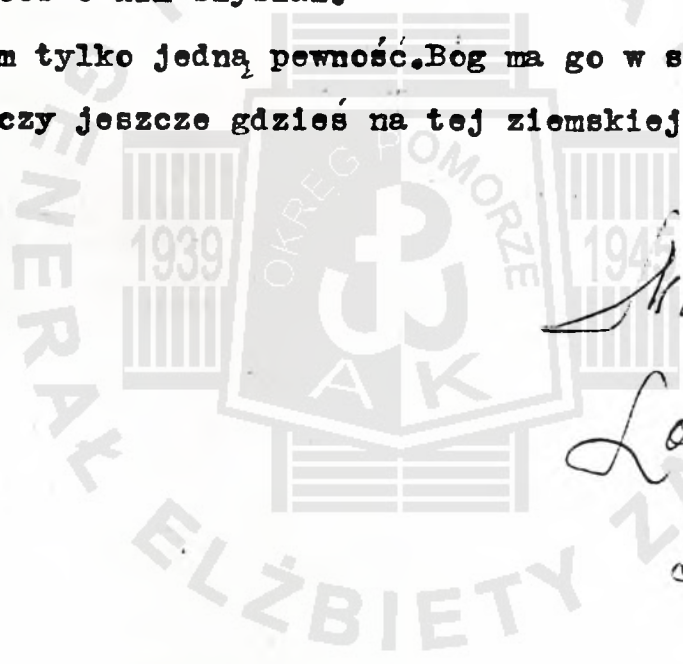
rzeczywiście kiedykolwiek miał możliwość i okazję do jakiegokolwiek walki.

O 5-ej rano następnego dnia kazano mi zabrać mój tobołek, zaprowadzono do pustej celi przejściowej od góry do dołu zapisanej imionami i nazwiskami przeważnie polskimi a po kilku godzinach zaprowadzono na stację, wsadzono do bydłowego wagonu i rozpoczęłam długą drogę w nieznaną.

Po roku nowych doświadczeń w lagrze, dzięki Opatrzności znalazłam się wśród tysięcznych szeregow naszego, polskiego wojska.

Juleczka nigdzie nie znalazłam, ani też kogoś, kto by go spotkał, lub coś o nim słyszał.

Mam tylko jedną pewność. Bóg ma go w swojej opiece niezależnie od tego, czy jeszcze gdzieś na tej ziemskiej kuli żyje.



*Maria Trojanowska*

*Los Angeles*

*5-22-1977*

do Leski B. Klyntomlowej  
(ze wst. mego podpisu na liście) - 22 12 98  
11/8 12/11  
M. Klyntomlowej

Elzbieta Zawacka

BYŁO TO W FORLI.

Któregoś dnia moja gospodyni, włoszka, u której wynajmowałam pokój przyprowadziła do mnie jakiegoś Pana po cywilnemu mówiącego, że ten pan ma mi coś do powiedzenia. Mówić było trudno, bo gość mówił po jugosłowiańsku a ja tego języka nie znałam. Przeplatał go więc trochę włoskim.

Z tego coś zrozumiałam, uciekł on od ludzi, którzy go chcieli zamordować i prosi o pomoc by się dostać do kogoś z naszego Sztabu Korpusu, bo ma takie zlecenie od swoich, jugosłowiańskich władz.

Był to już późny wieczór, więc nic innego mi nie pozostało jak poscielić mu w przylegającej komóreczce i dać mu się wyspać.

Rano, po śniadaniu wsadziłam go do taksówki i pojechaliśmy do naszego Sztabu. Tam odszukałam kpt. Wozniaka i PRZEKAZAŁAM mu mego niespodziewanego gościa nocnego.

Po jakimś czasie dostalam od tego pana list pisany po jugosłowiańsku i załączoną do niego odznakę dla mnie dotąd nie znaną.

Pojechałam do Płk. Wysłouchowej, która znalazła tłumacza.

Załączam kopię tego listu.

Odznaka z dużym litera "P" (pisana po rosyjsku) zaczęłam wtedy nosić na mojej "prawej" kieszeni munduru. Jest ona przypięta do mojego frencza, który w tym roku zdałam FUNDACJI I CENTRUM 2go KÓRPUSU w Orcha Lake, Michigan.

Kopia listu PPulk. ZIVOSADA d Andric jest też u was w moich papierach ale na wszelki wypadek raz jeszcze go posyłam, by wiozyc go do prawej kieszeni frencza, do której jest przypięta odznaka.

x) "P"

Elzbieta Zawacka



Maria Tr<sup>1</sup>/<sub>12</sub>

Maria Trojanowska

zuzinic tytut

NIEUDANA WYPRAWA KURJERSKA

I JEJ SKUTKI.

Wspomnienie o pomysłach i przygotowaniu  
gen. W. Tokarskiego 26 VII do końca 1940r

[notatka prof. Elżbiety Zawackiej]

Los Angeles, California  
Lipiec 1979rok

Maria Trojanowska

mjr.

\* wzmianka

Gdy w ostatnich dniach stycznia 1940r. wróciłam z nad granicy węgierskiej, po odprawieniu dwóch emisariuszy naszego Rządu w drogę powrotną do Francji, odwiedziła mnie HAKA (mjr. Janina Karas'), moją stałą łączniczkę, od której jedynie jako kurjer przyjmowałam zlecenia i instrukcje. Zdałam jej sprawozdanie z w/w wyprawy obfitującej w bardzo emocjonujące miejsca momenty. Po zakończeniu tej rozmowy HAKA zapytała mnie czy zgodzę się samotnie odbyć drogę do Paryża? Przyjdzie za trzy dni z instrukcjami i wskazówkami dotyczącymi tego nowego zadania. Zgodziłam się orazu, bo odpowiadał mi bardzo projekt samotnej wędrówki bez odpowiedzialności za innych, tylko za własne decyzje i ewentualne pomyłki.

Przez trzy dni odpoczywałam niecierpliwie oczekując przyjścia HAKI. Gdy trzeciego dnia wieczorem przyszła - od razu wyczułam pewne zahamowanie w naszej rozmowie. Do tenatu Francji nie wróciła. Poprosiła natomiast, bym z ręką na sercu odpowiedziała jej, czy pójmę się odprowadzić do Lwowa gen. Tokarzewskiego, pierwszego dowódcy ruchu oporu w Polsce przeciwko okupantom niemieckim, powstałego pod nazwą "Związek Walki Zbrojnej" (Z.W.Z.) General idzie tam z zadaniem rozbudowania ruchu oporu po stronie okupacji sowieckiej. HAKA odwołała się do mojego serca i sumienia zanim powzięję decyzję.

Powzięcie decyzji tego rodzaju było dla mnie bardzo trudne. Widziałam już siebie w drodze do Francji po przez góry i granice, ale nie widziałam siebie ponownie na drodze do Lwowa, bo już tam byłam w październiku 1939r. tuż po zajęciu go przez wojska sowieckie, nawiązując po drodze kontakty także już i we Lwowie.

Na temat Rosji miałam od dzieciństwa uraz. Urodziłam się w Kijowie, gdzie przeżywałam do 16-go roku swego życia i gdzie przeżyłam okres rewolucji, który po dzień dzisiejszy pozostawił w mej pamięci niezatarte obrazy koszmarów bezprawia i ludobójstwa.

Ale drogę przez lubelskie i Rawę Ruską już znałam i o przewodników wtedy nie było trudno bo ówczesna granica sowiecko-niemiecka przecinała gospodarstwa małorolne w ten sposób, że dom pozostawał po stronie sowieckiej a pola, z niezebrnymi jeszcze plonami jesiennymi - po stronie niemieckiej. Ludność, szczególnie wiejska co dnia lub nocy narażała się bolszewikom dla możliwości zebrania chociażby pół worka kartofki z własnego pola, bo rodzinę trzeba było czymś nakarmić.

Ponadto ważność misji gen. Tokarzewskiego kazała mi odsunąć wszystkie moje zastrzeżenia i niechęci i potraktować chęć wyprawy do Francji jako egoizm z z mojej strony. Także rozchodzące się już po Warszawie pogłoski o wyznaczeniu przez Niemców nagrody w wysokości 100.000 zł. za wskazanie miejsca ukrywania się generała w dużym stopniu przyczyniły się do powzięcia decyzji pójścia z generałem.

Ponieważ osobiście nie znałam generała, HAKA podała mi jego adres, godzinę i umówione hasło, abym poszła do niego zameldować się nazajutrz.

Rozmowa z generałem była krótka. Za dwa dni wyruszamy. Z tej rozmowy wynikło jednak, że generał ma już trasę ułożoną nie pokrywającą się z moją. Namy jechać po ciąguem do Przeworska i w najbliższych jego okolicach przejść rzekę San.

Nie wypadało mi się już cofnąć.

Pojechaliśmy we czwórkę: generał - jako lekarz Tadeusz Mirowski, Antonina Płomska, Ewelina Karas' (siostra Haki) i ja. Obie panie poznałam dopiero na warszawskim dworcu. Nie byłam uprzedzona, że poza generałem jeszcze ktoś jedzie.

Do Przeworska przyjechaliśmy przed zmrokiem. Na dworcu spotkał nas Piotr Świetlik, jeden z przedstawicieli Stronnictwa Ludowego tamtejszego okręgu, widocznie znany generałowi, bo na dworcu od razu do siebie podeszli. Zaprowadził nas do powiatowego przedstawiciela Str. Lud., kapitana rezerwy (nazwiska niestety nie pamiętam), który - znając naszą sprawę poinformował nas, że Piotr Świetlik ma już opracowane wszystkie szczegóły i możliwości naszego przetrzutu przez San; że ma już przygotowany dla nas nocleg, że trasa jest już wytyczona i że w odległości około 20 km., przy samym brzegu rzeki następnego dnia wieczorem, w umówionej chacie będzie na nas czekał przewodnik. Pożegnaliśmy kapitana i Świetlik odprowadził nas na kwaterę do swego przyjaciela też ludowca, mieszkającego w skromnym domku z żoną i dwojgiem małoletnich dzieci.

Następnego dnia rano, sanie zaprzężone w parę koni już czekały przed domem. Po przez małe osiedla i wioski ruszyliśmy do leśniczówki naszego następnego miejsca postoju. Od tej leśniczówki do brzegu Sanu pozostałoby około 7-tu kilometrów.

37/14.

W drodze do lesniczówki zaskoczyło mnie niecodzienne zjawisko w okresie konspiracji. Spotykani po drodze wieśniacy, zarówno mężczyźni jak i kobiety, przypatrując się naszym saniom przystawali z rozjasnionymi twarzami i głośno witali "naszego generała", mimo że miał długą brodę, futrzaną czapkę i podniesiony, futrzany kołnierz. Później, przypomniały mi się wydarzenia i wypadki o charakterze raczej politycznym, które miały miejsce przed kilku laty na terenie Małopolski, a w których generał brał udział do pewnego stopnia jako rozjemca i pośrednik pomiędzy tamtejszą ludnością a czynnikami rządowymi w Warszawie. Był wtedy bodaj D-ca O.K. Lwów. Patrząc zaś obecnie na te powitania pomyślałam, że generał podjął się zadania prawie nie do wykonania.

W lesniczówce, gościnni gospodarzy przyjęli nas obiadem, po którym nastąpiła narada już z udziałem lesniczego. Potwierdził on, że w umówionej chatce tuż przy brzegu rzeki będzie czekać na nas przewodnik i przejdzie z nami na drugą stronę. Czując się odpowiedzialna za szczęśliwe przejście generała przez granice, oświadczyłam, że tylko ja tej nocy przejdę na drugą stronę i tam postaram się znaleźć cniwilowe, bezpieczne schronienie dla reszty zania ruszymy dalej na Jarosław. Świetlik żadnej koncepcji co do dalszych możliwości nie miał.

Tak więc koło godz. 9-ej wieczór podwieziono mnie saniami po przez długi las aż do przybrzeżnej wioski, gdzie konie zawróciły a ja poszłam do umówionej chaty. Jeszcze w lesniczówce uprzedzono mnie, że na plebanji, koło której muszę przejść zakwaterowany jest niemiecki posterunek. Dobrzełam wreszcie do zupełnie ciemnej chaty i w umowiony sposób zastukałam do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Pchnęłam je i otworzyły się one bez trudu. Chata pusta za wyjątkiem siennika w kącie izby z ogarkiem dopalającej się lojówki na podłodze przy sienniku. Na sienniku stara babina. Zapytałam o Stefana. Odpowiedziała, że nie było go tu przez cały dzień a czy dziś jeszcze przyjdzie - nie wie, raczej nie i nie radzi mi tu czekać, bo patrol niemiecki prawie co noc tu zachodzi.

Wyszłam z chaty w dużej rozterce. Przewodnik nawalił, jest noc, do lesniczówki kilka kilometrów lasu, którego nie znam, ciemna, uśpiona wioska i zresztą nieznam tu nikogo. Łnąc w śniegu poszłam polem na zdaleka czerniejące chaty, w przeciwnym kierunku od parafii. W pewnym momencie usłyszałam za sobą cichy szum śniegu pod czujnymi stopami. Przystanąłam. Ciemna, męska postać zrównała się ze mną. Zapytałam, czy jest tutejszy i czy przypadkiem nie mógłby mi doradzić gdzie mogłabym przeczekać. Owszem, jest tutejszy i zna tu pewnego muzyka z b. orkiestry wojskowej mieszkającego tu z żoną i dziećmi, który - jest pewien, że udzieli mi noclegu i tam mnie zaprowadzi. Poszliśmy do jakiegoś zagrody, on za-pukał, światło się zapaliło i we drzwiach stanął młody mężczyzna. Młoda kobieta zapewne żona zajęła się przygotowaniem pościeli na ławie tuż pod oknem. Prawie nie rozbierając się ułożyłam się na pościeli, światło zgasło i po chwili wszyscy już spali za wyjątkiem mnie. Napiecie nerwowe, specyficzny odór pluskw, które zaczęły po mnie łazić i zapach nieświeżej bielizny pościelowej. To wszystko spędziło sen z moich powiek. Odtworzyłam w pamięci przebieg ostatnich dni i godzin. Coś gdzieś nie grało. Muszę nikomu nie przeszkadzając doleżeć do switu i natychmiast ruszyć do lesniczówki. Muszę zatrzymać generała przed wyruszeniem moim śladem.

Gdy za oknem zaczęło nieco szarzeć podniosłam się z ławy, ale jednocześnie obudzili się gospodarz. Chciałam od razu ruszyć w drogę, ale mnie zatrzymano obiecując, że za 10 minut będę już po śniadaniu i wtedy pójdę. Skusił mnie projekt napicia się gorącej herbaty. Gdyśmy skończyli skromne śniadanie odruchowo spojrzałam w okno i zobaczyłam patrol niemiecki tuż na ścieżce do zagrody. Na moim zegarku była 6-ta rano.

Niemcy weszli do zagrody i nie pukając weszli do izby. Jeden z patrolu przyjrzał mi się i zaczął po niemiecku mnie wypytywać. Nie odpowiedziałam. Gospodarz łamana niemiecką powiedział, że zapukałam w nocy prosząc o nocleg, którego mi udzielił i że pewno nieznam niemieckiego i dlatego nie odpowiadam. Wtedy drugi z patrolu łamaną polszczyzną zalatującą śląską gwara powiedział mi, że zabiora mnie na posterunek i tam mnie już o wszystko wypytają. Podziękowałam gospodarzom za nocleg i śniadanie przepraszając za kłopoty związane z moją tu obecnością.

Niemcy poprowadzili mnie po przez wieś. Przystanęli koło domu sołtysa, ale nie było go w domu tylko jego żona. Ślązak powiedział jej, że mają jeszcze kilka spraw do załatwienia we wsi i że zostawią mnie tutaj na godzinę na jej odpowiedzialność. Kobieta wprowadziła mnie do schludnego pokoju gościnnego i zapytała, czy może mnie zostawić sama, bo ma dużo roboty przy gospodarstwie. Zapewniłam ją, że nie uciekne, bo nieznam tu nikogo i niechcę nikogo narazić na duże przykrości. Ale mam do niej prośbę, by dała

\* Mój przygodny przewodnik wyłuszczył mi moją sprawę i gospodarz bez słowa wpuścił mnie do środka.

znać na lesniczówkę, że Maria została aresztowana. Nic mi nie odpowiedziała i wyszła z pokoju.

Po godzinie wrócili Niemcy i ruszyliśmy na drugi koniec wsi, do zabudowań parafialnych. Tam wprowadzili mnie do pokoju stołowego. Na stole resztki jedzenia i brudne talerze. Po chwili do pokoju wszedł niemiecki porucznik w towarzystwie podoficera. Porucznik zamienił kilka słów z patrolem, następnie zwrócił się do mnie z zapytaniem co tu robię, skąd przyszłam, gdzie stale mieszkam i czy mam dowód osobisty. Nie odpowiedziałam, tylko spojrzałam na ślązaka. Powtórzył mi te pytania po polsku. Powiedziałam, że jestem z Krakowa, bez pracy, że mam kilkoro dzieci, że w Krakowie nic do jedzenia dostać nie można, że nie mam czym nakarmić moje głodne dzieci i że mi doradzono, bym jechała po żywność na wieś i wskazano mi także i tę wieś, gdzie ewentualnie mogę nawet kupić prosiaka. Dojechałam pociągiem do najbliższej tej wsi stacji z wielkim opóźnieniem, a gdy piechotą doszłam do wsi była już prawie noc. Nieznając tu nikogo przypadkiem dotarłam do chaty, z której mnie patrol zabrał a gdzie prosiłam o nocleg.

Oficer (bawarczyk) półgłosem porozumiał się z podoficerem, odprawił patrol i wyszedł z pokoju. Podoficer (prusak) kazał mi zostawić na oknie mój koszyczek, co też uczyniłam wyjmując z niego całą więcej niż skromną zawartość kładąc ją obok na oknie. Zrobiłam to celowo, by odwrócić uwagę od pustego koszyczka, bo w rączce jego miałam ukryty studolarowy banknot dany mi w Warszawie na pokrycie wydatków w drodze i pierwszych dni w Lwowie.

Podoficer zaprowadził mnie do małego pokoiku, nieumeblowanego, w którym dużo miejsca zajmował piec obecnie zimny. Okrzykami i ruchami rąk kazał mi stanąć przy piecu, zrzucić wszystko co miałam na sobie na podłogę i wskazując na zegarek dał do zrozumienia, że wróci za 10 minut. Zdecydowałam się jednak zdjąć ze siebie kożuch, sukienkę, buty i pończochy. Zapowiedziane 10 minut przedłużyły się, to też solennie zmarzłam.

Przyszli obaj. Podoficer od razu rzucił się do pieca, wygarniając z niego wszystko do przyniesionego ze sobą pudła. Spodziewał się widocznie, że mogłam coś w nim ukryć. Następnie, bardzo dokładnie obmacał wszystkie rąbki mojej bielizny, sukienki, kożucha i pończoch. Obejrzał dokładnie także i buty. Wszystko bezskutecznie. Pienił się ze złości. Oficer usiłował go uspokoić. Zwrócił się do mnie z zapytaniem czy znam Łancut. Automatycznie słowo Łancut powtórzyłam w brzmieniu niemieckim jednocześnie przecząc kiwając głową. Podoficer skoczył krzycząc, że ja kłamie, że nieznam niemieckiego, bo nie tylko zrozumiałam pytanie, ale wymówiłam Łancut w brzmieniu niemieckim. Oficer spokojnie mu odpowiedział, że to nie jest żaden dowód mojej znajomości języka. Na to podoficer wyskoczył z pokoju i po chwili wrócił z moją torebką cukru, którą zostawiłam na oknie. Podniesionym głosem powiedział, że ja kłamie mówiąc, że jestem z Krakowa, bo na tej torebce jest firma warsawska i że trzeba mnie odesłać do Gestapo, gdzie mnie rozszyfrują. Po mnie przeszły ciarki, bo istotnie zobaczyłam na torebce ciężą pieczęć firmową Pakulskiego w Warszawie.

I znów porucznik przyszedł mi w sukurs oświadczając swemu podkomendnemu, że to również nie jest dowodem, że nie jestem z Krakowa i że nie widzi potrzeby odsyłania mnie do Gestapo. Kazał mi się ubrać i przyjść do stołowego pokoju. Czekał na mnie tam już tylko porucznik. Wyprowadził mnie na podwórko, wskazał na studnię, stojące obok wiadro i wiszące ścierki i szczotki. Na migi kazał nabrać wody do wiadra i zabrać ścierki i szczotki i iść za nim znów do stołowego pokoju. Tam dał do zrozumienia, bym uprzątnęła i wszystko w nim umyła. Chwile zastanawiałam się, ale wyboru nie było więc wzięłam się do roboty. Po paru godzinach skończyłam mycie, wypłókałam na podwórku wiadro, rozwiesiłam ścierki i szczotki i stałam czekając na dalszy ciąg.

Porucznik po chwili wyszedł z innego budynku i ruchem ręki kazał mi tam wejść. Była to duża kuchnia, w której kręciły się dwie nasze kobiety. Kazał im mnie nakarmić a sam usiadł przy stole obserwując mnie, gdy m usiłując zachować wygląd człowieka spokojnego zabrałam się do jedzenia, które z trudnością przechodziło mi przez gardło.

I co dalej? - pomyślałam, gdy skończyłam jeść. Odezwał się porucznik, mówiąc kobietom, by przetłumaczyły mi to co powie. Jeżeli miałam zamiar przejść na drugą stronę rzeki, to on mi pomoże i to jeszcze tej nocy. Ale musi mnie uprzedzić, że jeżeli bolszewicy mnie złapią, to posadzą do więzienia a potem otransportują w głąb Rosji do

17/16

Łagrow, dokąd zesłali już wielu Polaków, szczególnie zaś tych, których złapano przy pasie granicznym.

Dla mnie to oświadczenie było czymś nowym, bo na ten temat w Warszawie było jeszcze głucho. Poprosiłam moje tłumaczki, by podziękowały porucznikowi za dobre chęci, ale nie miałam zamiaru przechodzić rzekę.

Wobec tego - powiedział może zechce tu zostać? - Przydzielią mi do pomocy w kuchni, będą mi płacić, dostane jedzenie i mieszkanie.

A moje głodne dzieci, które czekają na mój powrót?

Porucznik rozłożył ręce. Podniósł się wreszcie z ławki i ruchem ręki kazał mi iść za sobą. Wróciliśmy znowu do stołowego. Tam podał mi mój koszyczek, kazał włożyć do niego moje drobiazgi, wyprowadził mnie znowu na podwórko i wskazując otwartą bramę powiedział: "Raus!"

Nie potrzebowałam mi tego powtórzyć. Ścieżka okalająca plebanie szybko ruszyła pod górę w kierunku na las i lesniczówkę. Niedaleko już lasu usłyszałam z dołu od podwórka głośne "Halt!". Zdrętwiałam. Niechętnie i powoli zatrzymałam się, odwróciłam i spojrzałam w dół. Stojący pośrodku podwórka porucznik podniósł prawą rękę do góry ruchem pożegnalnym. Zaskoczona, ale uszczęśliwiona podniosłam obie ręce i już prawie biegiem ruszyłam do lasu.

Znrok już zapadł a w lesie było już zupełnie ciemno. Drogi do lesniczówki nie znałam, nie straciłam jednak pewności, że do niej dojdę. Myśl, że mogę natknąć się na jakiego zwierza nie przerażała mnie, ale gdy po jakimś czasie usłyszałam uderzenia siekiery, to szybko skręciłam w bok, by nie natknąć się na ludzi, których zaczęłam się tu bać.

Do lesniczówki dobrnęłam około 9-ej wieczor. Przywitano mnie owacyjnie. Sołtysina dała znać, że mnie aresztowano, była więc wielka konsternacja. Co i jak dalej robić? Opowiedziałam z detalami moją przygodę stwierdzając, że nie jest to właściwe miejsce do przejścia i że należy gdzie indziej szukać lepszych możliwości. Piotr Świetlik obiecał, że rano rozejrzy się i porozmawia we wsi z ludźmi i wtedy coś zdecydujemy. Poszliśmy spać około północy.

Piotr wrócił przed południem. Rozmawiał z ludźmi, rozmawiał także ze Stefanem niedoszłym naszym przewodnikiem, który mu solennie obiecał, że dziś wieczor będzie na nas czekał w umówionej poprzednio chacie i przeprowadzi nas wszystkich na drugą stronę.

Zaczęły się narady. Byłam oczywiście przeciwna ponownej próbie przejścia w tym samym miejscu i z tym człowiekiem. Ale ostateczna decyzja należała do generała, który wreszcie zdecydował, że raz jeszcze spróbujemy przejść tutaj.

Wieczorem, o umówionej godzinie ruszyliśmy saniami wszyscy, łącznie z Piotrem. Podjechalismy aż pod samą chatę. Gdy przejeżdżalismy koło parafji po mnie przeszły ciarki.

Chata była zupełnie ~~was~~ ciemna i jak się okazało - pusta. Natychmiast zawróciliśmy konie i prawie w galopie, znowu tuż koło parafji i po przez las wróciliśmy do lesniczówki. Nie mogliśmy jednak dłużej w niej popasać bez narażenia gospodarzy na grube przykrości. To też o świcie pojechalismy tymiż saniami spowrotem do Przeworska. Tam zatrzymaliśmy się u tychże gospodarzy, którzy nas przyjęli w dniu naszego przyjazdu.

Zaczęły się ponowne narady i zasięganie języka przez naszego gospodarza i Piotra. Pod wieczór sytuacja nie zmieniła się i wtedy, po rozmowie na osobności z zoną gospodarz oświadczył, że niema innej rady tylko on sam nas przeprowadzi. San jest odległy od domu o niecały kilometr, zna rzekę, wszystkie brody i przejścia, bo nieraz przed wojną ją przechodził. Wszyscy z podziękowaniem przyjęliśmy ten projekt i już nieco uspokojeni siedliśmy do skromnej kolacji.

Po kolacji, prawie już w ciemna noc ruszyliśmy gęsiego w dół do rzeki. Zdaleka widzieliśmy kilka oświetlających rakiet po stronie bolszewickiej, ale daleko w bok od kierunku naszego marszu. Przewodnik początkowo prowadził nas starym, suchym łożyskiem rzeki aż doszliśmy do wody, w którą weszliśmy od razu po pas. Zachowując się bardzo, cicho dobrnęliśmy do drugiego brzegu, ale gdy wreszcie wyszliśmy wszyscy z wody okrzyki nas kilkuosobowy patrol bolszewicki. Śmiali się z nas pytając czy nie widzieliśmy ich rakiet? Łożysko rzeki nie biegło po linii prostej tylko bardzo krętej i wyszliśmy wprost na nich.

Zaprowadzili nas do zabudowań jakiegoś majątku odległego od rzeki o kilka kilometrów. Wprowadzili nas do małego, murowanego budynku, w którym nie było ślaju jakiegoś umebłowania, tylko w kącie był duży kocioł wmurowany w ściany i cementową podłogę. Służył on prawdopodobnie do gotowania pokarmu dla bydła a obecnie pusty i zimny.

Przemoknięci po pas, by nie zamazać chodziliśmy w kółko prawie do wschodu słońca. Przez całą noc nikt do nas nie zajrzał, co miało tę dobrą stronę, że mogliśmy się naradzić jak i co mówić gdy zaczną nas wypytywać. Radziłam, by nie przyznawać się do znajomości tylko, że spotkaliśmy się wszyscy przygodnie tuż przy rzece. Stojąc na tym stanowisku miałam na względzie, by nie robić tkoku koło osoby generała, co mogłoby zwrócić szczególną na niego uwagę. Osobiscie trzymałam się tej linii postępowania aż do wyjścia na wolność.

O swicie, bez jedzenia lub chociażby gorącej wody wsadzono nas na ciężarówkę z obsadą strazy z karabinami u nóg i dużym, tresowanym psem-wilkim. Po kilku godzinach jazdy, po przez Jarosław zawieziono nas do więzienia w Przemyślu. Oddzielono kobiety od mężczyzn i wszystkie trzy znalazłyśmy się w jednej celi bez łóżek i sieników, w której siedziało już na podłodze kilkadziesiąt kobiet-Polek. Przez blisko dwa tygodnie wyganiano nas rano na podwórko więzienne na kilka lub kilkanaście minut spaceru t.zw. "pragułkę". Karmiono nas dwa razy dziennie jakimś ochłapami niejednokrotnie niemożliwymi do przełknięcia. Obsługa przy rodawaniu jedzenia była polska, ale pod ścisłym nadzorem "bojca" z nieodłącznym karabinem. Mimo tych obstrzeń udało się Toli Płońskiej przemyścić gryps do generała i wien, że doszedł jego rąk. Raz tylko z daleka, na korytarzu zobaczyłyśmy naszego przewodnika. On też nas widział.

Po kilku dniach niespodziewanie wezwano z rzeczami Elwirę Karas mówiąc jej, że wychodzi na wolność. I istotnie tak się stało. Jak już później, na wolności dowiedziałam się, jeszcze przez kilka dni nie opuściła Przemyśla codziennie stojąc pod bramą więzienną z artykułami żywnościowymi dla doręczenia ich Tadeuszowi Mirowemu, których on zresztą nigdy nie otrzymał. Żadnych kontaktów w Przemyślu nie mieliśmy, więc ani dla generała ani dla nas nic zrobić nie mogła.

Wreszcie któreś nocy zabrano nas wszystkie do dużej sali w innej części więzienia, gdzie zastałyśmy już dużą grupę Polek siedzących przymusowo w kucki, na podłodze, a które spędzono tu także z innych cel. Po kilku godzinach, z ostrym nakazem zachowania głębokiej ciszy wyprowadzono nas pod karabinami na podwórko i załadowano na czekające samochody ciężarowe i odwieziono do stojącego na boczniczy, daleko od stacji kolejowej pociągu towarowego. Załadowano nas pięćdziesiątce do wagonów z piętrowymi pryczami. Posrodku wagonu stał mały piecyk żelazny jeszcze zimny, obok trochę drzewa i wiadro z zimną wodą. Bliżej drzwi w wyrąbanym kawałku podłogi sterczała blaszana puszka -ubikacja.

Gdy po długim postoju pociąg ruszył w nieznaną, nie opuszczała nas świadomość, że wciąż jeszcze jesteśmy na polskiej ziemi. Parokrotnie, gdy pociąg zatrzymywał się w pobliżu jakiejś nieznanym stacji wyrzucałyśmy przez górne, zakratowane okienko grypsy, prosząc opodal stojących lub idących ludzi, by doręczyli je adresatom. Przeważnie udawali, że nas nie słyszą, ale np. moje grypsy wszystkie doszły do właściwych rąk.

Również później, już na wolności dowiedziałam się od generała Sulika, że w czasie, gdy nas wywożono w głąb Rosji dowiedział się o aresztowaniu gen. Tokarzewskiego i zorganizował oddział mający zadanie go odbić. Ale wiadomości o nas i od nas były już bardzo spóźnione. Coś jednak z czyjejs planowanej ucieczki z naszego pociągu miało miejsce, bo pewnej nocy pociąg zatrzymał się gwałtownie, rozległy się strzały i dudnienie biegających stóp po dachach naszych wagonów.

Nigdy w czasie mojego śledztwa nie zapytano mnie kim był nasz przewodnik, lub jak się nazywał, ani też nie spotkaliśmy go później w wojsku. Przykro mi, że nie pamiętam ani jego imienia ani też nazwiska. Jeżeli zginął, to - część jego pamięci.

W Wielką Sobotę opuszczaliśmy polskie tereny. Tola zeszła z pryczy na dół z kawałkiem chleba, którym dzieliła się ze wszystkimi kobietami. Miała też krotką, ale treściwą przemowę a później usiłowałyśmy śpiewać. Ale śpiew był mocno przetykany łzami, lamentami i głośnym pochlipywaniem. Byłyśmy już na obcej ziemi.

1/18

Pociąg jechał prawie dwa tygodnie do nieznanego nam miejsca swego przeznaczenia. Rano stawał na bocznicach stacyjek, ocryglowywano nasze drzwi, stawiano wiadro z zimną wodą, wrzucano trochę opaku dla piecyka, dawano po kawałku chleba na głowę i dodatkowe pożywienie składające się przeważnie ze śledzi lub malutkich rybek zwanych "tulka". Raz jeden, jeszcze na naszych terenach dano nam po kawałku kiełbasy.

Pociąg dojechał wreszcie do Iniepropietrowka (dawnej Jekatierinosław) i tam wyładowano nas za dnia i ciężarówkami odwieziono do więzienia.

Podczas naszego wyładunku zobaczyliśmy przy naszym wagonie sporą grupę tubylczych kobiet gestykulujących i zamieniających między sobą uwagi widocznie nam nie przychylnie sądząc z ich wręcz wrogich wyrazów twarzy. Jedna z naszych zapytała je wręcz dlaczego tak wrogo patrzą na nas? Odpowiedź była zaskakująca. Powiedziano im, że jesteśmy prostytutkami ze Lwowa.

Było nas w celi blisko 50 Polek, a po kilku dniach dołączono do nas dwie młode rosjanki niewatpliwie na przeszpiegi, dostawały bowiem dziennie dodatkowo kawałek sera, białego chleba i nawet masła. Nasze porcje dziennie wynosiły 400gr. chleba, dwa razy zupa - pomyje, lub jeden raz zupa i wieczorem kubek owocowej herbaty no i "tulka" w międzyczasie.

Wypuszczano nas codziennie na "pragułkę", - spacer po malutkim podwórku, w kółko, pod nadzorem, tylko parami, bez rozmów i szeptów. Trwały one nieraz do przepisowych 15tu minut. Resztę dnia spędzało się siedząc lub leżąc na łóżku z jednym brudnym, zawszonym kocem na sienniku z poszatkowaną słomą. Nie wolno było spac w ciągu dnia. Łóżek w celi była niewystarczająca ilość, to też gdy w nocy zabierano sąsiadkę na przesłuchanie można było nareszcie rozprostować kości. Okna zabudowane, to też widziało się tylko skrawek nieba. Światło u sufitu o oslepiającej sile nigdy nie było w celi gaszone. Nieodzownym i bardzo potrzebnym sprzętem w celi była "parasza" - blaszany, dużych rozmiarów kubeł na odchody, który raz dziennie, rano wynosiłyśmy do ubikacji, gdy nas prowadzono tam do mycia się. Były tam tylko dwa krany z zimną wodą, więc nie zawsze można było do nich się docisnąć w ciągu przeznaczonych na ten cel 10-ciu minut dla każdej celi.

Prawie że radykalną zmianę w beznadziejnie jałowym życiu celi dokonała zwyczajna igła, która zachwiała się u jednej z więźniarek po przez liczne i systematyczne rewizje osobiste. Zaczęło się przenicowywanie spodnic, sukien i bluzek. Znalezione na spacerze i ukradkiem podniesiony kawałeczek szkła zastąpił niezbędne nożyczki. W tenże sposób w posiadaniu naszym znalazły się dwa patyki - druty i w ruch poszły przerobki swetrów. Nasze koce bardzo się skurczyły przez ich obcinanie na rzecz trepek i potrzebnych nici. Przy "judaszu" zawsze dyżurowała jedna z nas. Te zajęcia dodatkowo wpłynęły na psychikę więźniarek. Mniej słyszało się pochlipywań po kątach i jakoś spokojniej, a czasem nawet, z krótkim a dosadnym dowcipem na ustach wychodziły z celi wzywane na nocne przesłuchiwanie.

Tolą pierwszą wezwano na śledztwo, które trwało kilka tygodni. Rano, po powrocie opowiadała mi dyskretnie o co ją pytano, co zarzucano i kogo w drodze widziała. Raz jedyną tylko, prawdopodobnie przez pomyłkę znalazła się w tymże zakratowanym samochodzie t.zw. "czornyj woron" co i generał. Mimo, że nie wolno w samochodzie rozmawiać, doszli do porozumienia, że generał w dalszym ciągu jest Tadeuszem Mirowym i że śledztwo przebiega spokojnie. Gdy raz zabrana w nocy do celi rano nie wrocila, natomiast zabrano jej rzeczy - domysliłam się, że jest już po śledztwie i że przeniesiono ją do innej celi w/g obowiązującej więziennej procedury.

Wreszcie przyszła kolej na mnie. Moje śledztwo trwało do trzech tygodni. Mój śledczy (tow. Sałaciński) do znużenia za każdym razem pytał mnie poco przeszłam rzekę, na rzecz czyją prowadziłam szpiegowską robotę, czy znałam przedtym osoby, z którymi szłam i że on wie, że ja kłamie, że ich nie znam. Pytał także o szereg osobistości ze świata warszawskiego. Wszystkie moje odpowiedzi były zawsze jednakowe i negatywne.

Zapisawszy niezliczoną ilość papieru dał mi wreszcie spokój, to też zaczęłam odsypiać nieprzespane noce. Ale apetyt, który straciłam w oczekiwaniu i podczas śledztwa - nie wrócił i przez dłuższy czas nie byłam w stanie dojeść tego kawałka chleba.

2/19

W lipcu zaczęto wywoływać z rzeczami wszystkie przesłuchane. Tołą, którą w końcowym okresie znów przeniesiono do naszej celi wywołano jedną z pierwszych. Spotkałyśmy się dopiero w wojsku.

Że te wszystkie, które już odeszły dostały wyroki łagrów dowiedziałyśmy się przypadkowo od spotkanych na schodach, gdy prowadzono nas na spacer. Wyroki od 3ch do 7miu lat. Czekałyśmy na naszą kolej.

Gdy wreszcie wezwano i mnie, wiedziałam już czego się mam spodziewać, tylko ile lat dostanę i w jakiej formie to się odbywa.

Nas kilka zaprowadzono do innego budynku, posadzono na ławie i kazano czekać. Do środka zamkniętego pokoju wzywano pojedynczo. Wychodzące z pokoju po kilku minutach były zdenerwowane, z wypiekami na twarzach a nawet we łzach. Zawsze jednak zoczyły szepnąć nam cyfrę otrzymanych lat łagrów. Były natychmiast wyprowadzane z budynku.

Wreszcie wezłam do pokoju i ja. Po środku długi stół nakryty zielonym suknem. Za stołem 3ch enkawudystów. Środkowy - Przewodniczący. Sprawdził personalia i odczytał mi formułkę:

"Po ukazu Wierchowmawo Sowietu w Moskwie, za nielegalnyj pieriechod granicy, zakluczonnaja Maria Stanislawowna Trojanowskaja zasudżżena na 5 liet Isprawitielnych Trucowych Lagierow."

( Z rozkazu Zwierznich Władz Sowietu w Moskwie, za nielegalne przejście granicy, więźń Maria c. Stanisława Trojanowska zasądzona została na 5 lat Poprawczo Zatrudniających Łagrów.)

Dano mi pióro i kazano podpisać się pod wyrokiem.

Wyprowadzono mnie na podwórze i kazano mi usiąść na ziemi, w kucki tuż pod budynkiem - przechowalnią rzeczy więźniów odebranych wszystkim w dniu przybycia do więzienia. Odebrano mi wtedy mój koszyczek, w którym były moje sznurowadła do butów, podwiązki i nożyczki. Także i ręczny zegarek. Po dłuższym czasie wyszedł do mnie kierownik przechowalni i oświadczył, że zegarek będzie odesłany do miejsca mego przeznaczenia, ale koszyczka znaleźć nie może. Ponieważ miałam pokwitowanie i na koszyczek i na zegarek uparłam się, że muszę mieć moje rzeczy ze sobą, prosiłam więc o zegarek i zezwolenie na wejście do przechowalni, by poszukać mego koszyczka. Zgodził się. Systematycznie przeszłam szeregi zastawionych poek i każda dokładnie przeszukałam. Zajęło mi to ponad godzinę czasu, ale koszyczka nie znalazłam. Zegarek otrzymałam z uprzedzeniem, że mi go w łagrze znów odbiorą do przechowania. Dano mi także sznurek do zasznurowania moich butów.

Tak więc w tajemniczy sposób znikł 100-dolarowy banknot powierzony mojej opiece w Warszawie.

Tego samego wieczoru grupę około 100 Polek zawieziono na bocznice stacji kolejowej, gdzie podstawiono pociąg z wagonami opancerzonymi, t.zw. "stołypinówki" służącymi specjalnie do przewożenia więźniów. Wnętrza ich są prawie pulmanowskie, tylko wszystko okratowane i na zasówkach od zewnątrz. Tym pociągiem dowieziono nas do Charkowa i umieszczono w więzieniu przesyłkowym przed dalszym transportem do łagrów.

Sięgając myśla wstecz do półrocznego pobytu w dniepropietrowskim więzieniu przypominał mi się mniej tragiczny a raczej nieco humorystyczny epizod.

Już po śledztwie, któregoś dnia rano wezwano mnie do naczelnika więzienia. Struchlałam. Idąc za strażnikiem w myśli przerzucałam wszystkie moje więzienne "przewinienia," ale droga do kancelarii naczelnika była krótka i nie doszłam do żadnych wniosków zanim tam mnie wprowadzono. Naczelnik niebywale grzecznie podniósł się z za biurka, poprosił bym siadła i poczęstował mnie papierosem. To niebywale przyjęcie spotęgowało moje zdenerwowanie. Naczelnik zapytał mnie czy znam język rosyjski. Odpowiedziałam twierdząco. Podał mi arkusz papieru i pióro prosząc, bym napisała mój życiorys po rosyjsku. Przez parę minut zastanawiałam się, bo nie tylko wyszłam z wprawy w pisowni, bo przez lata nie miałam nic z tym wspólnego, ale wszystko co napiszę musi się zgnać z tym, co zeznawałam w śledztwie. Stan mego zaenerwowania podniósł się znacznie, bo wogóle dlaczego i po co?

Po pół godzinie mój bardzo skrócony życiorys był gotów. Przejrzał go bardzo uważnie. Następnie wyciągnął plik spiętych, nierównych, pogniecionych i brudnych szpargaków i poprosił mnie, bym mu je przetłumaczyła.



21/20

Grypsy! - przeleciało mi przez głowę. Nie mogę tego zrobić. Jak odmówić? Muszę mieć chwilę czasu na zastanowienie się.

Ociągając się i bardzo powoli wyciągnęłam rękę po szpargały i rzuciłam okiem na pierwszy od góry. A potem na drugi i trzeci i uczułam jak mi serce przestaje łomotać. Na wrywki przejrzałam jeszcze z 10 świstków i zaczęłam się głośno i prawdopodobnie historycznie śmiać. Były to wszystko kuchenne przepisy na wszelkiego rodzaju potrawy, z pieczeniem babek i mazurków wielkanocnych włącznie bardzo dokładnie podające ilość jaj, cukru, migdałów, mąki i t.p.

W naszej celi odbywało się codziennie przekazywanie sobie przepisów kulinarnych. Robił to głód i tęsknota za domem. Jak silne były to uczucia dowodzi wykazany spryt w zdobyciu skrawka papieru lub materiału nie mówiąc już o ołówku. Wszywano je sobie do rąbków spodnic lub płaszczy, bo... "jak wrócę do domu..."

Naczelnik pewno mi nie uwierzył, gdy mu powiedziałam co to jest. Pewno wyszukał sobie inną tłomaczkę lub tłomacza. Może ten ktoś nareszcie wypalił sobie dobrego papierosa.

Okres mego miesięcznego pobytu w przesyłkowym więzieniu w Charkowie obfitował w różnego rodzaju przeżycia i zdarzenia, które opisałam w krótkim opowiadaniu p.t. "W Więziennym Kalejdoskopie."

Z Charkowa przez kilka dni wieziono nas do pierwszego, rozdzielczego łagru koło posiołka Jawas, Mordowska ASSR (Mordwa), gdzie na wielkiej przestrzeni przeważnie gęsto zalesionej mieszcili się w kilkukilometrowych odległościach od siebie różnego rodzaju i typu łagry pod nazwą "Tiemnikowskije Isprawitielno-Trudowyje Łagiera."

Po kilkutygodniowych nocnych przesłuchiowaniach, po okresie wyczekiwania na wyrok - nerwy nieco odtajały. Odezwał się natomiast zwyczajny ludzki, lecz bardzo uporczywy głód nie znikający ani przez chwilę nawet we śnie. Otrząśnięcie się z tego bardzo przykrego uczucia dopomógł mi przypadek. Stałam w stołówce w kolejce do okienka po obiad. Każdemu dawano po jednej sporych rozmiarów łyżce klejowatej kaszy. Gdy wrzucano mi ją do drewnianej miski obejrzałam się za łyżką i w tym momencie, mężczyzna stojący za mną błyskawicznym ruchem sięgnął ręką po przez moje ramie do mojej miski i tak samo błyskawicznie całą jej zawartość wpakował sobie do ust. Ten akt głodnego człowieka mnie przeraził i otrzeźwił. Jak się później dowiedziałam, tym człowiekiem był arcybiskup prawosławny, zasadzony na 25 lat łagrów za wykonywanie niedozwolonych praktyk religijnych.

Po kilku tygodniach wszystkie Polki, kolejną wąsko-torową wywieziono do kobiecego łagru pod nazwą "Poćma". Zebrało się nas tam ponad 200. Mieszkałyśmy tam wszystkie w jednym, nowopostawionym baraku o piętrowych pryzkach. Był czysty i bez pluskiew. Były tam i inne baraki, w których mieszkaly Rosjanki. W jednym z nich kobiety w średnim i starszym wieku. Były to żony, siedzące za popełnione lub nie winy polityczne swoich mężów. Były to przeważnie inteligentki w wielu wypadkach z wyższym wykształceniem. Były kulturalne i przeważnie dobrze wychowane. Wśród nich lekarki, nauczycielki, żony profesorów uniwersyteckich, wyższych urzędników jak n.p. żona ambasadora rosyjskiego w Stanach Zjednoczonych. Pracowały przeważnie w Łagrze administracyjnym, o kilometr drogi od Poćmy, dokąd były odprowadzane rano i przyprowadzane z porotem po zakończonym dniu pracy pod strażą z karabinami. Nie wiele miałyśmy z nimi do czynienia chociażby ze względu na brak znajomości języka.

Nas przydzielono do fabryki rękodzielniczej oddzielonej od baraków mieszkalnych niewielką bramą, przy której "bojcy" pełnili dwudziestoczerogodzinną wachtę.

Fabryka wyrabiała przeważnie ręcznie przedmioty galanteryjne jak: torebki, paski i goziki z drewnianych koralików w/g wzorów czechosłowackich. Później rozpoczęto produkcję przyszczep do wieszania mokrej bielizny, a gdy zaczęła się wojna z Niemcami - robiono na drutach ciepłe rękawice i szyto zielone koszule.

Koraliki do torebek i pasków wytłaczano na miejscu, w stolarni. Procedura przygotowania koralików do farbowania na różne kolory a następnie lakierowania była bardzo skomplikowana i za nią odpowiedzialni byli dwaj inżynierowie-chemicy, Rosjanie, więźniowie polityczni. Nad całością pracy przy koralikach, aż do ich wypuszczenia do cechu wiązania torebek czuwała i była odpowiedzialna młoda Rosjanka, inżynier-chemik, nie więźniarka. W swoim czasie dostała od swego Rządu stypendjum na ukończenie studjów i w myśl tamtejszego prawa musiała odpracować kilka lat w miejscu wyznaczonym jej przez Rząd.

11/21

Każdy cech miał swego kierownika lub kierowniczkę, płatnych pracowników. Przeważnie byli to ex-więźniowie, którzy po odbyciu swoich wyroków w łagrach, przez okres kilku następnych lat nie mieli jeszcze prawa do powrotu do swego miejsca zamieszkania. Takim był właśnie Iwanow, naczelnik fabryki i łagru. Jego żona, była baletnicą opery moskiewskiej, nie była więźniarką, tylko dzieliła los swego męża-wygnanca. Miał kilkunastoletnią, córkę wychowywaną przez dziadków w Moskwie. Iwanowa była jedną z kierowniczek cechu. Bardzo taktowna i spokojna.

Wśród nas Polek przeważał element inteligentki. Trzymaliśmy się z podniesioną głową i niemal z warszawskim, względnie lwowskim fasonem mimo rażących braków w ubiorze. Kierowniczkę cechów (za wyjątkiem jednej) usiłowały dostosować się do naszego sposobu zachowania się i postępowania a nawet ubierania się. Nietylko kobiety, ale chłopcy w wieku 16, 17 lat, więźniowie przyprowadzani codziennie z pobliskiego, męskiego łagru jako farbiarzy zaczęli się zachowywać w stosunku do nas bez zarzutu.

Było ich około dziesięciu. Należeli do grupy ongiś t.z. "bezprizornych" (dzieci bez żadnej opieki). Po rewolucji i wszystkich wojnach domowych tysiące dzieci pozabawionych domu i opieki błąkało się bez nadzoru po ciemnych zakamarkach szczególnie dużych miast kradnąc, zabijając i uprawiając prostytucję. Pamiętam w latach trzydziestych, niemal wszystkie dzienniki europejskie donosiły i komentowały o tej "pladze" małoletnich w Rosji. I nagle wszystko na ten temat przycichło. Rosja znalazła radykalny sposób do rozwiązania tego problemu. Dzieci wykapywano i wysyłano do łagrow nad Białym morzem. Jak mi opowiadał jeden z naszych chłopców, było ich tysięcy w jednym z tych łagrow. Po kilku latach z tego tysiąca pozostało ich tylko 17-tu. Reszta zginęła nad Białym morzem.

Któregoś dnia zajrzałam do sali, w której pracowali chłopcy. Stali w zbitej gromadce otaczając zapłakanego, 16-to letniego Wałodzie. Mielili twarze zatroskane, ponure. Zapytałam co mu się stało, ale nikt nie odpowiedział. Dopiero na moje powtórne pytanie ktoryś odzwzał się:

- Zwolnili go z łagru i musi iść na wolność.
- To dlaczego on płacze?
- A dokąd on pójdzie. Ani rodziny, ani domu.

Związani latami wspólnych, ciężkich przeżyć na dalekiej północy towarzysze szczerze się marwili dołą odchodzącego na wolność. Myślę jednak, że pomogli Wałodzie rozwiązać jego problem i to w sposób, jaki ich życie nauczyło. Po paru dniach, gdy w przerwie obiadowej przechodziłam z fabryki do stołówki, główna, zewnętrzna brama otworzyła się i strażnik z karabinem w ręku wprowadził Wałodzie, który wbiegł do łagru roześmiany i w podskokach. Zdążył mi szepnąć: "Ukradłem i dostałem nowy wyrok".

Już prawie pod koniec naszego pobytu w Pocznie, około 100 naszych kobiet, które wykazały zdolności w szyciu przeniesiono do innego obozu, gdzie były tylko szwalnie. Przyprowadzono natomiast do Poczny około 200 dziewcząt z grupy "bezprizornych", w wieku od 12-tu do 16-tu lat. Większość z nich każdego ranka wysyłano do prac w polu. Pozostałe, pojedynczo przydzielano do poszczególnych prac w fabryce. Koło mnie, w stolarni kręciły się dwie 12-to latki. Oczywiście żadne pracownice, ale stale zabiegające o pochwałę i dobre słowo. Gdy się z nimi rozmawiało, to ktoś z boku patrzący i przysłuchujący się miałby złudzenie, że to są chodzące po świecie aniolki. W gromadzie były niepoczytalnie dzikie i rażąco ordynarne.

Któregoś dnia pod wieczór, ze strony ich baraku rozległy się nieludzkie wrzaski, przekleństwa, płacze i łomotanie. Strażnik z wachty poleciał tam jak stał. Wrzaski wzmogły się i po kilku minutach strażnik wyskoczył z baraku pokrwawiony i w rozdartym mundurze. Dopiero przybycie kilku innych strażników z karabinami przywróciło jakitaki spokój. Słyszało się tylko płacz i pojękiwanie. Okazało się, że jedna drugiej ukradła jakieś paciorki i mieszkanki baraku urządziły samosąd usiłując winnej wydubać oczy.

30-go grudnia, jeden z inżynierów-chemików zawołał mnie do małego pokoiku i zamykając za mną drzwi, zaczął szybko, szeptem mówić, że za kilka minut wezwą mnie do kancelarii łagru by zawiadomić, że zostałam wezwana do głównego obozu Tienłagru. Dzieje się to tylko wtedy - mówił, gdy wznawiają czyjś proces i przeprowadzają nowe dochodzenia. Radził, bym włożyła na siebie wszystko co mam ciepłego i bym się postarała o trochę cukru, by przetrzymać ewentualną głodówkę. Wychodząc z pokoiku życzył mi wszystkiego najlepszego i upominał, bym się nie dała zastraszyć.

21/22.

Rozdygotana wrocilaam do swojej pracy. Po kwadransie na sale wszedł strażnik i wywołał moje nazwisko. Zaprowadził mnie do kancelarii fabryki, gdzie czekała na mnie zastępczyni naczelnika, Anna Stanisławowna... Powiedziała mi, że zostałam wezwana do głównego obozu Tienlagru, ale niestety nie wie w jakim celu. Za godzinę odchodzi tam wąskotorowa kolejka, więc mam czas by zebrać swoje rzeczy. Życząc mi szczęśliwej podróży automatycznie podniosła się z krzesła i wyciągnęła do mnie rękę, która natychmiast jej opadła. Prawo zabrania tych poufałości z więźniem.

Strażnik z karabinem o'prowadził mnie i zdał za pokwitowaniem swemu koledze, siedzącemu na korytarzu towarowego wagoniku. W środku wagonika żadnego siedzenia, ściany obłożone i kraty u górnych okienkach, no i oczywiście dziura w podłodze na odchody. Do miejsca przeznaczenia jechaliśmy blisko 3 godziny, przystając co kilka minut przy każdym mijanym łagrze dla doręczenia poczty. Wreszcie stanęliśmy na dobre. Odebrał mnie inny strażnik i po grzaskim śniegu poprowadził mnie do odległego o kilka kilometrów obozu. Tam wprowadził mnie do baraku kobiecego. Same Rosjanki. Było już po "kolacji", nie dostałam więc ani chleba ani nawet gorącej wody. Wskazano mi wolne wyrko tuż przy drzwiach i dano dwa koce. Położyłam się odrązu, ale przez dłuższy czas usnąć nie mogłam. Przekrzykujące się pomiędzy sobą kobiety na pryczach używały języka pełnego dosadnej, nie do powtórzenia wulgarności. Byłam pozaty m zziębnięta, głodna, z głową pełną niepokojących myśli. Napewno coś się stało z generałem. Napewno już go rozszyfrowano a jeżeli tak, to czego ja się mogę spodziewać?

O 6-ej rano przyszedł po mnie ten sam strażnik i poprowadził mnie po przez całą długość olbrzymiego obozu aż do sporych rozmiarów murowanego budynku. Wprowadził do zamkniętego ze wszystkich stron korytarza, kazał usiąść na ławce i czekać aż mnie zawołają. Ani chleba ani gorącej wody dziś również nie dostałam, a odrobina cukru, którym mnie koleżanki w Połmie obdarzyły została w baraku w moim pozostawionym tam tłumoczkies. Korytarz był bardzo zimny. Zaczęłam drzeć a właściwie spać i nie przeszkadzali mi ani przechodzący korytarzem enkawudysci, ani trzaskające drzwi ani dzwonki telefonów. Zawołano mnie dopiero około godz. 5-ej po południu. Zaprowadzono do nareszcie ciepłego pokoju, gdzie przy biurku siedział enkawudysta w starszym wieku. Wyciągnął z szuflady teczkę prawdopodobnie z moimi zeznaniami, przejrzał ją dość dokładnie, sprawdził personalja i zaczął od początku wypytywać gdzie, kiedy i jak przeszłam granicę, jak nazywali się moi towarzysze podróży, czy i od kiedy ich znam.

W ciepłe ogrzane pokoju i monotonji dobrze mi znanych pytań, zdenerwowanie i niepokój ostatnich dwóch dni zaczął ustępować. Ziewając i udając rozespanie mówiłam powoli, że to miało miejsce już tak dawno, że nie pamiętam nawet daty mego aresztowania, ani tym bardziej imion i nazwisk moich przygodnych towarzyszy podróży. Szłam zaś do swego brata stale mieszkającego wraz z rodziną w Łucku. Straciłam pracę w miejscu mego stałego zamieszkania po stronie niemieckiej, licząc, że brat mi pomoże w znalezieniu pracy. (Tak też zeznawałam w czasie śledztwa w więzieniu). Nic innego enkawudysta ze mnie wydusić nie mógł. Zaczął więc pisać protokół, co szło mu barazo opornie i niezręcznie, bo co i rusz wrzucał zapisane już kartki do kosza.

Sylwester (1940-1941) bardzo hucznie zwykle obchodzony w Rosji stał się moim sprzymierzeńcem. Zbliżała się godz. 8-na wieczór i telefon na biurku zaczął dzwonić coraz częściej. Z rozmowy zorientowałam się, że to dzwoni rodzina. Za każdym razem usprawiedliwiał się, kazał gości przeproszać obiecując, że najdalej za pół godziny skończy i będzie gotów do wyjścia. I znów zapisana kartka papieru wędrowała do kosza. Wreszcie po blisko godzinie od ostatniego telefonu skończył, przeczytał mi to co napisał i kazał mi się pod tym podpisać. Protokół nie wniósł nic nowego do mojej sprawy. Przeciwnie - jak zaznaczył, dużo rzeczy nie pamiętałam.

Wyszłam z pokoju z wezwanym strażnikiem. I co dalej? - pomyślałam.

A dalej był ten sam kobiecy barak z moim tobołkiem i cukrem. O spaniu jednak mowy nie było. Widocznie w obyczajach tego obozu Sylwester obchodzony był nie tylko przez "naczalstwo". Wódka lała się, mężczyźni nie wychodzili z baraku ani zżazili z prycz. Wrzaski i dzikie śpiewy trwały aż do rana. A o 6 - ej przyszedł po mnie strażnik i kazał iść za sobą. Lokąd teraz?

Przez parę kilometrów brnęliśmy przez grzaski śnieg aż w oddali zobaczyłam znajomą mi kolejkę. Złanie i odebrania wiezniarki przez strażników i po chwili samowarek

17/23

ruszył w nieznaną. Po kilku godzinach znów stop. Zdanie i odebranie więźniarki, kilkukilometrowy marsz w głębokim śniegu i wreszcie brama. Poćma?!!!

Wszyscy dziwili się memu powrotowi, bo jak mi powiedziano, było to wbrew przyetytu zwyczajom, by więzień wzywany na ponowne śledztwo wracał do tego samego obozu. Myśle, że stało się to dlatego, że nikogo więcej z naszej grupy tu nie było.

Już będąc na wolności, w wojsku dowiedziałam się od gen. Tokarzewskiego, że moje powtórne śledztwo miało miejsce tuż po stwierdzeniu przez NKWD kim jest doktor Tadeusz Mirowski. Ktoś ze wspólnych jego towarzyszy niedoli, już w łagrze rozpoznał go i zdradził. Przetransportowano generała do Lubianki, gdzie siedział aż do czasu rozpoczęcia formowania Armii Polskiej na terenie Rosji. Zwolniono go na imienne zapotrzebowanie Dowódcy Armii Polskiej gen. Władysława Andersa.

W Poćmie życie biegło ustalonym porządkiem. O 5-ej rano pobudka z wyjącego głosnika rozśmieszała nas nieraz do łez słowami popularnej, rosyjskiej piosenki: "Ja drugoj takiej strony nie znajduję, gdzie tak wolno dyszeć człowiek". (Wieżnam drugiego takiego kraju, gdzie człowiek oddycha pełnią wolności).

I nagle, któregoś ranka zamiast tej piosenki, po gwizdach i świstach w głośniku rozległ się bardzo podniecony, chrypliwy głos oznajmiający o haniebnym zdradzie sojusznika i zdradzieckiej napadzie Niemców na Związek Radziecki. Rosja jest w wojnie. I tak w kolko przez dobrych kilka minut aż schrypnięty głos stał się prawie niezrozumiały. Miałam wrażenie, że widzę przed sobą gumowy balon rozdumuchany do olbrzymich rozmiarów, przekłuty szpilką, tracący powietrze i wydający coraz niższe i cichsze tony.

Zerwałam się wszystkie i nic nie mówiąc spoglądałyśmy po sobie z uśmiechem i roziskrzonymi oczami. Nareszcie pierwszy sygnał wolności. Wojna musi przynieść duże zmiany, także i dla nas. Poszłyśmy do pracy udając spokój.

Dosć drastyczne zmiany na terenie fabryki i łagru zaszły prawie natychmiast. Koło południa, przez okna naszych pracowni, grupę więźniów - pracowników fabryki z tobołkami zebranych na dziedzińcu i otoczonych strażą z karabinami. Grupa coraz się powiększała. Zauważyłam wśród nich kilku o niemieckich nazwiskach, między innymi życzliwego mi inżyniera-chemika. Był tam również 17-letni chłopak o dobrym, polskim nazwisku. Ojciec jego, grubo przed wojną był redaktorem i wydawcą gazety w Łodzi. Był sympatykiem komunizmu i polityki Rosji Sowieckiej. Bodaj w 1932r., za zgodą naszego Rządu wyemigrował do Rosji wraz z żoną i kilkuletnim synkiem. Było wtedy sporo artykułów i wzmianek na ten temat w naszej prasie.

Jak nam Tadzio (synek) poufnie opowiadał tylko bardzo krótko mieszkali w Moskwie. Rodziców zesłano do łagrów a on dostał się do "dzietdomu", z którego uciekł. Złapany znalazł się w łagrach dla "bezprizornych" i wreszcie po latach - w Poćmie. Matka ojca, która została w Polsce, przez szereg lat robiła starania o odesłanie wnuka do niej, ale bezskutecznie. Chłopak miał gruźlicę.

Grupę kilkudziesięciu więźniów, około godz. 1-ej wyprowadzono z obozu. Brama za nimi się zamknęła. Nie obeszło się bez łez i dramatów wśród pozostałych w obozie kobiet rosyjskich.

Wielu Polkom zmieniono przydział pracy. Sprowadzono kilka maszyn do szycia, znalazły się krojczynie i rozpoczęły się masowy wyrób zielonych koszul. Na drutach zaczęto robić ciepłe, zielone rękawice. W międzyczasie z Moskwy przyszło duże zapotrzebowanie na przyszcypy do wieszania mokrej bielizny, co pobudzało nas do śmiechu, bo za potrzebowanie to wydało się nam bardzo na czasie. Przedłużono nam czas pracy do 14-tu godzin dziennie. Podstawowe wyżywienie dnia 400 - 800 gr. chleba dziennie (zależnie od wyrobionej normy) nie zostało zmniejszone, ale jakość chleba znacznie się pogorszyła. Codzienna zupa z wytloków sojowych stawała nam w gardle. Wogóle, przez rok pobytu w łagrze raz tylko dostawałam pół kartofla słodkiego, bo przemarzonego i małej ilości mięsa bez nazwy. Był to dzień święta Rewolucji.

Przez lipiec i część sierpnia pracowałam przy wyrobie przyczep bieliznianych. Na t.zw. cyrkularce piłowałam małe deszczuki na wąskie paski. Elektryczna piła bez żadnego zabezpieczenia. Pewnego ranka czując się niewyraźnie z sercem poszłam do ambulatorjum przed pracą. Szefem ambulatorjum był felczer, nie więzień. Miał pod sobą dwie

lekarki, więźniarki. Mimo, że serce było niespokojne, ale temperatury nie miałam, więc w myśl przepisów nie było podstawy do zwolnienia mnie z pracy.

Jak to się stało - nie pamiętam. Poczulałam nagle silne uderzenie w prawą rękę. Została poważnie okaleczona.

Na żądanie felczera, tego samego dnia odesłano mnie znajomą już kolejką do łagru - szpitala. Tam, kobieta - chirurg zajęła się moją ręką.

Siwa, około sześćdziesiątki, kulturalna i jak zauważyłam - z niezwykle serdecznym podejściem do każdego pacjenta była w szpitalu wysoka szanowana i lubiana. Była to więźniarka - żona, odsiadująca karę za winę męża, tak jak i kilka innych lekarek także i sióstr. Ponoc dokonywała cudów w swoim zawodzie w najprymitywniejszych warunkach tego szpitala.

Następnego dnia, po opatrunku, czując się nieswojo wróciłam na salę chorych i położyłam się. Sąsiadka po łóżku, wyjąwszy z pod poduszki jakąś gazetę zapytała, czy nie chciałabym ją przejrzeć. Od wyjazdu z Warszawy nie widziałam wogóle gazety, to też chciałam wzięć się do jej przeglądania. Zaraz na pierwszej stronie zobaczyłam artykuł i oczom wierzyć nie chciałam.

Stalin podpisał unowę z gen. Sikorskim jako przedstawicielem Rządu Polskiego w Londynie, na podstawie której, Polacy przebywający w więzieniach, łagrach i na t.zw. wolnej zsyłce będą wypuszczeni na wolność, aby Rząd Polski, przy wydatnej pomocy Rosji mógł odbudować Armię Polską, która weźmie udział w wojnie z Niemcami przy boku Armii Sowieckiej.

Zerwałam się z łóżka i pobiegłam do ambulatorjum, gdzie jeszcze zastałam moją lekarzkę. Szczęśliwie była sama. Pokazałam jej tak ważny dla mnie artykuł w gazecie i zaczęłam ją zaklinać dosłownie na wszystkie świętości, by mnie zwolniła ze szpitala i spowodowała mój powrót do Połny. Bo jak tam będą zwalniać Polki a mnie wśród nich nie będzie, to mogą mnie pominąć i wogóle o mnie nie pamiętać. Lekarzka absolutnie nie chciała zgodzić się na moje zwolnienie motywując to tym, że rana ręki jest za świeża, by mieć pewność, że będzie się goić bez komplikacji, że ona jest odpowiedzialna za moją rękę i że może mieć grube przykrości za przedczesne moje zwolnienie. Poprosiłam ją o papier i pióro i lewą ręką napisałam po rosyjsku, że zwalniam Dr. Nadzieję Pietrownę K... od odpowiedzialności za moją rękę, którą całkowicie biorę na siebie i usilnie proszę o zwolnienie mnie ze szpitala i spowodowanie odesłania mnie do Połny.

Po przeczytaniu mego oświadczenia lekarzka powiedziała, że musi to przemyśleć, także uzgodnić i być jutro przyszła po odpowiedź. Następnego dnia poszłam do niej z biciem serca. Z uśmiechem powiedziała mi, że wszystko dla mnie zostało załatwione pomyslnie. Zrobiła mi świeży opatrunek upominając, by go nikt nie zdejmował przez 3 dni. Na kartce napisała swoje uwagi dotyczące rany, bym ją doreczyła lekarce w Połnie. Życzyła mi szybkiego zagojenia się ręki i co najważniejsze - jak powiedziała - wyjścia na wolność.

Mój powrót do Połny nie spodobał się naszemu felczerowi. W jego pojęciu byłam jeszcze przez dłuższy czas nie zdolna do pracy i dlatego odeszłam z powrotem do szpitala. Ale obie lekarki stanęły w mojej obronie twierdząc, że poza prawą ręką jestem zupełnie zdrowa i że jest sporo prac nie wymagających używania prawej ręki chociażby n.p. "dniewalnej", w baraku mieszkalnym. Dzięki perswazjom lekarek, felczera zostawiłam w łagrze. Zostałam więc "dniewalną", praca której polegała na robieniu rano pobudki, sprawdzeniu, czy wszystkie poszły do pracy, czy też są chore, które należy zgłosić do ambulatorjum, utrzymać ład i porządek w baraku i czuwać, by nikt z osób postroonych nic z baraku nie wyniósł.

Po tygodniu nareszcie zaczęto wywoływać Polki z rzeczami, w alfabetycznym porządku, po kilka dziennie. Na moje zwolnienie czekałam jeszcze przez miesiąc.

Kilka z nas jednocześnie wywołanych zawieziono do łagru administracyjnego, gdzie doręczono nam nasze przechowywane rzeczy jak: pierscionki, zegarki i t.d.a także pieniądze o ile się należały. Z rozliczenia dostałam 90 rubli i mój zegarek.

Oświadczone nam oficjalnie, że jesteśmy zwolnione z Tiennikowskich Łagrow i dano nam stwierdzające dokumenty. Ani słowem nie wspomniano o zawartej unowie Sikorski-Stalin, ani o tym czy i gdzie formują się już nasze Ływizje. Postawiono nas przed

wiszącą, olbrzymią mapą Rosji i kazano nam wybrać sobie miejsce przyszłego, stałego zamieszkania. Prawie połowa zachodniej części mapy Rosji była obriedzona grubą, czerwona linią, jako zona niedozwolona ze względu na działania wojenne.

Zawiedzione, długo stałyśmy przed mapą niezdecydowane. Wreszcie, po cichej nara-dzie wybór nasz padł na Astrachan.

Astrachan - to morze, gdzie do portów zawijają obce statki. Rybołówstwo, więc mo-że ryby dostępne do kupienia. Ryby, więc prawdopodobnie fabryki ich przetworów, więc większa możliwość znalezienia pracy.

Lano więc nam bilety 3-ej klasy pociągu do Astrachania. Lano także po bochenku chleba, trochę śledzi i nawet kawałek masła i białego sera.

Zyczone nam szczęśliwej podróży i ruszyłyśmy w daleki, obcy i nieznany nam świat.

W Poczcie, w nieznanym nam miejscu pozostawiłyśmy grób s.p. Heleny Fikusowej, żony Dyrektora Ubezpieczalni Społecznej bodaj w Sosnowcu. Nie miała jeszcze pięćdzie-sięciu lat. Zmarła na serce. Cicha, małomówna ale bardzo wrażliwa i uczuciowa, o golebiu sercu. W godzinach pracy tylko niewielka nasza grupka odprowadziła ją do głównej bramy łagru. Odeszła ku jasnej, promienistej wolności.

Warunki na kolejach były bardzo złe. Wszystkie stacje były przepełnione ucieki-nierami z zachodu. Kamienne posadzki zatłoczone siedzącymi i spiącymi na tobołkach, nogi nie było gdzie postawić. Jeden za drugim szły na zachód pociągi z wojskiem, Czer-wonym Krzyżem i wszelkiego rodzaju ekwipunkiem wojskowym. Nikt nie umiał i nie mógł powiedzieć czy i kiedy będzie szedł jaki pociąg w kierunku północny lub południowy-wschód.

W Penzie działo się nam najgorzej. Wszystkie zapasy zjedzone, usiąść niema gdzie. Wyjść na ulicę i stanąć w kolejce po chleb - niebezpiecznie, bo w międzyczasie może nareszcie nadejść jakiś pociąg. Po trzech dniach takiej mordęgi przyszedł nareszcie w nocy oczekiwany pociąg, do którego dostałyśmy się na siłę. Szedł do Saratowa.

Następnego dnia Saratow i stop. Pociąg dalej nie idzie.

A kiedy będzie następny? - Nikt nie wie.

Wysiadłyśmy i jak na poprzednich stacjach skierowałyśmy się do dużego budynku stacyjnego, aby poszukać miejsca do siedzenia a może nawet i do zrzemnięcia się?

Wolno zaczęłyśmy wchodzić na szerokie stopnie dworca i... stanęłyśmy jak wryte. Na najwyższym stopniu, patrząc na nas w dół stał nasz, polski zandarm, w mundurze, z orzelkiem na czapce i biało-czerwoną opaską na ramieniu. Gdy otrząsnęłyśmy się z pier-wszego wrażenia, rzuciłyśmy się do niego dotykając go, by się upewnić, że nie jest zjawą i zasypując go pytaniami.

Tylko 60 kilometrów od Saratowa, w Tatiszczewie formowała się 5 -ta Dywizja Piechoty Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Mieczysława Boruty-Spiechowicza.

Wieczorem byłyśmy już na terenie dywizji przyjęte najserdeczniej i z więcej niż przysłowiową gościnnością.

Dzień ten złotymi zgłoskami zapisał się w moim sercu i pamięci.

\*

Z gen. Michałem Karaszewicz-Tokarzewskim spotkałam się w Szchryziabs, miejscu postoju 6-ej Dywizji Piechoty, którą on dowodził. Byłam tam przez 2 tygodni gościem generała. Tamże spotkałam się z Tola Płońską, która wówczas w tejże dywizji była Komen-dantką Kompanii P.W.S.K.

Spotykałyśmy się dość często na szlaku naszych późniejszych wędrówek aż po zakończenie wojny w 1945r. Później także w Londynie, do którego doszłusowała także Mjr. Janina Karas (HAKA) po wyjściu z niewoli niemieckiej.

\*\*\*

General Michał Karaszewicz-Tokarzewski zmarł nagle w Casablance - Morroco w dn. 22.5.1964r. Zwłoki pochowano w Londynie.

Major Janina Karas utonęła w Gangesie - Indje w dn. 25.10.1948r.

DZIECI.

... "co im uczynicie -  
mnie uczynicie..."

Państwowe Muzeum na Majdanku, pod redakcją Zofji Murawskiej-Gryń wydało w 1972 roku materiały z sesji naukowej zorganizowanej przez: Radę Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich, Towarzystwa Opieki Nad Majdankiem i Państwowe Muzeum Na Majdanku.

Jest to 200 stronicowa książka-broszura pod tytułem "Dziecko w Obozie Hitlerowskim."

Szereg osób ze świata naukowego zainteresowanych tragicznym losem naszych dzieci w okresie zbrodniczej, eksterminacyjnej okupacji Polski przez siły niemieckie, przez długie lata zbierało wszelkimi dostępnymi drogami materiały dotyczące zbrodni tego okresu.

Nie było to zadanie łatwe, a szczególne trudności były w uzyskaniu dokumentacji niemieckiej, którą Niemcy tuż przed zakończeniem wojny zniszczyli, jak zniszczyli szereg obozów koncentracyjnych przez nich zbudowanych do przetrzymywania w nich dzieci aż do ich eksterminacji.

Pozatym, we wszystkich obozach koncentracyjnych dla kobiet były także i dzieci.

Zebrano listy, pamiętniki, zeznania świadków i zeznania nielicznych dzieci, którym cudem udało się zachować życie i powrócić do Kraju.

Dokładnej liczby strat w dzieciach nie dało się ustalić, ale zebrane i przedstawione fakty za okres od I-go września 1939r. do maja 1945r. dają nam przerazającą cyfrę 1.800.000. W tym 600.000 dzieci żydowskich, obywateli polskich.

Ponadto 200.000 naszych dzieci o jasno-blond włosach i niebieskich oczach, w ciągu kilku lat, partjami wywieziono do Niemiec w celu ich zniemczenia. Z tej liczby tylko 20% wróciło do Kraju po wojnie.

Wywożono także do Niemiec na pracę przymusową naszą młodzież do lat 18-tu. Los dziewcząt z tych grup był szczególnie ciężki. Wiele z nich zachodziło w ciążę a po jej rozwiązaniu niemowle zabierano w celu zniemczenia, albo na oczach matki uśmiercano uderzeniem kolby w główkę, albo wprost główką o mur. Zroszczoną matkę, usiłującą bronić dziecko wykańczano kulą w głowę.

Masowe zagazowywanie dzieci, palenie ich żywcem, zagładzanie ich na śmierć, mordowanie ich strzałami lub uderzeniami kolb, oblewania zimną wodą nagich ciałek, na śniegu - ma swoją, przerazającą, tragiczną wymowę.

Według obliczeń podanych przez Czesława Pilichowskiego, którego praca w tej dziedzinie mieści się w w/w książce straty nasze w dzieciach za okupacji niemieckiej wynoszą 2.250.000 t.j. około 35% ogólnej straty naszej ludności wynoszącej w/g urzędowej statystyki 6.000.000.

Działo się to wszystko w okresie, gdy obowiązywały międzynarodowe ustawy zawarte w "Deklaracji Praw Dziecka" z 1923r. a Liga Narodów zobowiązała wszystkie Państwa do ich przestrzegania.

Po dzień dzisiejszy wielu sprawców tych zbrodni nie zostało pociągniętych do odpowiedzialności sądowej. Rząd Niemiec Zachodnich nie uznał tych zbrodni za ludobójstwo i zbrodni przeciwko ludzkości. Oparł się tylko na Kodeksie Karnym, traktując je jako zbrodnie pospolite. Usiłował także z końcem 1979r. zamknąć termin ścigania i karania sprawców mordów w-brew Konwencji ONZ z 1968r. o nie przedawnieniu zbrodni wojennych i przeciw ludzkości. (Czesław Pilichowski, str. 21-sza książki).

Książkę "Dziecko w Obozie Hitlerowskim" czytać w potocznym tego słowa znaczeniu - niemożna. Ani też tym bardziej nie jest to lektura do poduszki.

1/27

Podane cyfry naszych ogólnych strat w ludziach za czas II-ej Wojny Światowej jak i strat w naszych dzieciach dotyczą tylko naszych terenów będących pod okupacją Niemiec.

Ze zrozumiałych powodów nie poruszona została w tej książce sprawa jednocześnie napaści i okupacji naszych ziem wschodnich przez Rosję.

Wbrew wszelkim, uprzednim sąsiedzkim gwarancjom, weszli na nasze ziemie niezapowiedziani i rozpoczęli gospodarować w swoisty sposób przez grabunek, pożogę, pozbawiania ludzi życia i wolności. Transporty z zakratowanymi, bydłecymi pociągami z polskimi obywatelami w środku zaczęły odchodzić na wschód.

Europa jest ciasno zaludniona i zabudowana, stąd dla okupanta niemieckiego zaistniała konieczność, na zachodzie Polski budowania obozów zagłady ludzkiej, komór gazowych i pieców krematoryjnych. Rosja natomiast ma jeszcze dużo terenów wolnych, stepów, wschodnich nieużytków i lodowatych obszarów białomorskiego wybrzeża i tam właśnie wyładowywano ludzkie transporty z Polski z przysłowiowym już powiedzeniem: "żyj, albo zdechniesz". Więźniów obciążonych już numerami ich Kodeksu Karnego za zbrodnie niepełnione wsadzano do więzień i łagrów t.zw. obozów pracy przymusowej. Te ostatnie już wtedy były przepełnione ich własnym ludem.

Dopiero w drugiej połowie 1941 roku, gdy wzajemne, przyjacielskie stosunki Niemiec i Rosji przeistoczyły się w wojnę i Niemcy weszli już na teren Rosji, zaistniała możliwość podpisania umowy naszego Rządu w Londynie z gen. Sikorskim na czele i Stalinem z drugiej strony o wypuszczenie z więzień, obozów pracy przymusowej i t.zw. wolnej zsyłki naszych obywateli w celu odbudowania Armii Polskiej, która by wzięła również udział w walce z Niemcami u boku Armii Rosyjskiej.

Na podstawie tej umowy, prof. Stanisław Kot, jako nasz Ambasador do spraw polskich, zainstalowany w Kujbyszewie, w sprawozdaniu do naszego Ministra Spraw Zagranicznych w Londynie (l.dz. 1560/42 z dn. II.5.1942) pisze, że w/g obliczenia Ambasady, na terenie Rosji przebywa przymusowo 600.000 naszych obywateli a w tej liczbie 160.000 dzieci, co stanowi 27% ogólnego stanu naszych tam obywateli. Pisze:

... "Śmiertelność wśród nich jest przerażająca, nędza ich niewypowiedziana. Z całym poczuciem odpowiedzialności zmuszony jestem stwierdzić, że z uwagi na pogarszającą się sytuację aprowizacyjną i sanitarną, nawet gdyby można było liczyć na największą pomoc ze strony czynników sowieckich, utrzymanie ich przy życiu, względnie uchronienie od zupełnego skarlenia fizycznego i moralnego jest niemożliwe. Jedynym ratunkiem dla nich jest wywiezienie poza granice ZSRR.

... "Cyfra 50.000 jaką stawiamy na razie jako maksymalną granicę ewakuacji dyktowana jest warunkami organizacyjnymi i transportowymi na terenie Rosji. Opierając się na dotychczasowych doświadczeniach, nie przypuszczam, aby Rząd Radziecki stawiał zasadnicze trudności dla ewakuacji dzieci..."

... "Na tle niedojadania i wycieńczenia szerzą się nagminnie choroby i śmierć głodowa. W okresie przebywania w obozach i na posesiolkach t.j. w ciągu 2-3 lat zmarło 6 - 7% obywateli polskich. W okresie masowych przesiedleń po amnestji, w czasie podróży trwających 1 - 2 miesiące w wagonach towarowych zmarło 4 - 5% podróżujących. Obecnie, z nastaniem wiosny śmierć głodowa przybrała zatrważające rozmiary. Dla przykładu podajemy, że w jednym tylko okręgu Samarkandzkim, za okres od 1 lutego do 24 kwietnia b.r. zmarło 1632 obywateli (polskich) z tego 30% na skutek tyfusu plamistego, 70% z głodowego wycieńczenia, w tym ogromny odsetek dzieci..."

... "Cały ciężar sytuacji kładzie się na młodziutkie barki dziecięce. Nie widziały one od dwóch lat mleka, cukier tylko od święta. Są okręgi w których dzieci zupełnie wymarły.

Najwymowniejszym dowodem tragicznego położenia dzieci są wypadki podrzucania przez matki dzieci do sierocinców polskich. Nie rzadko rodzice wysyłają dzieci same w drogę około 100 kilometrów, pieszo każąc im zgłosić się do sierocinców..."

Niestety, przewidywania naszej Ambasady, że władze sowieckie nie będą robiły zasadniczych trudności przy ewakuacji naszych dzieci były całkowicie mylne. Zainterpelowany w tej sprawie przez Prezydenta Roosevelta i Min. Edena, Mołotow dał odpowiedź wymijającą. Sprawę tę rozpatrywał następnie Wyszyński, który odpowiedział interwenjującym, że rozsiewane pogłoski o rzekomej nędzy dzieci polskich w Rosji są nie tylko niezgodne z prawdą, ale wręcz kłamliwe i że dzieci polskie w Rosji korzy



ają zupełnie z tychże praw i przywilejów co i dzieci rosyjskie i że nie widzi konieczności ich ewakuacji.

Władze amerykańskie, nie zasugerowane tą odpowiedzią, na prośbę Rządu Polskiego czyniły dalsze starania w kierunku bodaj częściowej ewakuacji dzieci z Rosji. Minister Spraw Zagr. RP. w dn. 23/VI.1942 pisze do naszej Ambasady w Kujbyszewie:

"Ambasador Amerykański (także zakwaterowany w Kujbyszewie) bawi obecnie w Moskwie. Otrzymał instrukcję, od Roosevelta, aby interweniował u Stalina lub Mołotowa o zgodę na wywiezienie 10.000 dzieci polskich i prawdopodobnie 1.000 matek. Zaprosił je Amerykański Czerwony Krzyż, który już od granicy sowieckiej zaopiekuje się nimi."

Niestety i te usiłowania nie odniosły skutku. Udało mi się odnaleźć tylko do wody, że z Rosji, poza dziećmi i młodzieżą objętą opieką wojska polskiego, ewakuowano w m-cu luty-marzec 1942-200 dzieci i w lutym 1943 - 80 dzieci.

Podana przez Amb. Kota liczba 600.000 naszych obywateli przymusowo wywieziono do Rosji już wtedy nie odpowiadała prawdzie.

Według obliczeń naszego Sztabu Głównego w Rosji cyfra ta wynosiła około 1.200.000, w tym około 320.000 dzieci.

Różnica w obliczeniach wynikała z tego powodu, że ochotnicy do wojska, ściągali ze wszystkich kranców ZSRR i składali zeznania na piśmie, z nazwiskami i imionami tych Polaków, którzy z różnych od siebie niezależnych powodów ruszyć się z miejsca nie mogli. Amb. Kot, w jednym ze swych późniejszych raportów przyznaje, że nie wszystkie okręgi ZSRR objęte zostały opieką naszej Ambasady.

Referat Opieki Społecznej przy Dowództwie Armii Polskiej w Rosji szczególnie uwagę poświęcił sprawie ratowania dzieci. Odkomenderowani żołnierze (obu płci) do pracy przy dzieciach, cały swój wysiłek i starania włożyli w to, by w specyficznych, wojennych warunkach sprostać temu zadaniu.

Mimo to, na 9.000 zarejestrowanych dzieci, 1.863 zmarło jeszcze przed naszą ewakuacją do Iranu.

Ogółem, w ramach ewakuacji PSZbr., z Rosji wywieziono około 7.000 dzieci i młodzieży będącej w rejestracji wojska, nie licząc tych dzieci, które w ramach tejże ewakuacji wyjechały do Iranu z rodzinami, osobami cywilnymi.

W sumie, w 1942-43r. z Rosji wyjechało nie wiele ponad 17.000 dzieci i młodzieży.

W latach 1956-57 nieznana nam liczba Polaków powróciła z Rosji do Polski.

Wywożenie w głąb Rosji naszych obywateli z ziem wschodnich odbywały się i po 1942 roku. Ale o tym jest zupełnie głucho w jakimkolwiek dziennikarstwie.

Trzeba było dopiero przyjazdu do Polski bodaj w 1978r. uzbeckiego piosarza Grigoriego Marianowskiego (?) i związany z jego przyjazdem artykuł w "Echo Krakowa" by się dowiedzieć, że w 1948r. powróciło z Uzbekistanu do Polski 2.000 naszych sierot, które "w zawierusze wojennej trafiły do dzieci domów lub uzbeckich rodzin".

Obszerniejszy artykuł na ten temat ukazał się w Orle Białym - Na Antenie w listopadzie 1978r. podcyfrowany tylko literami: A.S.

Dwa lata temu oglądałam grupowe zdjęcie dzieciarni polskiej w Kazachstanie, prawdopodobnie wnuków lub prawnuków pierwszych, przymusowych tam osiedleńców. Dzieci wyglądały zadbane i jakby rozszczębiotane. Ponoć uczą się języka polskiego.

Dziecięcy rejestr naszych strat z ziem wschodnich ma czyste, niezapisane kartki, a na stronie tytułowej rejestru jest tylko wielki znak zapytania.

I znow stoimy u progu zbliżającej się katastrofy w pierwszym rządzie dotyczącej naszych dzieci w Kraju a noworodków przede wszystkim. Jest tam zupełny brak artykułów pierwszej potrzeby do ich utrzymania i pielęgnacji. Pisze o tym z Polski oczekująca rozwiązania matka do angielskiego dziennika "Sunday Mirror", do redaktorki działu kobiecego Clair Rayner. W związku z tym, 14go wrzesnia tego roku "Sunday Mirror" na stronie tytułowej ogłosił odezwę do swych obywateli pod tytułem: "Ocal Polskie Dzieci".

Spontaniczna reakcja angielskiego społeczeństwa na tę odezwę jest wspaniała. Sypią się obficie dary w naturze i w gotówce ze wszystkich stron Anglii aż od północnej Szkocji. Zjednoczenie Polek na Emigracji w Londynie pośredniczy i dary nieprzerwanym łańcuchem idą już do Polski.

A my? Czy rzeczywiście robimy wszystko co jest w granicach naszych możliwości

*M. Trajmanowa*

19/29

## TRANSPORTY !

Wprawdzie rozkaz Dowództwa Armii z dnia 24 kwietnia 1942 roku, L.Dz.1346, w punkcie 4 mówi, że ochotniczki mogą być przydzielone do prac fizycznych, także jako szoferki (zmieniono to określenie później na "kierowczynie") to jednak tego rozkazu wykonać na terenie Rosji nie dało się, bo nie przydzielono nam samochodów nawet do celów szkoleniowych.

Pierwsze szkolenie kierowczyń samochodowych odbyło się w Teheranie (Persja) po przybyciu tam ochotniczek pierwszą ewakuacją z Rosji. Wyszkolone kierowczynie przybyły do Juleula (Irak) - tam otrzymały prawo jazdy tworząc Kompanie 320. W Palestynie, w Rehovoth zorganizowano próbny pluton szkoleniowo-transportowy. szkolenie zakończono z końcem września 1942 r.

W styczniu 1943 r. w miejscowości Gedera - Palestyna (obecnie Izrael) rozpoczęto szkolenie kierowczyń. Kurs objął ponad 700 kandydatek i trwał 3 miesiące. Nie tylko musiały one umieć prowadzić wóz, ale znać na pamięć każdą najmniejszą jego część składową, ogólną mechanikę i konserwację.

Po zakończeniu kursu zorganizowano dwie Kompanie Transportowe - 102 i 103, które w okresie późniejszym przemianowano na Kompanie 316 i 317.

Kompania 320 została rozwiązana, a ochotniczki-kierowczynie włączone do Kompanii 316 i 317.

Na dowódców tych Kompanii i poszczególnych plutonów wyznaczono oficerów-mężczyzn z tym, że oficerowie-kobiety dublowały stanowiska dowódców plutonów.

Do każdej kompanii przydzielono także pluton warsztatowy, obsługiwany wyłącznie przez mężczyzn.

W dniu 9 sierpnia 1944 nastąpiło usamodzielnienie się Kompanii 316, której obsługę objęły całkowicie kobiety. Pluton warsztatowy przy kompanii, aż do rozwiązania Polskich Sił Zbrojnych, bezpośrednio podlegał Szefostwu Zaopatrzenia i Transportu 2 Korpusu.

Z naszym Plutonem Warsztatowym żyliśmy w idealnej zgodzie, bo współpraca Plutonu z nami była dla wszystkich niezmiernie ważna i cenna.

317 Kompania Transportowa już we Włoszech usamodzielniała się w kilka miesięcy po 316 Kompanii.

Pamiętam jak dziś nasz pierwszy wycieczny transportowy! Wyjechałyśmy pociągiem do Kairu, aby stamtąd przetransportować do Palestyny i dalej setkę trzytonowych wozów Chevrolet, dostarczonych dla naszych oddziałów przez aliantów.

W Kairze dopiero je montowano w angielskich warsztatach, musiałyśmy więc czekać kilka dni na zakończenie robót warsztatowych. Wreszcie o pewnym świcie kolumna samochodowa z obsługą kierowczyń wyruszyła w drogę powrotną do Palestyny. I tu zaczęły się nasze utrapienia. Pedały odpadały - hamulce nie działały - a w jednym wypadku kierownica została w ręku kierowczynie. Miałyśmy jednak w zespole kilku naszych mechaników, którzy z miejsca usuwali błędy i niedociągnięcia angielskich warsztatów. Wpłynęło to jednak hamująco na czas trwania naszej podróży do Gedery. Dojechałyśmy jednak szczęśliwie, bez żadnego poważniejszego wypadku zarówno w ludziach jak i sprzęcie. Dalej już wszystko szło jak w zegarku.

W dniu 4 maja 1944 roku 316 Kompania Transportowa wylądowała we Włoszech. W ciągu roku tj. do 5 maja 1945, Kompania wykonała 31.129 świadczeń transportowych, przebywając 1.978,108 mil, przy użyciu 202.857 galonów benzyny.

Przewieziony przez Kompanie tonaż: 6,626 ton amunicji, 30,410 ton materiałów pędnych, 77,902 ton żywności, 25,320 ton sprzętu materiałowego.

Przewożono także transporty naszych żołnierzy, zmieniających miejsca postoju.

Największą jednak satysfakcję miały kierowczynie przy przewożeniu prawie z linii frontu do naszej Bazy w Motoli (600-700 mil) wziętych do niewoli Niemców.

317 Kompania wylądowała we Włoszech w kilka miesięcy po nas. Świadczenia i przewieziony tonaż tej Kompanii różni się tylko w skróconym czasie jej pobytu we Włoszech do zakończenia wojny.

Ciężka praca fizyczna, wymagająca przy tym opanowania, skupienia, zastrzeżenia i obserwacji, a również zaradności (szczególnie podczas dalekich podróży

i przy niekiedy zdarzających się defektach wozów) wyrobiła w dziewczętach-żołnierzach duże poczucie odpowiedzialności i samodzielności. Czynnikiem dodatnim było to, że nie używały alkoholu. Również poczucie dumy, że wykonują pracę taką samą jak i koledzy mężczyźni dodawało im bodźca.

Z wyjątkiem tragicznie zmarłej na postoju ochotniczki Henryki Gromulskiej kierowniczy z 316 Kompanii, nie spowodowały one żadnego wypadku śmiertelnego ani zniszczeń powierzonego im pieczy sprzętu.

Na 330 kierowniczy w Kompanii (według etatu), ponad 200 miało za sobą w najlepszym razie szkołę powszechną. Wiele z nich rodzin osadników rolnych wołyńskich i podolskich. Gdy dziś o nich myśle, to muszą przyznać, że swoją postawą wzbudzały wielki szacunek i niekłamany podziw. Dowodem tego niech będzie i to, że obie Kompanie otrzymały szereg pochwalnych rozkazów, i to nie tylko od dowództw polskich ale i alianckich.

Wśród naszych lekarzy wojskowych utarło się powiedzenie, że praca kierowniczy ujemnie odbija się na ich zdrowiu w przeszłości, nawet na możliwości rodzenia przez nich dzieci. Żadne szczegółowe badania w tym kierunku nie były ani zarządzone, ani dokonane. Każda Kompania miała swoją lekarkę. Zdarzały się oczywiście wśród nich wypadki chorób kobiecych, tak jak i w innych większych zgrupowaniach kobiecych. Należy jednak wziąć pod uwagę poprzedni, dwuletni okres znacznie cięższej pracy fizycznej, wykonywanej w tajgach i stepach rosyjskich, o wiecznym głodzie i chłdzie. To był okres ich dzieciństwa, najważniejszy dla rozwoju kobiety.

Nie zatraciły nic ze swej kobiecości. Wystarczyło tylko wejść do któregoś z ich namiotów. Namiot - prawie od pierwszego, przymusowego wejścia z domu rodzinnego, aż do końca wojny był zasadniczo ich domem i śmiało twierdzić, że tak to czuły.

W namiocie idealny porządek i czystość. W przewidzianym porządku ustawione łóżka, pokryte zielonymi kocami. A na zewnątrz u wejścia jasek w białej poszewce, obszyty koronkami, a przy każdym jasku, usadowiona pięknie ubrana lalka. To przemawiały niewyżyte lata dziecięce i nareszcie urzeczywistnienie dotąd niespełnionych marzeń o lalce.

Dowództwo Kompanii oficjalnie o tym nie wiedziało. Dziś prawie wszystkie z którymi bezpośrednio lub pośrednio utrzymuje kontakt, powychodziły za mąż i mają jedno albo kilkoro dzieci.

Poza wymienionymi dwiema kompaniami - już po naszym wyjeździe ze Środkowego Wschodu, zorganizowano tam po raz drugi 320 Kompanie Transportową, w celu szkolenia nowych kierowniczy jako uzupełnienie dla kompanii transportowych we Włoszech.

320 Kompania pracowała na terenie Egiptu i jako całość do Włoch nie wyjechała. Komendantką Kompanii była Krystyna Ostrowska-Bełza.

Należy przyjąć, że w sumie w służbie transportowej w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie było ponad 1,000 Kobiet Żołnierzów.

*Marja Trojancowska*  
*Stajor*

## TRANSPORTY !

Wprawdzie rozkaz Dowództwa Armii z dnia 24 kwietnia 1942 roku, L.Dz.1346, w punkcie 4 mówi, że ochotniczki mogą być przydzielone do prac fizycznych, także jako szoferki (zmieniono to określenie później na "kierowczynie") to jednak tego rozkazu wykonać na terenie Rosji nie dało się, bo nie przydzielono nam samochodów nawet do celów szkoleniowych.

Pierwsze szkolenie kierowczyń samochodowych odbyło się w Teheranie (Persja) po przybyciu tam ochotniczek pierwszą ewakuacją z Rosji. Wyszkolone kierowczynie przybyły do Juleula (Irak) - tam otrzymały prawo jazdy tworząc Kompanie 320. W Palestynie, w Rehovoth zorganizowano próbny pluton szkoleniowo-transportowy, szkolenie zakończono z końcem września 1942 r.

W styczniu 1943 r. w miejscowości Gedera - Palestyna (obecnie Izrael) rozpoczęto szkolenie kierowczyń. Kurs objął ponad 700 kandydatek i trwał 3 miesiące. Nie tylko musiały one umieć prowadzić wóz, ale znać na pamięć każdą najmniejszą jego część składową, ogólną mechanikę i konserwację.

Po zakończeniu kursu zorganizowano dwie Kompanie Transportowe - 102 i 103, które w okresie późniejszym przemianowano na Kompanie 316 i 317.

Kompania 320 została rozwiązana, a ochotniczki-kierowczynie włączone do Kompanii 316 i 317.

Na dowódców tych Kompanii i poszczególnych plutonów wyznaczono oficerów-mężczyzn z tym, że oficerowie-kobiety dublowały stanowiska dowódców plutonów.

Do każdej kompanii przydzielono także pluton warsztatowy, obsługiwany wyłącznie przez mężczyzn.

W dniu 9 sierpnia 1944 nastąpiło usamodzielnienie się Kompanii 316, której obsługę objęły całkowicie kobiety. Pluton warsztatowy przysłużył się kompanii, aż do rozwiązania Polskich Sił Zbrojnych, bezpośrednio podlegał Szefostwu Zaopatrzenia i Transportu 2 Korpusu.

Z naszym Plutonem Warsztatowym żyliśmy w idealnej zgodzie, bo współpraca Plutonu z nami była dla wszystkich niezmiernie ważna i cenna.

317 Kompania Transportowa już we Włoszech usamodzielniała się w kilka miesięcy po 316 Kompanii.

Pamiętam jak dziś nasz pierwszy wycieczny transportowy! Wyjechałyśmy pociągiem do Kairu, aby stamtąd przetransportować do Palestyny i dalej setkę trzypięciotonowych wozów Chevrolet, dostarczonych dla naszych oddziałów przez aliantów.

W Kairze dopiero je montowano w angielskich warsztatach, musiałyśmy więc czekać kilka dni na zakończenie robót warsztatowych. Wreszcie o pewnym świcie kolumna samochodowa z obsługą kierowczyń wyruszyła w drogę powrotną do Palestyny. I tu zaczęły się nasze utrapienia. Pedaly odpadały - hamulce nie działały - a w jednym wypadku kierownica została w ręku kierowczynie. Miałyśmy jednak w zespole kilku naszych mechaników, którzy z miejsca usuwali błędy i niedociąganie angielskich warsztatów. Wpłynęło to jednak hamująco na czas trwania naszej podróży do Gedery. Dójechaliśmy jednak szczęśliwie, bez żadnego poważniejszego wypadku zarówno w ludziach jak i sprzęcie. Dalej już wszystko szło jak w zegarku.

W dniu 4 maja 1944 roku 316 Kompania Transportowa wylądowała we Włoszech. W ciągu roku tj. do 5 maja 1945, Kompania wykonała 31.129 świadczeń transportowych, przebywając 1.978,108 mil. przy użyciu 202.857 galonów benzyny.

Przewieziony przez Kompanie tonaż: 6,626 ton amunicji, 30,410 ton materiałów pędnych, 77,902 ton żywności, 25,320 ton sprzętu materiałowego.

Przewożono także transporty naszych żołnierzy, zmieniających miejsce postoju.

Największą jednak satysfakcję miały kierowczynie przy przewożeniu prawie z linii frontu do naszej Bazy w Motoli (600-700 mil) wziętych do niewoli Niemców.

317 Kompania wylądowała we Włoszech w kilka miesięcy po nas. Świadczenia i przewieziony tonaż tej Kompanii różni się tylko w skróconym czasie jej pobytu we Włoszech do zakończenia wojny.

Ciężka praca fizyczna, wymagająca przy tym opanowania, skupienia, zaostrowania uwagi i obserwacji, a również zaradności (szczególnie podczas dalekich podróży

i przy niekiedy zdarzających się defektach wozów) wrobiła w dziewczęta-żołnierzach duże poczucie odpowiedzialności i samodzielności. Czynnikiem dodatnim było to, że nie używały alkoholu. Również poczucie dumy, że wykonują pracę taką samą jak i koledzy mężczyźni dodawało im bodźca.

Z wyjątkiem tragicznie zmarłej na postoju ochotniczki Henryki Gromulskiej kierowniczy z 316 Kompanii, nie spowodowały one żadnego wypadku śmiertelnego ani zniszczeń powierzonego im pieczy sprzętu.

Na 330 kierowniczy w Kompanii (według etatu), ponad 200 miało za sobą w najlepszym razie szkołę powszechną. Wiele z nich rodzin osadników rolnych wołyńskich i podolskich. Gdy dziś o nich myśle, to muszą przyznać, że swoją postawą wzbudzały wielki szacunek i niekłamany podziw. Dowodem tego niech będzie i to, że obie Kompanie otrzymały szereg pochwalnych rozkazów, i to nie tylko od dowództw polskich ale i alianckich.

Wśród naszych lekarzy wojskowych utarło się powiedzenie, że prace kierowniczy ujemnie odbiję się na ich zdrowiu i przyszłości, nawet na możliwości rodzenia przez nich dzieci. Żadne szczegółowe badania w tym kierunku nie były, ani zarządzony, ani dokonane. Każda Kompania miała swoją lekarke. Zdarzały się oczywiście wśród nich wypadki chorób kobiecych, tak jak i w innych większych zgrupowaniach kobiecych. Należy jednak wziąć pod uwagę poprzedni, dwuletni okres znacznie cięższej pracy fizycznej, wykonywanej w tajgach i stepach rosyjskich, o wiecznym głodzie i chłodzie. To był okres ich dzieciństwa, najważniejszy dla rozwoju kobiet.

Nie zatraciły nic ze swej kobiecości. Wystarczyło tylko wejść do któregoś z ich namiotów. Namiot - prawie od pierwszego, przymusowego wyjeścia z domu rodzinnego, aż do końca wojny był zesadniczo ich domem i śmiem twierdzić, że tak to czuły.

W namiocie idealny porządek i czystość. W przewidzianym porządku ustawione łóżka, pokryte zielonymi kocami. A na zewnątrz u wozolowia jasek w białej poszewce, obszyty koronkami, a przy każdym jasku, usadowiona pięknie ubrana lalka. To przemawiały niewżywte lata dziecięce i nareszcie urzeczywistnienie dotąd niespełnionych marzeń o lalce.

Dowództwo Kompanii oficjalnie o tym nie wiedziało.

Dziś prawie wszystkie z którymi bezpośrednio lub pośrednio utrzymuje kontakt, powychodziły za mąż i mają jedno albo kilkoro dzieci.

Poza wymienionymi dwiema kompaniami - już po naszym wyjeździe ze Środkowego Wschodu, zorganizowano tam po raz drugi 320 Kompanie Transportową, w celu szkolenia nowych kierowniczy jako uzupełnienie dla kompanii transportowych we Włoszech.

320 Kompania pracowała na terenie Egiptu i jako całość do Włoch nie wyjechała. Komendantką Kompanii była Krystyna Ostrowska-Bełza.

Należy przyjąć, że w sumie w służbie transportowej w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie było ponad 1.000 Kobiet Żołnierz.

*Maria Trojanowska*

*Major*

## BYŁO TO W FORLI.

Któregoś dnia moja gospodyni, włoszka, u której wynajmowałam pokój, przyprowadziła do mnie jakiegoś Pana po cywilnemu mówiąc, że ten pan ma mi coś do powiedzenia. Mówić było trudno, bo gość mówił po jugosłowiańsku a ja tego języka nie znałam. Przeplatał go więc trochę włoskim.

Z tego coś zrozumiałam, uciekł on od ludzi, którzy go chcieli zamordować i prosi o pomoc by się dostać do kogoś z naszego Sztabu Korpusu, bo ma takie zlecenie od swoich, jugosłowiańskich władz.

Był to już późny wieczór, więc nic innego mi nie pozostało jak poscielić mu w przylegającej komórce i dać mu się wyspać.

Rano, po śniadaniu wsadziłam go do łazika i pojechaliśmy do naszego Sztabu. Tam odszukałam kpt. Wozniaka i PRZEKAZAŁAM mu mego niespodziewanego gościa nocnego.

Po jakimś czasie dostalam od tego pana list pisany po jugosłowiańsku i załączoną do niego odznakę dla mnie dotąd nie znaną.

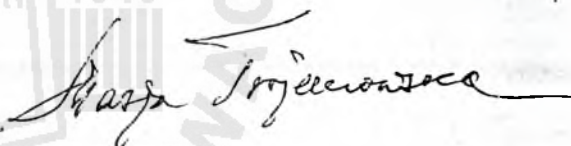
Pojechałam do Płk. Wysłouchowej, która znalazła tłumacza.

Załączam kopię tego listu.

Odznakę z dużą literą "P" (pisana po rosyjsku) zaczęłam wtedy nosić na mojej "prawej" kieszeni munduru. Jest ona przypięta do mojego frencza, który w tym roku zdałam FUNDACJI I CENTRUM 2go KORPUSU w Orozad Lake, Michigan.

Kopia listu PPulk. ZIVOSADA d Andric jest też u was w moich papierach ale na wszelki wypadek raz jeszcze go posyłam, by włożyć go do prawej kieszeni frencza, do której jest przypięta odznaka.

x) "P"



M. Trojanowska

1/34

Szanowna Pani!

Szczęśliwy jestem, że mając okazję, z całego serca z największą radością podziękować mogę i pozdrowić kobietę, którą spotkałem może w najcięższym momencie mego życia, gdy trzeba było bym wykonał swoje specjalne zadanie. Nigdy nie zapomnę Pani, Jej stanowiska tak pełnego powagi, zrozumienia i współczucia, które Pani okazała wobec mnie. Pani oczy i dusza mówiły, że dużo wiedzę i rozumieję. Świadomy byłem wtedy, a teraz może więcej na jakie niebezpieczeństwo i ofiarność Pani się narażała uczyniwszy mi wtedy tę usługę, tym bardziej, że wielu znanych i nieznanym Pani ludzi przedemną i po mnie tak dużo grzeczności doznali od Pani.

Szanowna Pani, Miła Siostrze (proszę mi wybaczyć, że Panią tak nazywam), ja wierzę, że Pani sama nie wiedziała, komu wtedy Pani pomogła i w momencie kiedy cały świat był przeciw żołnierzom J.K.M. Króla Piotra II i gen. Draży Michajłowicza, a ja byłem jednym z jego współpracowników, wtedy na pare dni przedtem odłączyłem się od niego i w związku z wykonaniem specjalnych zadań znalazłem się na ~~terenie~~ we Włoszech.

Proszę mnie zrozumieć, dlaczego wtedy nie powiedziałem wszystkiego o sobie, ale musi Pani wiedzieć, że wtedy pare dni przedtem stałem pod murem skazany na rozstrzelanie przez włoskich partyzantów, więc może postępowanie moje było później nie na miejscu.

Chciałbym, by Panie zechciała uwierzyć, że ten wspaniały gest Pani zostanie w duszy mojej na zawsze jako najszlachetniejszy wojskowy wyczyn bratniego Wojska Polskiego i który gdy Bóg pozwoli, znajdzie wśród naszych miarodajnych czynników swój oddźwięk i szlachetne uznanie.

O ile chodzi o moją wdzięczność, jestem przekonany, że tę odznakę, którą odpinam z mych piersi i posyłam Pani, Siostrze Dostojna Tego, że choć w części okaże mi wdzięczność. To jest „Woskowa Odznaka Równogórska”, w której symbolicznie przedstawiony jest nasz Włodarz i walka gen. Draży Michajłowicza z jego inicjami. Da Bóg, że niedługo ujrzymy znów naszą umęczoną Ojczyznę w ~~nowym~~ nowym blasku swobody i będziemy w szczęśliwszych dniach i w inny sposób pomagać jedni drugim, co dla mnie będzie nadzwyczaj ważnym i wielkim momentem.

Proszę Panią bardzo wyrazić moją głęboką wdzięczność i braterskie pozdrowienia Panu Kpt. Woźniakowi, por. Holenderskiemu i Iwanowskiemu, między którymi naprawdę czułem się tak, jak między swoimi Kolegami Oficerami.

Z wielkim szacunkiem pozdrawiam Panią i zasyłam ucałowanie rączek


(-) Zivorad D Andrić  
ppu.k.szt.gen.naczelnik Sztabu  
Król. Jug. Wojsk Zagranicą

4.XI.1945 r.  
EBOLI.

P.S.

Proszę mi wybaczyć, że w ten sposób i na takim papierze piszę do Pani, ale choć warunki są inne, myśli są zawsze te same.

Za zgodność tłumaczenia:  
INSPEKTORKA P.S.K.2.KORPUSU:

  
/ WYSŁUCHOWA /  
p.k.

27-8-1988 1/35

## Jeszcze Jugosłowianie.

Niedaleko od naszej Kompanji był duży, odosobniony obóz za drutami z Jugosłowianami. Cała Dywizja z Generałem na czele.

Nigdy nie dochodziłam dlaczego tam ich posadzono i zaco? Ich sprawy polityczne nas żołnierzy nie obchodziły. Coś musiało ich zmusić do ruszenia się od swojego kraju. W pierwszym rządzie zapewne Tito, a przecież prawie każdy z nas wiedział że jeżeli tak było, to słusznie wybierali miejsce ich zdania mniejszego zła, siedząc w strzeżonych przez Niemców obozach.

Pewnego dnia jeden z chudzielców tego obozu przyszedł do naszej kancelarji prosząc o zobaczenie się z Dowódcą. Przeciął gdzieś druty swego obozu, by dostać się na zewnątrz.

Miał prośbę. Był Adjutantem Generała siedzącego w w/w obozie. Drugi ponoć podobny obóz z innym generałem był od nas odległy o 30 mil w zajętych już przez nas terenach. Błaga o możliwość dostania się do tamtego obozu, by przekazać tamtemu Generałowi pozdrowienia od tu-tejszego i przekazać mu pewne uwagi.

Byłam wtedy na terenie plutonu Por. Filzek. Zapytałam ją, czy może to załatwić. Zawołała Szefa Plutonu Bielakiewicz, która powiedziała że orjentuje gdzie jest ten drugi obóz i że może naszego gościa tam podrzucić, poczekać z godzinę i przywiesić go z powrotem. Jutro rano o szóstej położy się Pan w tej ciężarówce (pokazała), przykryje się plandeką a ja przyjde po pół godzinie i nie zaglądając do wozu wyjadę z obozu.

Tak też się stało. A po blisko 3ch godzinach wóz wrócił, szoferka wyszła z wozu i poszła na swoją kwaterę nie oglądając się.

We dwójkę z Adjutantem zrobili taki wypad raz jeszcze.

Myśmy zdobyli Eolonję i wojna została skończona.

Niektóre nasze oddziały zaczęły wracać na pierwotne miejsca zakwaterowań.

316 Kompania wróciła do Porto-Recanati!

Któregoś dnia ktoś zastukał do moich drzwi. Wejść! Przedemną stanął znany mi Adjutant.

Usiedliśmy i zaczęliśmy rozmawiać. Chciałam coś więcej o nim wiedzieć.

Był muzykiem. Skończył Konserwatorium a także posiadał szerokie wiadomości z zakresu muzykologii. Jest żonaty, żona w Jugosławji. Nie nawiązała do powrotu i sama zdecydowała się dobrać do niego. Ten, co przyniósł mu tę wiadomość stwierdził niestety-jej przejście nie udało się i siedzi w więzieniu.

On sam zgłosił się do jednego z naszych szpitali do pracy fizycznej. Ma co jeść i gdzie spać.

Byłam mile zaskoczona, że mówił mi to wszystko prawie poprawnie po polsku. Uczę się waszego języka. Nazywan się teraz Jan Kowalski".

Po tygodniu znów wpadła z płaczem. Dostał wiadomość, że żona zmarła w więzieniu na tyfus.

W następnym tygodniu, gdy na pukanie otworzyłam drzwi, stanął w nich rozesmiany Kowalski z uśmiechniętą, młodą Panią. Żona, która w więzieniu tyfusu nie przeszła ale skorzystała ze zmarłej tam koleżanki i wykupiła się na wolność pierścionkami.

Wynajęłam na kilka dni od włoszki drugi pokój, by dać jej możliwość wypoczynku. PO paru dniach oboje zniknęli z mojej widowni.



## Bo My z Transportu . . .

Okres trzyletniej pracy Kompanii Transportowych PSK został jak gdyby na zewnątrz zamknięty uroczystym obchodem w dniu 14 marca 1946 w m.p. obu Kompanii przy współudziale wielu dostojnych gości.

Rezultat tego okresu pracy zamknięty został w danych statystycznych, w cyfrach, które postawiły kompanie transportowe PSK na równym poziomie z innymi kompaniami transportowymi co daje nam przeświadczenie o wartości naszego wysiłku.

Jako jedna z nielicznych pionierek tej nowej dla kobiet dziedziny pracy, chcę tu pokusić się o zrobienie bilansu z życia tych Kompanii, z realizacji dążeń i planów tych setek kobiet, których przeznaczeniem jest na widowni świata raz jeszcze odtworzyć w sposób modernistyczny historię kobiety polskiej.

Gdy rozpoczynałyśmy naszą pracę — propaganda niemiecka, chcąc w opinii własnej i naszego kraju obniżyć naszą wartość, ochrzciła nas mianem "haremu" gen. Andersa.

Dziwny to był "harem", który po przebytych tyfusach i różnorodnych azjatyckich chorobach od świtu do nocy pracował dosłownie obłany potem, przy obsłudze maszyn. Czasami bez posiłku, czasami bez snu. Miast przysłowiowych naszymi, otrzymałyśmy w darze lśniącą stal broni, miast dywanów — piach, a do snu kołysało nas wycie szakali. To był początek.

A później "malaryczna armia gen. Andersa przygotowuje się do wzięcia udziału w akcji . . ." Ile w tym było prawdy, tylko my wiemy, hojnie obdarzone przez czerwony wschód malarią, która na podatnym gruncie Środkowego Wschodu stała się nieomal powszechną. Kładłyśmy się i my pokotem. Gorączka dopadała nas wszędzie, na każdym odcinku pracy i dnia — czy to w dusznym, zasypanym piachem namiocie, czy przy kierownicy, czy też na warcie. W tej walce w wyścigu z chorobą zrodziło się wielkie poczucie koleżeństwa. Te, które już podnosiły się z twardego

żołnierskiego posłania, bez słowa, bez zachęty lub skargi, zastępowały przy kierownicy inne, które padały podcięte gorączką. Na szosach bez przerwy przemykały trzytonówki, obładowane pod wierzch. A z kabin wyglądały uśmiechnięte, pogodne, rozśpiewane lecz przybladłe, niemal dziecinne twarzyczki.

A później już na włoskim froncie, przez całą kampanię — dzień i noc, noc i dzień, często bez odpoczynku, snu, bez posiłku kursowały dobrze już znane trzytonówki z amunicją, benzyną, sprzętem saperskim, żywnością i jeńcami.

I przyszedł dzień 7 maja 45 roku — zawieszenie broni. W entuzjazmie okrzyków obcego tłumy, w odgłosie dział wiwatujących, w kolorowych rozsypanych się bryzgach rakiet — rozświetlających czerń nocy, na które patrzyły zdumione, jakby nierozumiejące, niebieskie oczy. Na kwaterach cicho i smutno. Nie słyhać żartów, ni śpiewów, nie słyhać i płaczu, co szarpał się w duszy. Nie przychodziły i nie pytały te w 92 procentach zza linii Curzona, co czynić dalej? Po odpowiedź szły do własnych serc. Do zdrowego, nie skażonego przekupstwem lub strachem umysłu dotarła świadomość źródła siły i prawdy.

Znalazły je w książkach, na ławach szkolnych i związkach rodzinnych, dając nowe życie tym, którzy staną kiedyś do pracy w Ojczyźnie i bronić będą jej wolności i bezpieczeństwa.

Na lśniących wstęgach szos w dalszym ciągu przemykają brunatne trzytonówki, a z kabin jak zwykle wyglądają pogodne, uśmiechnięte twarze. Tylko w niebieskich oczach narodził się wyraz dojrzałej decyzji, która ze spokojem karze przyjmować obelgi, rzucane przez słabych duchem pod adresem 2. Korpusu — decyzji, która im kazała chować do kieszeni oświadczenie Tymczasowego Rządu Warszawskiego, nie polskim sercem dyktowane. Te kobiety nie są i nie będą niczymi wyrobnicami, choć i na obcej ziemi, jeśli tak zrządzi los. Tworzyć na niej będą wolną polską myśl, którą czas oblecze w czyn. Wbrew poboż-

nym życzeniom niektórych, tworzyć będą potężny chór głosów mówiących o absurdzie linii Curzona. Tworzyć wreszcie będą legendę o kobiecie polskiej dla tych w kraju, którzy czują i myślą tak samo jak one.

Taka to jest twarda wola tych Polek — żołnierzy o drobnych rękach na kierownicy, o pogodnych niebieskich oczach, z uśmiechem i piosenką na ustach. A piosenka choć prosta i banalna w układzie wyraża tak wiele:

*‘Bo my z transportu — bo my z transportu  
Robimy to dla sprawy Świętej,  
a nie dla sportu . . . ’*

Kobieca 316 Kompania składała się z czterech plutonów transportowych, jednego zapasowego oraz plutonu administracyjnego — łącznie 333 kobiet — żołnierzy. Do Kompanii przydzielony był i podlegał wyłącznie D-twu Zaopatrzenia i Transportów pluton mechaniczno-naprawczy, złożony wyłącznie z kolegów-mężczyzn. Dowódczyniami plutonów były kobiety w randze podporuczników, z-ca Kompanii w stopniu porucznika.

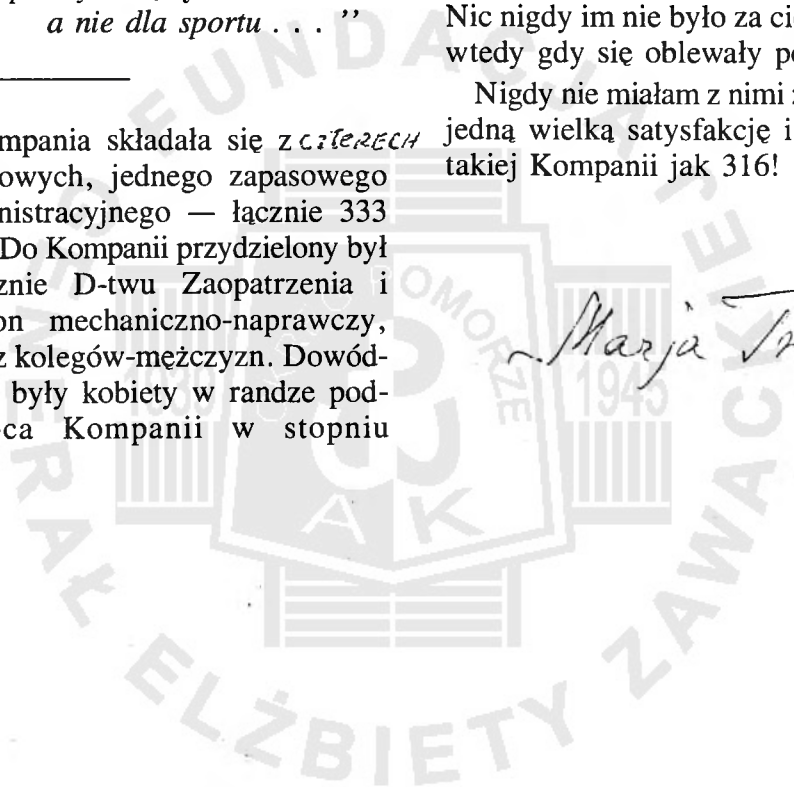
Zadanie Kompanii: — wszystkie dostawy do najbardziej wysuniętych pozycji wojskowych, zwykle w terenie górzystym i przeważnie pod ostrzałem wroga. Dużą satysfakcję miały kierowniczynie odwożąc wziętych do niewoli Niemców do Bazy 2 Korpusu.

Po powrocie z pracy do Kompanii — pożywienie z kotła, a potem przegląd całego wozu od ‘A’ do ‘Z’, by przygotować go do wyjazdu na dzień następny. Ta czynność odbywała się stale, mimo nadludzkiego nieraz zmęczenia.

Żyły tą naszą ‘wspólną sprawą — całym sercem. Nic nigdy im nie było za ciężko coś zrobić, nawet wtedy gdy się oblewały potem.

Nigdy nie miałam z nimi żadnych kłopotów tylko jedną wielką satysfakcję i zaszczyt być dowódcą takiej Kompanii jak 316!

*Marja Trojancowska  
Majors*



MARIA TROJANOWSKA - pseudonim "Rysia", córka Stanisława urodziła się w Kijowie 24 lutego 1905r. przypuszczalnie w polskiej inteligenckiej rodzinie. Do kraju wróciła wraz z Polską Macierzą Szkolną w 1922r. początkowo do Lublina, potem zamieszkała w Warszawie. Tam ukończyła gimnazjum i pracowała zarobkowo w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych, jako urzędniczka. Od początku działała w organizacjach społecznych, najpierw w "Sokole", potem w Przyposobieniu Wojskowym Kobiet.

Wrzesień 1939r zastał ją na stanowisku instruktorki-komendantki na powiat Grójec. W październiku złożyła przysięgę na ręce mjr. Janiny Karaś - pseudo "Haka". Z jej polecenia została skierowana do służby kurierskiej. Dwukrotnie przynajmniej przeprowadzała łączników Rządu we Francji do granicy węgierskiej.

W końcu stycznia 1940r mjr. Karaś planowała wysłać i ją do Francji. Plany te zmieniły się i "Haka" zleciła jej przeprowadzenie na ówczesny teren okupacji sowieckiej generała Michała Tokarzewskiego do Lwowa. S.Z.P. było już wtedy przemianowane na ZWZ, której generał był pierwszym komendantem. Do Lwowa szedł z zadaniem rozbudowania związku na terenie Okręgu. "Rysia" proponowała znaną sobie trasę przez Rawę Ruską, generał zdecydował jednak podróż pociągiem do Przeworska i tam przeprową przez rzekę San. Wyruszone w cztery osoby: generał jako lekarz, Tadeusz Mirowski, Antonina Płońska, Halina Karaś, siostra Haki i Rysia. W Przeworsku spotkał ich przedstawiciel okręgowy Stronnictwa Ludowego, Piotr Świetlik. Miał wytyczoną trasę i nocleg w pobliżu Sanu, w leśniczówce. W drodze saniami Trojanowska spostrzegła, że miejscowa ludność rozpoznaje generała, który przed wojną był d-cą O.K. Lwów. Z leśniczówki Świetlik wysłał Trojanowską na rozpoznanie do pobliskiej wioski, gdzie miał czekać umówiony przewodnik. Nie zastała go, przenocowała w przygodnej chacie, rano zaś zabrał ją stamtąd niemiecki patrol. Przeprowadzono na niej dokładną rewizję. Tłumaczyła, że próbuje przedostać się na stronę sowiecką, by zdobyć żywność dla dzieci. Niemiecki oficer zwolnił ją, ostrzegając, że Sowieci aresztują wszystkich po drugiej stronie Sanu. Wróciła więc piechota 7 km. do leśniczówki. d

z Piotrem Świetlikiem i po nieudanej przeprawie przez San, postanowiono wrócić do Przeworska. Tamtejszy gospodarz ofiarował się osobiście przeprowadzić grupę, lecz na drugim brzegu Sanu cała czwórka została aresztowana. Uprzednio uzgodniono, że podróżnicy nie znają się, że spotkali się przypadkowo w trakcie wyprawy po żywność.

Zostali osadzeni w więzieniu w Przemyślu, gdzie niespodziewanie zwolniono Halinę Karaś, która bezskutecznie usiłowała im pomóc. Wszyscy zostali wywiezieni do więzienia w Dniepropietrowsku. "Rysia" znalazła się w pięćdziesięciosobowej celi, w której były też dwie szpiegujące Rosjanki. Śledztwo każdej z aresztowanych trwało nocami po kilka tygodni. Trojanowska nie przyznała się do niczego, oskarżona o szpiegostwo, otrzymała ostatecznie wyrok: 5 lat łagru za nielegalne przekroczenie granicy. Stęlpinką dojechała do więzienia w Charkowie, gdzie mieścił się punkt przesyłkowy, następnie znalazła się w posiołku Jawas Mordawskaja ASSR. Umieszczono ją w w baraku Polek w Połmie. W pierwszy miesiąc 1941r. została poddana powtórnemu badaniu, cały czas trzymała się jednak początkowo podanej wersji. Przynajmniej otrzymała gazetę radziecką, z której dowiedziała się o umowie Stalina z gen. Sikorskim. 12 sierpnia zwolniono ją, jako polską obywatelkę, polecając osiedlić się poza Rosją centralną, nie mówiąc nic o tworzącym się wojsku polskim. Trojanowska poprosiła o bilet do Astrachania, ~~gdzie~~ przez trzy dni koczowała na dworcu w Saratowie. Tam pierwszy raz dostrzegła polskiego żołnierza i wieczorem znalazła się w 5-tej Dywizji Piechoty WP. pod dowództwem generała Boruty Spiechowicza. Dwa tygodnie gościła w 6-tej Dywizji, traktowana jako specjalny gość gen. Michała Tokarzewskiego w Szchirziabas. Tam spotkała Tolę Płońską, komendantkę PWSK i tam została wcielona do służby 16 września 1941r

Została mianowana komendantką tworzącej się piątej Kompanii PWSK w Tatiszczewie. od 24 listopada -41 do 31 maja -42 uczęszczała na Kurs Szkoły podchorążych, który ukończyła zdając pomyślnie egzamin. 24 czerwca 1942r na własną prośbę opuściła 5-tą Dywizję i objęła etat zastępczyni inspektorzy PWSK w Babelnie na okres służby 1941-44.

1/1/42

W styczniu 1943 rozpoczęła a 13 marca tegoż roku ukończyła Kurs Pojazdów Wojskowych w Gederze (Palestyna). Na kursie tym poznała ogólną mechanikę, konserwację, najdrobniejszą część składową wozu i stała się pełnoprawnym kierowcą. W tym czasie zorganizowano dwie kompanie transportowe 102 i 103, przemianowane później na 316 i 317. Trojanowska była z początku zastępcą komendanta (mężczyzny) Kompanii 316, zaś po ukończeniu Kursu Oficerów Zaopatrzenia i Transportu w OWA w Gederze od 13 stycznia 1944 mianowano ją inspektorką Kompanii 316, 317 i 320. Od sierpnia 1944 do maja 1946 była dowódcą Kompanii Transportowej 316. Podczas działań wojennych dowoziła zaopatrzenie dla walczących oddziałów Drugiego Korpusu. Wozila na linię frontu amunicję, broń, w drodze powrotnej zaś jeńców niemieckich. Potrafiła stworzyć bardzo dobre stosunki z podkomendnymi, którym starała się być nie tylko wymagającym szefem, lecz również troskliwą opiekunką i przyjaciółką. Podkomendne wyraziły szczere przywiązanie do swojej komendantki, żegnając ją laurkami i żołnierską poezją.

Służbę w Kompanii Transportowej zakończyła 13 czerwca 1946, kierując do podkomendnych znamienny rozkaz. Dziękowała im za postawę, prosząc by w dalszym życiu, które czeka je w różnych karajach i w różnych okolicznościach, zachowały postawę godną polskiej kobiety z naczelnym hasłem Boga i honoru.

Przeniesiona do sztabu w Londynie została zdemobilizowana 7 marca 1949r w stopniu majora. Otrzymała odznaczenia:

Krzyż Walecznych dwukrotnie, Srebrny Krzyż zasługi z Mieczami, Krzyż Monte Cassino, Medal Wojska Polskiego dwukrotnie, Gwiazdę za Wojnę w Italii, Jugosłowiańską Odznakę Równogórską, Krzyż AK, Odznakę Honorową SPK, Odznakę 2-go Korpusu, Złoty Medal Skarbu Narodowego.

Odznakę jugosłowiańską otrzymała za uratowanie życia podpułkownikowi Sztabu geberalnego Armii Jugosłowiańskiej Zivoradowi D. Andricowi. Groziło mu rostrzelanie przez komunistycznych partyzantów włoskich. Trojanowska przechowała go i skontaktowała ze Sztabem polskim

W Londynie, mimo, że znalazła tam sporo przyjaciół trudno jej było zaaklimatyzować się. Odnowiła wprawdzie dawną przyjaźń z panią Aleksandrą Piłsudską, usiłowała pomóc zdemobilizowanym i szukającym swego miejsca byłym podkomendnym, sama w ostecznosci zdecydowała wyjechać do Los Angeles. W końcu 1950r otrzymała pracę kreślarki w Bechtel Corporation w sekcji elektryków. Na tym stanowisku przydały się jej ukończone Kursy Transportowe, w których dużą wagę przywiązywano do wykonywania map i wykresów. Po pewnym czasie zakupiła działkę z dwoma domami. W jednym zamieszkała sama, do drugiego zaś sprowadziła rodzinę koleżanki z wojska ppor. Sabiny Pobereżnej. Oprócz pięcioosobowej rodziny Wojciechowskich zamieszkał tam również kompozytor " Re-Fren". Stworzyła serdeczną atmosferę, gościła koleżanki Ninę Oleńską, dawną ochotniczkę Helenkę, Zofię Łukijanec. Łączyły je wspomnienia, potem wspólne wigilie, wielkanowe " jajka", wreszcie stoliki brydżowe. Żywa, aktywna natura Marii Trojanowskiej nie dozwalała zasklepić się w smutku przegranej. Po przejściu na emeryturę i po wyjeździe przybranej rodziny Trojanowska zajęła się pracą społeczną i pisanie wspomnień. Zaangażowała się w pracy dla dzieci upośledzonych. Prowadziła w ich instytucji zajęcia z terapii i wychowania. Adoptowała na odległość azjażyckie dziecko, przysyłając co miesiąc pewną kwotę na utrzymanie i kształcenie chłopca. Z własnych oszczędności ufundowała na Polskim Cmentarzu Weteranów w amerykańskiej Częstochowie Krzyż.-Pomnik Pamięci Polskich Dzieci, które zginęły na wschodzie.

Na apel proboszcza kościoła polskiego w Los Angeles nikt nie mógł dorównać w hojności składek Marii Trojanowskiej i jej agitacji. Za zebrane pieniądze zakupiono przy parafii dom z ogrodem i zorganizowano w nim Dom Spokojnej Starości " Szarotka". Po sprzedaniu własnych domów " Rysia" sama tam zamieszkała, korzystając z własnego pokoju i z opieki zakonnic. Przebywała tam pięć lat, pisząc wspomnienia, drukowane na łamach Przeglądu Polskiego,

13 lipca 1988 przekazała protokółarnie do Centrum Drugiego Korpusu p

1/1/44

w odniesieniu do 316 Kompanii i Rady Koła Kobiet-Żołnierzy PSZ, zarządzenia naczelnego Wodza o awansach oficerskich PSK, kopie z herbarza kopie dokumentów więziennych z ZSSR, swoje utwory literackie, list od Generała Andersa, swój mundur oficerski majora PSK z baretkami odznaczeń, i bluzę battle dressu.

Czując się gorzej zdążyła jeszcze umieścić tak cenne dla narodu pamiątki we właściwym miejscu. Powalił ją udar mózgu. Ostatnie lata życia spędziła w specjalistycznym szpitalu. Zmarła 31 maja 1991r.

W jasnym kościele polskim ksiądz celebrant podkreślił walory samotnego a jakże owocnego życia Marii Trojanowskiej, która służyła Bogu i ludziom.

Po roku 24 maja 1992 prochy Marii Trojanowskiej spoczęły w polskiej Częstochowie na Cmentarzu Weteranów, obok Pomnika Skradzionego Dzieciństwa. W uroczystości pogrzebowej wzięły udział poczty sztandarowe, liczni weteryni ze Stowarzyszeń Kombatanckich przybyło wiele byłych podkomendnych Zmarłej. Mieczysław Kierkło pożegnał Ją wierszem:

" Światło zgasło w Twoich oczach, by za życia progę, Duch bezpiecznie mógł dobić do rajskiego portu( i karnie się meldując przed Wszechmocnym Bogiem( Stanąć do ostatniego w swych losach raportu."

#### Bibliografia:

1. Car Edward: " Kobiety w szeregach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie 1940-1948, W-wa 1995 Zeszyty Historyczne
2. Trojanowska Maria: " Pamięci zaginionych krzyży" Bibl. Kultury Paryż, tom 344
3. Trojanowska Maria: " Nieudana wyprawa kurierska" Zeszyty Histor. 1991
4. Trojanowska Maria : " Kołysanka" Przegląd Pol. Londyn 1986.

opracowała Renia Bojanowa

## I.2. Dokumenty (sensu ścisłym) dotyczące osoby relatora

1. Rozkaz, M. Trojanowska, Porto Reccinati 1946, rkps. (ksero), 2 egz., k. 2+2, s. 1-4
2. Удостоверение, 1941, mps. (ksero), k. 1, s. 5
3. List - podziękowanie kobiet-żołnierzy z kompanii PSK przy 5 D.P., Działalność 1942, rkps. (ksero), k. 1, s. 6-7 ✓
4. Zaświadczenia ukończenia kursu oficerskiego, [b.m.] 1944, kserokopia, k. 1, s. 8 *Brak B.R.*
5. Zaświadczenie ukończenia kursu Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty, 1945, mps. (ksero), k. 1, s. 9 *Brak B.R.*
6. Zaświadczenie o ukończeniu służby, Londyn 1947, kserokopia, k. 1, s. 10 ✓
7. Zaświadczenie weryfikacyjne, Londyn 1946, mps. (ksero), k. 1, s. 11 ✓
8. Zaświadczenie weryfikacyjne, Haga 1946, mps. (ksero), k. 1, s. 12 ✓
9. Legitymacje *k. 11*
  - a) Legitymacja Odznaki Pamiątkowej Armii Krajowej, [b.m.], [b.d.],
  - b) Legitymacja Krzyża Armii Krajowej, [b.m.], [b.d.]
  - c) Legitymacja Krzyża Pamiątkowego Monte Cassino, 1944  
kserokopie, k. 3, s. 13-15
10. Legitymacja Krzyża Zasługi z Mieczem, 1947, kserokopia, k. 1, s. 15
11. Legitymacje:
  - a) Legitymacja uprawniająca do noszenia "Krzyża Walczącego", Londyn 1946
  - b) Legitymacja MEDALU Wojska, Londyn 1940
  - c) Legitymacja Medalu Wojska, Londyn 1948  
kserokopie, k. 1, s. 17



## Rozmar

W dniu obrodzonym przemartani kompaniz por.  
Tokanewska Marci, poniewaz rozmarciu Dowidley Korpusu  
wymagowa rozmarciu do peducata chwilowo innej funkcji.

Nie zequam was, bo od was nie odchodz. W krotkim  
czasie spotkaniu sz. swoim na innym terenie, w innych  
warunkach i okolicznosciach, ale we wspolnym dzialaniu  
do realizowania naszych pierwotnych i zasadniczych planow.

Na nowym terenie warunki beda dla was trudne, beda  
wymagaly jeszcze wiekszego sekcjonowania, kolekcjonarzy  
ofiarnosci i odpowiedzialnosci osobowej.

Na swej ziemi panujecie, bycie sz. nie wyprzedz. Nowy  
cykliczny ani wyprzedz. polnych warunkow. Jednoczesnie  
ludzi i obywateli kraju, do ktorego jednoczesnie.

Nikt was nie zwolnil od przydzigi iotmerowej, pozostaje-  
cie wiec nadal iotmerowcami a haslo: Bog, Honor, Ojczyzna  
pozostaje na naszych chodach i swiatlych chwilowo tlan-  
darach. Kto o tym bedzie panujecie, ten wyprzedz.

W ciągu trzech lat wspolnej pracy i realizacji polskiej  
idei dlatyśmy wszystkie dni wkład pracy i nad sobą. Wyntni-  
tego wkładu miały swój sprawkian nichylio i trudnym i  
czasami wrz. ciężkim okresie dzialani wojennym, ale i w  
czasie późniejszym, gdy należało powrócić do pracy i decyze  
o znaczeniu politycznym czasami obrem uczuciom ludzkich  
sentymencow. To jest pewna jasknia, ze z erokajacy nas nowej  
proby wyjdziecie mocne i interaktywne i swych postawowce-  
niach i zasadach.

Będę się zawsze starać cieszyć się, jeśli w momentach dla was ciszy, znajdę drogę do niego. Będę poczuła wada także za zaszczyt, jeśli kiedyś zechcecie się mną i wasze radośnie przyjęta. Będę to dowody saufanta, które wiem, że u was posiadają.

Oficerom, podoficerom i ochotniczkom w imieniu Duszki dziękuję za czynną współpracę, która ułatwiła nam kobiecym zdobyć uruanta u nowym dla nas 'rodzaju Duszki wojnowej'.

Dowódcy plutonu Warszawskiego i Dowódcy plutonu pomocniczego, oraz całemu zespołowi obu plutonów dziękuję również za czynną i wydatną współpracę

Proszę!

Marta Trzaskowska  
(Marta)

Stożko Szczepański 13/IV 1946.



## Rozmar

W dniu obrodzonym przemaratam kompanię por.  
Tokanewska Marci, ponieważ rozmarcił Dowódcy Korpusu  
wymiarowa została do peducata alwtowa innej funkcji.

Nie żęquam was, bo od was nie odchodę. W krótkim  
czasie spotkamy się znovu na innym terenie, w innych  
warunkach i okolicznościach, ale we wspólnym dążeniu  
do realizowania naszych pierwotnych zasadniczych planów.

Na nowym terenie warunki będą dla was trudne, będą  
wymagały jeszcze większego sekcjonowania, kolekcjonerskiej  
ofiarności i odpowiedzialności osobistej.

Na swej ziemi panujecie, byście się nie wypnęły, nowi  
cierpieliście i zwyciężyci polnych samych przedsiębiorców  
ludzi i obywateli kraju, do którego jednocie.

Nikt was nie zwolni od przysięgi żołnierskiej, pozostaje  
cie więc nadal żołnierzami a hasło: Bóg, Honor, Ojczyzna  
pozostaje na naszych chodach i świętych alwtowa plan-  
dancach. Kto o tym będzie pamiętał, ten zwycięży.

W ciągu trzech lat wspólnej pracy i realizacji polskiej  
idei daliśmy wszędzie drugi wkład pracy i nad sobą. Wyntni-  
tego wkładu miały swój sprawdzian nie tylko w trudnym i  
czasami wręcz ciężkim okresie działań wojennych, ale i w  
czasie późniejszym, gdy miały powrócić warunki decydujące  
o znaczeniu politycznym czasami obrotu kierowniczym ludzkim  
sentymentów. To też pewna jest, że z erokującą nas nową  
próbą wyjść z obecnej interaktywnej i nowych postanowie-  
niach i zasadach.

Będę się zawsze starać cieszyć, jeśli w momentach dla was ciężkich znajdę drogę do śmiechu. Będę prosił wata także za zaszczyt, jeśli będziecie zechcieli się z nami wasze radośnie przyłączyć. Będę do dowodzącego zaufała, które wiem, że u was posiadam.

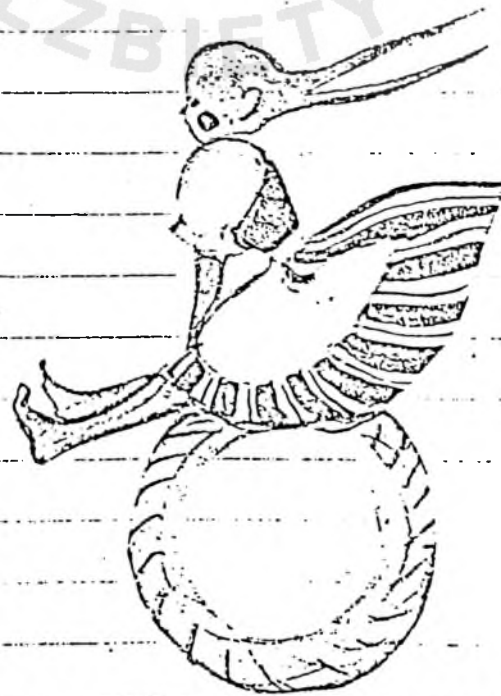
Oficerom, podoficerom i ochotniczkom w imieniu Duszki dziękuję za czynną współpracę, która umożliwiła nam kobietom zdobyć umiarkowaną i nowym dla nas 'rodzaju Duszki wojennej'.

Łowidcy plutonu warszawskiego i Łowidcy plutonu pomocniczego, oraz całemu zespołowi obu plutonów dziękuję również za czynną i wydajną współpracę

Proszę!

Martha Trzcińska  
[Signature]

Gorbo Recanati 13/11/1946.



НКВД—СССР

ТЕМНИКОВСКИЙ

Исправительно-Трудовой Лагерь

17 сентября 1941 г.

№ 171234

Пос. Явас, Мордовской АССР  
почт. ящ. № 241.

# УДОСТОВЕРЕНИЕ

Пред'явитель Гражданин ТРОЯЦОВСКАЯ

Мария Станиславовна 1905 года рождения,  
уроженец Гор. Киев

на основании Указа

Президиума Верховного Совета СССР от 12-го августа 1941 г.

АМНИСТИРОВАН, как польский гражданин, и имеет право  
свободного проживания на территории СССР, за исключением  
погранрайонов, запретных зон, местностей, объявленных на военном положении  
и режимных городов.

Гражданин ТРОЯЦОВСКАЯ

Мария Станиславовна направляется к избранному

месту жительства в Гор. Аотрихань



Внутреннее удостоверение действительно на три месяца и подлежит обмену на паспорт.

*Зав. отделом*  
Начальник отдела ЖИТОМИРСКИЙ  
Начальник отдела Бабка

Komendantce Kompanii P.S.K. przy 5 D.P.  
och. Trojanowskiej Marii

**Zegnając Cię, Komendantko,**  
 pozwól, aby kompania wyraziła Ci hoła  
 należny za ogrom pracy potężnej przy twó-  
 rzeniu się pierwszego oddziału kobiecego,  
 za to żeś świeciła przykładem życia swo-  
 go osobistego, żeś potrafiła wzbudzić  
 w nas poczucie obowiązku żołnierskiego  
 dla sprawy narodowej i otoczyłaś nimbem  
 legendarnym wchodzącą do historii Kom-  
 panii naszej.

Życzymy Ci dalszej owocnej pracy.  
 W tej ciężkiej drodze niech Ci przyświadcza  
 wiara nasza w Ciebie i oddanie, a jako wy-  
 raz tego ślubujemy karność i dyscy-  
 plinę w kompanii w myśl wskazań  
 Twoich.

Dziękuję 25. VII. 1942

*Snatko wstawa*

- |  |  |  |  |
|--|--|--|--|
| Włodowska<br>Kamińska Eugenia<br>Kaczyńska Sabina<br>Kowalska Zuzanna<br>Kowalska Jozefa<br>Kowalska Zuzanna<br>Kowalska Zuzanna<br>Kowalska Zuzanna<br>Kowalska Zuzanna<br>Kowalska Zuzanna<br>Kowalska Zuzanna<br>Kowalska Zuzanna | Zdzienicka<br>Zdzienicka<br>Zdzienicka<br>Zdzienicka<br>Zdzienicka<br>Zdzienicka<br>Zdzienicka<br>Zdzienicka<br>Zdzienicka<br>Zdzienicka<br>Zdzienicka<br>Zdzienicka | Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska | Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska<br>Janowska |
|--|--|--|--|



12/10

Nr..... 12



POLSKIE SÍLY ZBRÓJNE

*Wojciech*

ZASWIADCZENIE

O ZAKOŃCZENIU SŁUŻBY

Stwierdzam, że

V-36268

Nr ew. P. S. Zbr.

MAJOR P.W.S.K.

Stożenie

MARIA

TROJANOWSKA

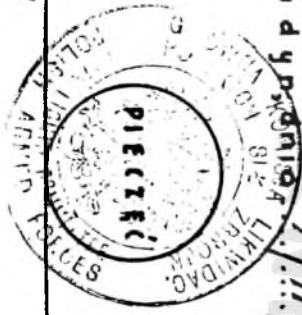
Imiona i nazwisko

Służył w POLSKICH SÍŁACH ZBRÓJNYCH pozostających pod DOWÓDZTWE M BRITTYJSKIM do dnia.. 7... 3... / 1947.. r.

Londyn dnia 7. III. / 1947

STEFANOWSKI KOMISJI LIKWIDACYJNEJ POLSKICH SÍŁ ZBRÓJNYCH

*Stefan M. Lewicki*





II/1a 12/11

SZTAB GŁÓWNY  
SZEFE ADMINISTRACJI PERSONAŁU

*pair Kullmson*  
*Do arch 60/Pfn.*  
*Yfk*  
*5.9.46*

GŁÓWNA KOMISJA WERYFIKACYJNA A.K.  
L.dz.1518/Pfn.K.Wer.46  
Londyn, dnia 28 sierpnia 1946

ZASWIADCZENIE WERYFIKACYJNE

Główna Komisja Weryfikacyjna A.K., działająca na podstawie zarządzenia SZEFA SZTABU GŁÓWNEGO L.3044/Pfn.Pers.45 z 9. XI.1945

s t w i e r d z a

że TROJANOWSKA MARIA, ps. "Rybia", ur.24.II.1905 r, Kijów.

1. Odbyła służbę wojskową w szeregach A.K.:  
- X 1939 - 3.VIII.1940 - Oddz.V/K Szt.K.Gł. - kurierka Lwów - organizowanie przejść - pilotownie: Emisarjusza i Kmtda Obsz.Lwów,  
3.VIII.40 - 16.IX 1941 - aresztowana przez NKWD - więzienie: Przemysł, Dniepropetrowsk, Charków,  
16.IX 941 - uwolniona na podstawie umowy polsko-sowieckiej,  
25.IX 941 - wcielona do W.P. - 5.Dyw.Piech. w Tatiszczewie,  
Obecny przydział: K-da Główna P.W.S.K. - Sztab Główny Londyn
2. Ostatni stopień: rzeczyw.kapitan P.W.S.K. z 1.I.1945 - L.15537/ K.P.W.S.K. - kontr.major P.W.S.K. - leg.Nr.V.36268 w/g kwestj. specjalnego.
3. Uzyskała w szeregach Armii Krajowej odznaczenie: KRZYŻ WALECZNYCH PO RAZ PIERWSZY I DRUGI - z 1.X.44 - przez D-cę A.K.
4. Weryfikację służby i odznaczenia oparto na:  
1/ kwestjonariusz specjalny,  
2/ odtworzony wniosek odznaczeniowy na Krzyż Walecznych po raz pierwszy i drugi z dn.1.X.1944 - potwierdzony 21.VIII.1946 przez b.D-cę A.K., GEN.DYW. BÓR - KOMOROWSKIEGO.-
5. Zaświadczenie niniejsze nie dotyczy obecnego stosunku wyżej wymienionej do służby wojskowej oraz nie daje żadnych uprawnień do jakichkolwiek należności pieniężnych, lub świadczeń w naturze, za wymienione w niniejszym zaświadczeniu okresy służby.

CZŁONKOWIE:  
*[Signature]*  
*[Signature]*

PRZEWDNICZĄCY  
W. Z. *[Signature]*  
/ W E B E R /  
Ppłk. dypl.

Rozdzielnik:

1. Sztab Główny - Szef Oddziału Ogólnego
2. Sztab Główny - Komenda Gł.P.W.S.K.

12/20  
Komisja Weryfikacyjna  
Oficerów-zolnierzy AK.  
na teren okupacji  
anglo-saskiej w Rzeczy  
Pospolitej  
L. 67.1

Wzrost 12.1.1946

II/1b

Z A S Y I A D O C Z E N I E

Komisja Weryfikacyjna Oficerów-zolnierzy AK. stwierdza, że  
Cpt. Trojanowski Karol, ps. Wysia  
zostala zweryfikowana, jako zolnierz Armii Krajowej.

Wanda Pietrzak  
/Gertz Karol, mjr/  
/Tujanowna Janina, kpt./

Wojciech  
/Tujanowna Janina, kpt./

Wojciech  
/Tujanowna Janina, kpt./

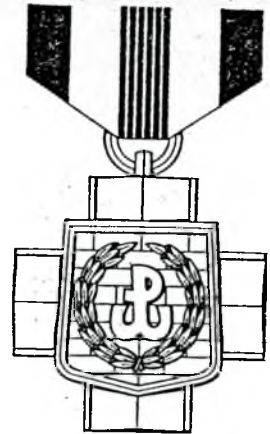
Wojciech  
/Tujanowna Janina, kpt./





**LEGITYMACJA**  
ODZNAKI PAMIĄTKOWEJ  
ARMII KRAJOWEJ

11/4/e/19  
**LEGITYMACJA**  
KRZYŻA ARMII KRAJOWEJ



Nr. 8016.....



**LEGITYMACJA**

Nr. 48401.....

upoważniająca do noszenia  
**KRZYŻA PAMIĄTKOWEGO**  
**MONTE CASSINO**

wydana na podstawie  
Dekretu Naczelnego Wodza  
L. dz. 3504/Pers. 44  
z dnia 26 Lipca 1944

11/4/e/4

Rozkazem Dtw. 101 p. Naczelnego Wodza

Nr. 40/XV/AS/43z dnia 31 III 1945.....

został nadany Inspektorowi  
(stopień)

Trojanowska Maria  
(nazwisko i imię)

316 Komp. Transportowa  
(oddział)

**KRZYŻ PAMIĄTKOWY**  
**MONTE CASSINO**

Nr. 48401.....

W polu, dnia 23 lipca 1945

pieczęć

*[Signature]*  
(nazwa D-twa)  
Dowódca D-cy  
p.p.t.

Major

(stopień)

TROJANOWSKA Maria

(nazwisko i imię)

" R y s i a "

(pseudonim)

Nr. 300

Data przyznania 10. IX. 1946



PRZEWODNICZĄCY KAPITUŁY

*Wacław Wacławski*  
gen. bryg.

<sup>II/4/e/19</sup>  
Nazwisko TROJANOWSKA

Imię Maria

Pseudonim Rysia

Przydział K.Gł.O.VK.

Odznaczony został

**KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ**

ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 roku przez dowódcę A.K. gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego dla upamiętnienia wysiłku żołnierza Polski Podziemnej w latach

1939 — 1945,

Przewodniczący

Podpis:

Komisji Krzyża

*Wacław Wacławski*  
K. Ziemiński — "Wachnowski"

Londyn, dnia 6 czerwca 1970 r.

2/16

316

Ktka TROJANOWSKA  
Maria  
1905 Kemp. Transp.  
jest uprawniony do noszenia  
SREBRNEGO  
Krzyża Zasługi z Mieczami  
z  
nadanego rozkazem pers. 2. Kor-  
pusu Nr. 49/43  
M. p. 2 czerwca 1947  
 *[Signature]*  
DOWODCA 2. KORPUSU  
General Dywizji  
Drukarnia Polowa 2. Korpusu A. P.

GENERAL  
FU  
1939  
ELŻ

## II. Materiały uzupełniające relację:

- "Tej, co odentła" - art. Bronisława Kwaśnickiej - Sanejko  
- Fotografia. Msp. Kserokopia, k. 1, s. 1.
- Wspomnienie pośmiertne o ppłk Marii Trojanowskiej w: (brosz. dawcy) s. 87 - 90. Msp. fotogr. kserokopia, k. 4, s. 2-5.
- Nekrolog ppł Marii Trojanowskiej napisany przez Bronisławę Kwaśnicką - Sanejko. Msp. kserokopia, k. 1, s. 6.
- "Pożegnaliśmy Marię Trojanowską", art. 2 k. Msp. ksero, fotogr. k. 1, s. 7.
- "Było to w Forli" - feliet Marii Trojanowskiej. Msp. kserok. k. 1, s. 8.
- Maria Trojanowska "Kotysauka" w: "Przebieg Polski" 3, 2 s. 24. 07. 1988  
Msp. ksero, k. 1, s. 3.
- Drugi egzemplarz kserokopii "Tej co odentła", puszka B. Kwaśnicka 17. V. 06. k. 2, s. 10-11.
- "Pożegnaliśmy Marię Trojanowską" - Msp. oryginał, fotogr. k. 1, s. 12
- Amerykańska listochoda "Poprzeb dowódcy ppłk Marii Trojanowskiej w Amerykańskiej listochodzie. Puszka B. Kwaśnicka 31. V. 06. Msp. ksero. k. 3, s. 13-15.
- Mjr Maria Trojanowska "Historia organizacji Pomocniczej służby Kobiet w Polskich Siłach zbrojnych na terenie Rosji" w: Bronisława Sanejko - Kwaśnicka "Zapomniane diecysta, Lublin, 1995 s. 113-133. Msp. ksero. k. 11, s. 16-26.
- Wykaz stron, na których znajduje się nazwisko "Marii Trojanowskiej" w: "Zapomniane diecysta" Br. Sanejko - Kwaśnickiej. Rkp. oryg. k. 1, s. 27.
- O. Marian Gątecki, Pogrzeb dowódcy ppłk Marii Trojanowskiej w amerykańskiej Częstochowie, Dolyestown 1992, kopia, k. 2, s. 28-29



## TEJ, CO ODESZŁA...

Światlanej pamięci Marii Trojanowskiej,  
dowódcy 316. Kompanii Transportowej 2.  
Korpusu WP, ten wiersz autorstwa  
Mieczysława Kierkła, poświęcam.

zob. s. 8

Światło zgasło w twych oczach, by za życia progiem  
Duch bezpiecznie mógł dobić do rajskiego portu  
I kornie się meldując przed wszechmocnym Bogiem,  
Stanąć do ostatniego w swych losach — raportu.

Czas przeredza szeregi — nie zostało wielu  
Z tej drogi, która wolno staje się legendą,  
A o tych, co tą drogą zdążyły do celu  
Kieś w matki sercu w dzieciom wspominał, tedy.  
Drogi wiodły nas w kurzach, wiodły w blaskach  
słońca,

Po stepach i pustyniach, w zwykłym planie zdarzeń —  
A my szliśmy, bo mówiono, że u drogi końca  
Miała czekać nas Polska — Polska naszych marzeń.

W tej zwichniętej młodości spod Bellony znaku  
"Wojenka, piękna pani" — sławiona w piosence,  
Pośród włoskich Apenin na bitewnym szlaku,  
Wspólnym losem, jak ślubem, związała nam ręce.

Myśl uparcie nawraca i tych chwil się czepia  
W których młodość sławiła nasz każdy uczynek  
I życie, które przeszło, z tych fragmentów zlepia,  
By na końcu dopisać: — Wieczny odpoczynek!...

W tych słowach poświęconych twej świętej pamięci  
Nie chcemy ani końca mieć, ani prologu —  
Jeno ła, co się w oczach pod rzęsami kręci,  
Niechaj zwilży te słowa w wierszu-nekrologu!

**ŚP.**  
**PPLK MARIA TROJANOWSKA**

Odeszła na zawsze z naszych szeregów ppłk Maria Trojanowska — wielka patriotka, wspaniały żołnierz i dowódca 316. Kompanii Transportowej PWSK PSZ.

Urodziła się 24 lutego 1905 roku w Kijowie. W czasie rewolucji 1918 roku rodzina jej przeniosła się do Warszawy, gdzie pani Maria pracowała do 1939 r. w Zakładach Ubezpieczeń Społecznych. Obok pracy zawodowej działała społecznie w organizacjach młodzieżowych; m.in. była członkinią Sokola. Od wybuchu wojny w 1939 r. do 3 sierpnia 1940 r. była w szeregach Armii Krajowej, w Oddz. V Sztabu Komendy Głównej AK. Jako kurierka, pod pseudonimem "Rysia", organizowała przejścia przez granicę i pilotowała emisariuszy. Podczas przeprowadzania gen. Tokarzewskiego przez granicę sowiecko-niemiecką w rejonie Lwowa, została aresztowana przez NKWD i zesłana w głąb Rosji.

16 września 1941 r. zgłosiła się do Armii Polskiej — do 5. Dywizji Piechoty w Tatiszczewie, gdzie została mianowana komendantką 5. Kompanii PSK. Od 29 listopada 1941 r. do 31 maja 1942 r. uczęszczała — i ukończyła ją — do Szkoły Podchorążych Piechoty.

24 czerwca 1942 r., na własną prośbę odeszła z 5. Dywizji i została wyznaczona na zastępczynię inspektorki PSK w Pahlewi, na okres ewakuacji Armii Polskiej z ZSRR na Środkowy Wschód.

13 marca 1943 r. ukończyła Kurs Pojazdów Wojskowych w Gederze (Palestyna), a 13 stycznia 1944 r. — Kurs Oficerów Zaopatrzenia i Transportu w OWA w Gederze. Została mianowana inspektorką 316., 317. i 320. Kompanii Transportowych. Od sierpnia 1944 r. do maja 1946 r. była dowódcą 316. Kompanii Transportowej, która w czasie działań wojennych dowoziła zaopatrzenie dla walczących oddziałów 2. Polskiego Korpusu. Ochotniczki 316. Kompanii Transportowej, z pełnym samozaparciem wypełniały swoje — nieraz bardzo ciężkie — obowiązki, szanując i doceniając swoją przełożoną, a ona w zamian za to była dla nich nie tylko dowódcą, ale i szczerą opiekunką. Przytaczam jej słowa: "Nigdy nie miałam z nimi żadnych kłopotów, tylko jedną wielką

satysfakcję i zaszczyt być dowódcą takiej kompanii, jak 316".

7 marca 1947 r. zakończyła służbę w PSZ, w stopniu majora PSK. 7 marca 1949 r. zakończyła służbę w PKPR.

Otrzymała następujące odznaczenia: Krzyż Walecznych (dwukrotnie), Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Krzyż Monte Cassino, Medal Wojska (dwukrotnie), Gwiazdę za Wojnę, Gwiazdę Italii, Jugosłowiańską Odznakę Równogórską, Krzyż AK, Odznakę Honorową SPK, Odznakę 2. Korpusu, Złoty Medal Skarbu Narodowego.

Odznakę jugosłowiańską otrzymała za uratowanie ppłk. Sztabu Generalnego Armii Jugosłowiańskiej, Zivorad D. Andrica, przed rozstrzelaniem go przez komunistycznych partyzantów włoskich. Ppłk Zivorad D. Andric współpracował z gen. Drażą Michajłowiczem. Mundur Marii Trojanowskiej, z tą odznaką na prawej kieszeni, znajduje się w Muzeum 2. Polskiego Korpusu w Orchard Lake.

Po zakończeniu wojny ppłk Maria Trojanowska przeniosła się na stałe do USA. Na tym terenie nie przestała działać i pracować społecznie dla sprawy polskiej. Czynna była na polu szczenia i zachowania dla przyszłych pokoleń wkładu pracy i poświęceń kobiety-żołnierza w czasie II wojny światowej.

Dowodem jej patriotyzmu jest ufundowanie Pomnika-Krzyża Skradzonego Dzieciństwa Polskich Dzieci — ofiar II wojny światowej, w Amerykańskiej Częstochowie w Doylestown, Pa. Z jej to inicjatywy i materialnego poparcia powstał w Los Angeles Dom Seniorów "Szarotka", gdzie też do czasu choroby zamieszkiwała.

Tak jak i my, tułacze, nie mogłaś wrócić do ukochanej Ojczyzny. Spoczniesz na kawałku ziemi polskiej, wśród weteranów — w Amerykańskiej Częstochowie.

Żegnamy Cię, nasz drogi Dowódco!

Cześć Jej pamięci!

**W imieniu Pomocniczej Wojskowej  
Służby Kobiet 2. Korpusu PSZ**

**Bronisława Kwaśnicka-Sanejko**



Heureka Trojanowska 11/2

W S P O M N I E N I A P O Ś M I E R T N E .



**Płk Maria Trojanowska**

Patrząc na szarą trumnę okrytą polską flagą i ustawionym na niej zdjęciem w mundurze ś.p. ppłk. Marii Trojanowskiej, powszechnie znanej Rysi, trudno mi się w pełni skupić na nabożeństwie. Słowa modlitwy mieszały się nieustannie z zadumą, refleksjami i wspomnieniami.

W kościele polskim w Los Angeles, zebrało się wieczorem około setki ludzi chcących w ten sposób pożegnać Zmarłą. "Korpuśniaczek" doliczyłam się chyba osiem łącznie ze mną. Czułam się przedstawicielką 317-ej Kompanii Transportowej PSK. Drugą, również z 317-ej była Teresa Osińska /Jaroszevska/ Inne znane mi to Danuta Wojciechowska /Pobereżna/ z 385-ej Komp. łączności i Krystana Zielkiewicz /Żelazik/,

siostra PCK.

Ogarnęły mnie wspomnienia zbliżonych i wspólnych przeżyć. Przeważały te, bliższe w czasie - lata emigracyjne, kiedy poznawałam osobowość p. Rysi inną od tej, którą znałam i z którą pracowałam w służbie transportowej PSK.

Przyszedł mi na myśl jeden z występów Ref-Rena w Los Angeles kiedy wyjaśniał swoją decyzję przesiedlenia się z Anglii do USA w ten sposób: "Na ławce w Londynie siedzi stary człowiek i zanosi się od kaszlu. Współczujący przechodzień zatrzymuje się ze słowami: o! z takim kaszlem to pan długo nie pociągnie... W Chicago, w takiej samej sytuacji, do starego bardzo kaszlącego człowieka, przechodzień mówi: pan musi mieć mocne płuca, jeśli pan może tak kaszlać." Myślę, że i p. Rysia połknęła takiego bakcyła optymizmu decydując się w zaawansowanym wieku na zamianę Londynu na Los Angeles.

Zamieszkała niemal na pograniczu Los Angeles i South Pasadena, gdzie wówczas mieszkaliśmy i została zatrudniona w Bechtel Corporation, jako kreślarka w sekcji elektryków. Pracował tam również mój mąż, na funkcji inżyniera. W niedługim czasie kupiła dwa domy na jednej działce. Zamieszkała w jednym w tylnej części ogrodu.

11/3

Drugi dom przeznaczyła po sprowadzeniu zamieszkałych w Argentynie ppor. Sabinę Pobereżną z jej córką Danutą, zięciem Bronisławem i trzema wnuczkami. W ciągu trwania formalności, zmarła p. Pobereżna. Do Stanów przybyła jej 5-cio osobowa rodzina Wojciechowskich. Wszyscy oni "ciotkowali" p. Rysię. Miała więc namiastkę rodziny.



Na tle swego domu z przybraną rodziną Wojciechowskich i Ref-Renem, stoj od lewej: Nina Oleńska /ochotniczka Helenka/, Zofia Łukjaniec /Gączowska/, Maria Trojanowska. - - - - -

Mijały lata na spotkaniach, wspólnych wieczorach wigilijnych. Nawiązywaliśmy kontakty z dawnymi znajomymi. Spotykaliśmy się przy stolikach bridge'owych.

Po przejściu na emeryturę, p. Rysia zaangażowała się do pomocy dla dzieci upośledzonych, w instytucji terapii fizycznej.

Niedługo potem odpowiadając na apel w miejscowej prasie, adoptowała, na odległość, biedne dziecko azjatyckie. Wysyłała miesięcz-

11/4

nie. pewną kwotę pieniężną na utrzymanie i kształcenie tego chłopca. Zainteresowanie swoje uwieczniła ufundowaniem Krzyża-Pomnika, poświęconego pamięci polskich dzieci, które zginęły w Drugiej Wojnie Światowej, zwłaszcza w Związku Sowieckim. Krzyż został umieszczony uroczystie na Polskim Cmentarzu Weteranów w Amerykańskiej Częstochowie.

Panią Rysię zainteresował również apel proboszcza polskiego kościoła w Los Angeles o składki na zakupienie domu z dużym ogrodem sąsiadującym bezpośrednio z parafią. Posiadłość ta miała doskonałe warunki na uruchomienie tam Domu Spokojnej Starości. Wszyscy odpowiedzieli na apel hojnymi składkami. Nikt jednak nawet w przybliżeniu nie dorównał p. Rysi, która na ten cel przeznaczyła większą część swoich oszczędności, a które zamierzała pierwotnie, przekazać na Misje Katolickie w Afryce.

Posiadłość została zakupiona. Dom nazywa się "SZAROTKA." Po moim i męża przejściu na emeryturę przenieśliśmy się do północnej Kalifornii, by po 10-ciu latach powrócić znów do Los Angeles, gdzie zastaliśmy duże zmiany. Pani Rysia dawno już sprzedała dom i po kilku latach mieszkania w apartamencie, przenieśliśmy się do "Szarotki", gdzie miała własny pokój i całkowitą opiekę polskich zakonnice. Brała czynny udział w pracach kierowniczych administracji i gospodarczych tego domu. Jej przybrana rodzina opuściła Los Angeles, osiedlając się nad Pacyfikiem nie daleko od granicy z Meksykiem. Myśmy też zostawili daleko Los Angeles, stolicę skażonego nadmiarem spalin powietrza.

Po pięciu latach pobytu w "Szarotce", zdrowie p. Rysi zaczęło się pogarszać do tego stopnia, że po "stroku" i powrocie ze szpitala, zaistniała konieczność stałego nadzoru lekarskiego. Została więc umieszczona w specjalnym, wysoko płatnym domu dla ludzi w podobnej sytuacji. Tam dojeżdżając, opiekę nad nią sprawowała z poświęceniem znana społeczna działaczka p. Kłiszewska, aż do końca, informując telefonicznie interesujących się zdrowiem p. Rysi. A stan ten wciąż się pogarszał i przybierał coraz dziwniejsze formy.

Samotne, niezwykle życie p. Rysi, skończyło się wraz z ostatnim dniem 1991 roku.

Przemawiający w kościele w ten pożegnalny wieczór ksiądz-celebrant w jasnych szatach liturgicznych i na tle udekorowanego ołtarza, jeszcze świątecznie rozjarzonymi choinkami, podkreślał walory ducha i zasługi dobrych uczynków człowieka na tym świecie. Po nim zabrał głos prezes SPK, staruszek, dr. Rowiński,

1/5

podając w skrócie przebieg służby wojskowej w Armii Krajowej i w 2-gim Korpusie i reprezentowanie na szczeblu Korpusu Polskiego, pełniące służbę ciężką w transporcie i zaopatrzeniu wojska, w wyszkolonych i zorganizowanych Kompaniach Transportowych 316, 317, i 320-ej. Przedstawił również Jej ogromną pracę społeczną i charytatywną, pełną poświęcenia, hojnie wspieraną swoimi oszczędnościami. Pani Kliszewska, kończąc pożegnalny wieczór, przypominała przebieg uroczystości pogrzebowych w Doylestown, Pensylwania, w Amerykańskiej Częstochowie, gdzie mają spocząć obok, prochy ś.p. Marii Trojanowskiej.

Zofia Łukjaniec /Gączowska/

-----

24.5.1992 roku na Polskim Cmentarzu Weteranów w Polskiej Częstochowie, obok Pomnika Pamięci Polskich Dzieci Skradzionego Dzieciństwa, złożono prochy ś.p. ppłk. Marii Trojanowskiej z pełnymi honorami wojskowymi.

W uroczystości tej wzięły udział poczty sztandarowe, licznie przybyli polscy weterani w Ameryce, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, b. ochotniczki i oddani przyjaciele.

"Światło zgasło w twych oczach, by za życia progłem  
Duch bezpiecznie mógł dobieść do rajskiego portu  
I karnie się meldując przed wszechmocnym Bogiem  
Stanąć do ostatniego w swych losach raportu."

/Mieczysław Kierkło/

-----

ś.p. KRYSZYNA, WIKTORIA RUTCHYŃSKA.

Wychowanka Liceum Krzemienieckiego. Dalsze studia ukończyła Instytucie Sztuk Pięknych w Warszawie. W 1940 roku wywieziona została z matką i siostrą na Syberię do pracy w wyrębie lasów, w koszmarnych warunkach, tak dobrze znanych w raju sowieckim. Po "amnestii", wraz z matką i siostrą dotarły po 300-to kolometryrowym marszu do stacyjki kolejowej, skąd już transportem - do Palestyny..

# Pożegnaliśmy Marię Trojanowską

Wczesnym rankiem ostatniego dnia grudnia ubiegłego roku, zmarła Maria Trojanowska, pułkownik Armii Polskiej II Rzeczypospolitej. Była z nami w Los Angeles ponad 30 lat. Dopiero po jej odejściu dowiedzieliśmy się, jak mało ją znaliśmy.

Urodziła się w Kijowie w 1905 roku, skąd w dwa lata po polskim zwycięstwie nad bolszewikami pod Warszawą, przybyła wraz z Polską Macierzą Szkolną do Lublina. Po ukończeniu gimnazjum wstąpiła do Przystosobienia Wojskowego Kobiet. Wrzesień 1939 roku zastał ją na stanowisku instruktorki w tejże organizacji, skąd prosta już była droga do Związku Walki Zbrojnej, który wkrótce

przemienił się w Armię Krajową. W tym największym w ówczesnej Europie ruchu podziemnym, pełniła funkcję emisariuszki do specjalnych zadań i kurierki. Działała wtedy we Lwowie pod pseudonimem "Rysia". Z zadziwiającą odwagą organizowała przerzuty wojskowe na Węgry i do Rumunii. Wykorzystując dobrą znajomość języka rosyjskiego potrafiła unikać zastawianych pułapek i mylić ślady pogoni. Zimą 1940 roku szczęście ją opuściło i przy przeprowadzaniu gen. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego przez San w rejonie Przeworska, została aresztowana przez patrol sowiecki. Tokarzewski, założyciel Z.W.Z., szedł wtedy do Lwowa z zadaniem organizowania ruchu oporu pod okupacją sowiecką. Planowane przez późniejszego generała N. Sulikę odbicie Tokarzewskiego nie doszło do skutku. Po śledztwie, na którym starym zwyczajem sowieckim oskarżono Marię o szpiegostwo, i po kilkutygodniowym więzieniu w Przemyślu, przewieziono ją wraz z inną grupą więźniarek do Dniepropietrowska. Tam otrzymała wyrok 5 lat obozu pracy poprawczej i została przeniesiona do Charkowa, a stamtąd do rozdzielczego łagru koło posiolka Jawas. We wrześniu 1941 roku, w wyniku umowy Sikorski-Stalin, została zwolniona z obozu i po kilkudniowej podróży kolejną dotarła do formującej się w Tatyszczewie 5 polskiej dywizji piechoty.

W dywizji dowodziła 5 Kompanią Pomocniczą Służby Kobiet. Po wyjściu armii gen. Andersa do Persji, pełniła funkcję zastępcy głównej inspektorki PSK i wkrótce została referentką do spraw transportu



niezapomnianych zwycięstw polskiego żołnierza zdążającego różnymi drogami do wolnego kraju. Chlubną służbę w II Korpusie zakończyła w marcu 1947 roku w stopniu majora PSK. Po przybyciu do Wielkiej Brytanii, i po kilkuletnim pobycie w Londynie, gdzie odnowiła swą przedwojenną przyjaźń z p. Aleksandrą Piłsudską, emigrowała do USA i osiedliła się w Los Angeles. Tutaj brała bardzo czynny udział w życiu polskiej społeczności. Przeżycia natchnęły ją myślą wystawienia pomnika ku pamięci dzieci, tej niezliczonej rzeszy małych męczenników ginących z rąk okupanta niemieckiego i rosyjskiego w czasie II wojny światowej. W lipcu 1989 roku byliśmy świadkami poświęcenia Krzyża-Pomnika Dzieci Polskich, ofiar ostatniej wojny. Zjawily się wtedy w

Amerykańskiej Częstochowie w Doylestown delegacje weterańskie, zastępy harcerzy i setki pielgrzymów. Modlono się o spokój dusz zmarłych dzieci i proszono Boga, by "...przyjaźń i pokój między narodami stały się trwałą wartością wszystkich dzieci świata...".

Gdy w 1975 roku ówczesny proboszcz parafii M.B. Jasnogórskiej, ks. Z. Olbrys, poddał myśl stworzenia Domu Seniora pod nazwą "Szarotka". Maria była pierwszą, która złożyła okazały datek na ten cel. Z czasem też, gdy przejścia wojenne i nieludzkie traktowanie w sowieckich więzieniach, powoli lecz stale dawały znać o sobie, przeniosła się do "Szarotki". Miała bliżej na spotkania i zebrania. Była długoletnim członkiem SPK-Koło 43, łożyła hojną ręką na Skarb Narodowy. Bardzo zbliżyła się do harcerzy, harcerek i małych suchów. Zawsze czynna i pomocna, z przyjaznym uśmiechem obserwowała ich prace i osiągnięcia.

Trojanowska była bardziej wyrozumiała dla innych, niż dla siebie. Dobry dowódca, wymieniana kilkakrotnie w rozkazach Armii Polskiej, odznaczona dwukrotnie Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Monte Cassino, Medalem Skarbu Narodowego i wieloma jeszcze odznaczeniami polskimi i zagranicznymi. Prochy Marii Trojanowskiej spoczęły w Amerykańskiej Częstochowie w Doylestown w Pensylwanii, w Alei Zasłużonych u stóp ufundowanego przez nią Krzyża-Pomnika dla Dzieci Polskich, Ofiar II wojny światowej.

(ZK)

## Na Zachodnim Wybrzeżu



Kalifornijski Sąd Apelacyjny utrzymał w mocy wyrok orzeczony na korzyść Uniwersytetu Stanforda w sprawie, którą wniósł w 1986 r. znany historyk brytyjski, Norman Davies. Sąd odrzucił skargę Daviesa o polityczną dyskryminację, w wyniku której nie uzyskał on profesury na tej prestiżowej uczelni amerykańskiej. Brytyjski historyk, autor między innymi dwóch znakomitych opracowań na temat historii Polski — *God's Playground* i *The Heart of Europe*, dowodził, iż nie otrzymał stanowiska, albowiem pewna grupa profesorów Uniwersytetu Stanforda nie zgadzała się z jego poglądem na temat polskiego ruchu

oporu pod okupacją sowiecką w sprawie eksterminacji polskich Żydów.

Jak pisze *Stanford Observer*, prace Daviesa były krytykowane przez takich ekspertów, jak Lucy S. Dawidowicz (autorka pracy *The War Against the Jews, 1933-1945*), której zdaniem Davies umniejszył historyczną rolę antysemityzmu w Polsce oraz skłania się do obarczania winą polskich Żydów za los, jaki ich spotkał w czasie Zagłady.

*Stanford Observer* sprawiedliwie jednak zaznacza, iż Polacy cierpieli na równi z Żydami i niewiele mogli zrobić dla uratowania trzymilionowej żydowskiej mniejszości zamieszkałej przedwojenną

sowiecki. Tokarzewski, założyciel Z.W.Z., szedł wtedy do Lwowa z zadaniem organizowania ruchu oporu pod okupacją sowiecką. Planowane przez późniejszego generała N. Sulikę odbicie Tokarzewskiego nie doszło do skutku. Po śledztwie, na którym starym zwyczajem sowieckim oskarżono Marię o szpiegostwo, i po kilkutygodniowym więzieniu w Przemysłu, przewieziono ją wraz z inną grupą więźniarek do Dniepropietrowska. Tam otrzymała wyrok 5 lat obozu pracy poprawczej i została przeniesiona do Charkowa, a stamtąd do rozdzielczego łagru koło posiołka Jawas. We wrześniu 1941 roku, w wyniku umowy Sikorski-Stalin, została zwolniona z obozu i po kilkudniowej podróży kolejną dotarła do formującej się w Tatiszczewie 5 polskiej dywizji piechoty.

W dywizji dowodziła 5 Kompanią Pomocniczą Służby Kobiet.

Po wyjściu armii gen. Andersa do Persji, pełniła funkcję zastępcy głównej inspektorki PSK i wkrótce została referentką do spraw transportu, jednocześnie dowodząc 316 Kompanią Transportową. A potem przyszło Monte Casino, Ankona, Bolonia, szlak

rosyjskiego w czasie II wojny światowej. W lipcu 1989 roku byliśmy świadkami poświęcenia Krzyża-Pomnika Dzieci Polskich, ofiar ostatniej wojny. Zjawily się wtedy w

Alei Zasłużonych u stóp ufundowanego przez nią Krzyża-Pomnika dla Dzieci Polskich, Ofiar II wojny światowej.

(ZK)



Kalifornijski Sąd Apelacyjny utrzymał w mocy wyrok orzeczony na korzyść Uniwersytetu Stanforda w sprawie, którą wniósł w 1986 r. znany historyk brytyjski, Norman Davies. Sąd odrzucił skargę Daviesa o polityczną dyskryminację, w wyniku której nie uzyskał on profesury na tej prestiżowej uczelni amerykańskiej. Brytyjski historyk, autor między innymi dwóch znakomitych opracowań na temat historii Polski — *God's Playground* i *The Heart of Europe*, dowodził, iż nie otrzymał stanowiska, albowiem pewna grupa profesorów Uniwersytetu Stanforda nie zgadzała się z jego poglądem na temat polskiego ruchu oporu podczas hitlerowskiej okupacji oraz w

sprawie eksterminacji polskich Żydów.

Jak pisze *Stanford Observer*, prace Daviesa były krytykowane przez takich ekspertów, jak Lucy S. Dawidowicz (autorka pracy *The War Against the Jews, 1933-1945*), której zdaniem Davies umniejszył historyczną rolę antysemityzmu w Polsce oraz skłania się do obarczania winą polskich Żydów za los, jaki ich spotkał w czasie Zagłady.

*Stanford Observer* sprawiedliwie jednak zaznacza, iż Polacy twierdzą, że w czasie wojny cierpieli na równi z Żydami i niewiele mogli zrobić dla uratowania trzymilionowej żydowskiej mniejszości zamieszkującej przedwojenną Polskę.

---

Redaktor odpowiedzialny — Elżbieta Ringer

---



przetłumaczone są granice dzielące sowiecką "niehumanitarną ziemię" od świata normalnych, ludzkich wartości.

Warto, aby ta książka, którą można nabyć w Księgarni

"Nowego Dziennika", została przetłumaczona na język angielski.

Maria Byrska - *Ucieczka z zesłania*, Edition Spotkania, Paryż 1986, 170 stron, cena 8 dol. plus N.Y. tax & 1.70 dol. porto (do nabycia w Księgarni "Nowego Dziennika").

## MARIA TROJANOWSKA

### KOLYSANKA

Śpisz syneczku? Mój ty złoty.  
Deszcz o szyby głośno stuka.  
Kogo woła? Kogo szuka?  
Może tatuś spać nie może  
Hen, na włoskim gdzieś ugorze,  
Gdzie ubito mu mieszkanie  
Już na wieczne spoczywanie.  
Kwitły wtedy krwawe maki,  
Całe pola, całe łąki  
Były kwieciami tym usłane.  
Może chciałby ciebie poznać,  
Ojcowskiego ciepła doznać?

Śpisz malutki? Bo ja nie.

Deszcz i wicher w okno dmie.  
Może Dziadziusь błędzi gdzie?  
Bo daleka duchów droga  
Spod Katynia do Ostroga,  
Do Krakowa i do Mławy,  
Do Lublina i Warszawy.  
Idą, idą... Droga trudna,  
Bardzo śliska, bardzo brudna  
Przez sumienia ludzkiej rzeszy.  
Śpieszy Dziadziusь, śpieszy, śpieszy...

Słyszę, trzeszczy róg podłogi  
Jakby pod ciężarem nogi.  
Może Babcia, co lat kilka  
Nie odzywa się, zamilkła.  
Może wraca spod Rostowa  
Do swej ziemi, do Tarnowa,  
Może głodna i obdarta  
Ta jedyna, ta uparta  
Pokonując trudy drogi  
Wlecze obolałe nogi?  
Może już nie czuje nas?

Śpij syneczku, bo już czas.

W piecu gałąz głośno trzaska,  
Iskra błysła i zagasa  
Tak jak życie wujka Janka.  
Nie doczekał się już ranka,  
Gdy pod Narvik noc ich wiodła  
Poprzez obce, górskie siodła.  
Szli z ochotą, szli radośnie,  
Bo myśleli wciąż o wiosnie,  
O tej wiosnie, z którą wrócą...

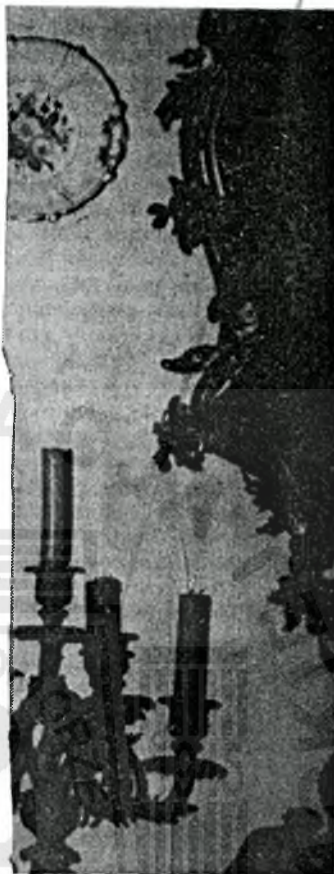
Śpij, kruszynko! Pieśń zanuć.

Zegar bije! Jego tony  
Brzmią jak powązkowskie dzwony.  
Nie! To werble głucho grają  
Tym, co ciałem już odeszli,  
Lecz w legendę duchów przeszli.  
Idą dumni w zwartym szyku.  
Jest ich wielu, jest bez liku.  
Starcy, dzieci, młódz, kobiety.  
Tak od Września idą w krok  
Po czterdziesty czwarty rok.

"Podpalacze!"

Gnani, szczuci  
Przez tych, co wyzuci  
Z własnych sumień i honoru  
U cudzego służąc dworu  
Usypiają zdrady głos  
Napełniając groszem trzos  
Ludaszowim

# KIEGO



Kiego (rysunek Zdzisława

jednego muzeum. Były tam włoskie renesansowe fotele ze ozdobnym obiciem, gdańskie krzesła z ciemnego dębu, wrocławski kredens, perskie dywany, XVIII - wieczne włoskie srebra i starsze od nich naczynia z miedzi i cyny, polski kryształowy żyrandol, polskie saskiej porcelany, polskie obrazy, jak portret męski z 17. wieku Cranacha, dwa duże polskie obrazy Vigee Le Brun, obraz Wyczółkowskiego, wielka polska natura Snydera, polskie i francuskie z XVIII wieku i późniejsze, ikony, polskie i także rysunek Zdzisława Czermańskiego przedstawiający Józefa Polakowskiego, ofiarowany polskiemu fesorowi przez żonę artysty - polską. Całe cztery pokoje pełne obrazów. Jak do tego doszedł? - powiedział. - "Po powstaniu zostało jeszcze trochę biżuterii - polskiej. I można było wtedy mówić za bezcen piękne rzeczy - polskie zabrowników - bo się przecież niczym nie znali".

profesor Lipiński boleśnie odczuwa samotność. Większość z nich przyjaciół przeżył, których stracił - boją się oddać go w mieszkaniu polskiemu przecież pod nadzorem polskiej cji. Brak mu kontaktów z innymi dlatego na spotkaniu

"Podpalacze!"  
Gnani, szczuci  
Przez tych, co wyzuci  
Z własnych sumień i honoru  
U cudzego służąc dworu  
Usypiają zdrady głos  
Napełniając groszem trzos  
Judaszowym...

Powyższy wiersz został napisany przez p. Marię Trojanowską, która aresztowana przy przekraczaniu granicy między niemiecką i sowiecką strefą okupacyjną, została skazana na 5 lat łagrów.

Jej historia kurierki, pobyt na zesłaniu w Rosji, wstąpienie i praca w nowo formującym się Wojsku Polskim w Sowietach, na Bliskim Wschodzie, a potem w Anglii, zasługuje na osobne opracowanie. Maria Trojanowska mieszka obecnie w Kalifornii.

CZWARTEK, 24 LIPCA—THURSDAY, JULY 24, 1986

uczyni me znali .  
profesor Lipiński boleśnie  
zuwa samotność. Większość  
ch przyjaciół przeżył,  
których stracił - boją się  
siedząc go w mieszkaniu  
ącym przecież pod nadzorem  
cji. Brak mu kontaktów z  
dymi, dlatego na spotkanie  
wrześniu 1979 roku  
prowadziłam z sobą Janusza  
issa, psychologa pracującego  
niewidomymi dziećmi w  
rach. O tylu rzeczach wtedy  
ziliśmy, że nie będę

(dokończenie na str. 15)

**ZEGŁAD**  
**LSKI** 3



Ksena

### TEJ, CO ODESZŁA...

Świetlanej pamięci Marii Trojanowskiej,  
dowódcy 316. Kompanii Transportowej 2.  
Korpusu WP, ten wiersz autorstwa  
Mieczysława Kierkło, poświęcam.



Światło zgasło w twych oczach, by za życia progiem  
Duch bezpiecznie mógł dobić do rajskiego portu  
I kornie się meldując przed wszechmocnym Bogiem,  
Stanąć do ostatniego w swych losach — raportu.

Czas przeredza szeregi — nie zostało wiele  
Z tej drogi, która wolno staje się legendą,  
A o tych, co tą drogą zdążyły do celu  
Kłodyś małże swoim dziełom opowiadał...  
Drogi wiodły nas w kurzacz, wiodły w blaskach  
słońca,

Po stepach i pustyniach, w zwykłym planie zdarzeń —  
A my słyśmy, bo mówiono, że u drogi końca  
Miała czekać nas Polska — Polska naszych marzeń.

W tej zwichniętej młodości spod Bellony znaku  
"Wojenka, piękna pani" — sławiona w piosence,  
Pośród włoskich Apenin na bitewnym szlaku,  
Wspólnym losem, jak ślubem, związała nam ręce.

Myśl uparcie nawraca i tych chwil się czepia  
W których młodość sławiła nasz każdy uczynek  
I życie, które przeszło, z tych fragmentów zlepia,  
By na końcu dopisać: — Wieczny odpoczynek!...

W tych słowach poświęconych twej świętej pamięci  
Nie chcemy ani końca mieć, ani prologu —  
Jeno łza, co się w oczach pod rzęsami kręci,  
Niechaj zwilży te słowa w wierszu-nekrologu!

11/11  
ksew

**ŚP.**  
**PPLK MARIA TROJANOWSKA**

Odeszła na zawsze z naszych szeregów pplk Maria Trojanowska — wielka patriotka, wspaniała żołnierz i dowódca 316. Kompanii Transportowej PWSK PSZ.

Urodziła się 24 lutego 1905 roku w Kijowie. W czasie rewolucji 1918 roku rodzina jej przeniosła się do Warszawy, gdzie pani Maria pracowała do 1939 r. w Zakładach Ubezpieczeń Społecznych. Obok pracy zawodowej działała społecznie w organizacjach młodzieżowych; m.in. była członkinią Sokola. Od wybuchu wojny w 1939 r. do 3 sierpnia 1940 r. była w szeregach Armii Krajowej, w Oddz. V Sztabu Komendy Głównej AK. Jako kurierka, pod pseudonimem "Rysia", organizowała przejścia przez granicę i pilotowała emisariuszy. Podczas przeprowadzania gen. Tokarzewskiego przez granicę sowiecko-niemiecką w rejonie Lwowa, została aresztowana przez NKWD i zesłana w głąb Rosji.

16 września 1941 r. zgłosiła się do Armii Polskiej — do 5. Dywizji Piechoty w Tatiszczewie, gdzie została mianowana komendantką 5. Kompanii PSK. Od 29 listopada 1941 r. do 31 maja 1942 r. uczęszczała — i ukończyła ją — do Szkoły Podchorążych Piechoty.

24 czerwca 1942 r., na własną prośbę odeszła z 5. Dywizji i została wyznaczona na zastępczynię inspektorki PSK w Pahlevi, na okres ewakuacji Armii Polskiej z ZSRR na Srodkowy Wschód.

13 marca 1943 r. ukończyła Kurs Pojazdów Wojskowych w Gederze (Palestyna), a 13 stycznia 1944 r. — Kurs Oficerów Zaopatrzenia i Transportu w OWA w Gederze. Została mianowana inspektorką 316., 317. i 320. Kompanii Transportowych. Od sierpnia 1944 r. do maja 1946 r. była dowódcą 316. Kompanii Transportowej, która w czasie działań wojennych dowodziła zaopatrzeniem dla walczących oddziałów 2. Polskiego Korpusu. Ochotniczki 316. Kompanii Transportowej, z pełnym samozaparciem wypełniały swoje — nieraz bardzo ciężkie — obowiązki, szanując i doceniając swoją przełożoną, a ona w zamian za to była dla nich nie tylko dowódcą, ale i szczerą opiekunką. Przytaczam jej słowa: "Nigdy nie miałam z nimi żadnych kłopotów, tylko jedną wielką

satisfakcję i zaszczyt być dowódcą takiej kompanii, jak 316".

7 marca 1947 r. zakończyła służbę w PSZ, w stopniu majora PSK. 7 marca 1949 r. zakończyła służbę w PKPR.

Otrzymała następujące odznaczenia: Krzyż Walecznych (dwukrotnie), Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Krzyż Monte Cassino, Medal Wojska (dwukrotnie), Gwiazdę za Wojnę, Gwiazdę Italii, Jugosłowiańską Odznakę Równogórską, Krzyż AK, Odznakę Honorową SPK, Odznakę 2. Korpusu, Złoty Medal Skarbu Narodowego.

Odznakę jugosłowiańską otrzymała za uratowanie pplk. Sztabu Generalnego Armii Jugosłowiańskiej, Zivorad D. Andrica, przed rozstrzelaniem go przez komunistycznych partyzantów włoskich. Pplk Zivorad D. Andric współpracował z gen. Drażą Michajłowiczem. Mundur Marii Trojanowskiej, z tą odznaką na prawej kieszeni, znajduje się w Muzeum 2. Polskiego Korpusu w Orchard Lake.

Po zakończeniu wojny pplk Maria Trojanowska przeniosła się na stałe do USA. Na tym terenie nie przestała działać i pracować społecznie dla sprawy polskiej. Czynna była na polu szczenia i zachowania dla przyszłych pokoleń wkładu pracy i poświęceń kobiety-żołnierza w czasie II wojny światowej.

Dowodem jej patriotyzmu jest ufundowanie Pomnika-Krzyża Skradzionego Dzieciństwa Polskich Dzieci — ofiar II wojny światowej, w Amerykańskiej Częstochowie w Doylestown, Pa. Z jej to inicjatywy i materialnego poparcia powstał w Los Angeles Dom Seniorów "Szarotka", gdzie też do czasu choroby zamieszkiwała.

Tak jak i my, tułacze, nie mogłaś wrócić do ukochanej Ojczyzny. Spoczniesz na kawałku ziemi polskiej, wśród weteranów — w Amerykańskiej Częstochowie.

Zegnamy Cię, nasz drogi Dowódco!

Cześć Jej pamięci!

W imieniu Pomocniczej Wojskowej  
Służby Kobiet 2. Korpusu PSZ

Bronisława Kwaśnicka-Sanejko

*Bronisława Kwaśnicka-Sanejko 17 V 06*

# Pożegnaliśmy Marię Trojanowską

Wczesnym rankiem ostatniego dnia grudnia ubiegłego roku, zmarła Maria Trojanowska, pułkownik Armii Polskiej II Rzeczypospolitej. Była z nami w Los Angeles ponad 30 lat. Dopiero po jej odejściu dowiedzieliśmy się, jak mało ją znaliśmy.

Urodziła się w Kijowie w 1905 roku, skąd w dwa lata po polskim zwycięstwie nad bolszewikami pod Warszawą, przybyła wraz z Polską Macierzą Szkolną do Lublina. Po ukończeniu gimnazjum wstąpiła do Przysposobienia Wojskowego Kobiet. Wrzesień 1939 roku zastał ją na stanowisku instruktorki w tejże organizacji, skąd prosta już była droga do Związku Walki Zbrojnej, który wkrótce przemienił się w Armię Krajową. W tym największym w ówczesnej Europie ruchu podziemnym, pełniła funkcję emisariuszki do specjalnych zadań i kurierki. Działała wtedy we Lwowie pod pseudonimem "Rysia". Z zadziwiającą odwagą organizowała przerzuty wojskowe na Węgry i do Rumunii. Wykorzystując dobrą znajomość języka rosyjskiego potrafiła unikać zastawianych pułapek i mylić ślady pogoni. Zimą 1940 roku szczęście ją opuściło i przy przeprowadzaniu gen. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego przez San w rejonie Przeworska, została aresztowana przez patrol sowiecki. Tokarzewski, założyciel Z.W.Z., siedł wtedy do Lwowa z zadaniem organizowania ruchu oporu pod okupacją sowiecką. Planowane przez późniejszego generała N. Sulika odbicie Tokarzewskiego nie doszło do skutku. Po śledztwie, w którym starym zwyczajem sowieckim oskarżono Marię o szpiegostwo, i po kilkutygodniowym więzieniu w Przemyślu, przewieziono ją wraz z inną grupą więźniarek do Dniepropietrowska. Tam otrzymała wyrok 5 lat obozu pracy poprawczej i została przeniesiona do Charkowa, a stamtąd do rozdzielnego łagru koło posiołka Jawas. We wrześniu 1941 roku, w wyniku umowy Sikorski-Stalin, została zwolniona z obozu i po kilkudniowej podróży koleją dotarła do formującej się w Tatiszczewie 5 polskiej dywizji piechoty.

W dywizji dowodziła 5 Kompanią Pomocniczą Służby Kobiet.

Po wyjściu armii gen. Andersa do Persji, pełniła funkcję zastępcy głównej inspektorki PSK i wkrótce została referentką do spraw transportu, jednocześnie dowodząc 316 Kompanią Transportową. A potem przyszło Monte Casino, Ankona, Bolonia, szlak



niezapomnianych zwycięstw polskiego żołnierza zdążającego różnymi drogami do wolnego kraju. Chlubną służbę w II Korpusie zakończyła w marcu 1947 roku w stopniu majora PSK. Po przybyciu do Wielkiej Brytanii, i po kilkuletnim pobycie w Londynie, gdzie odnowiła swą przedwojenną przyjaźń z p. Aleksandrą Piłsudską, emigrowała do USA i osiedliła się w Los Angeles. Tutaj brała bardzo czynny udział w życiu polskiej społeczności. Przeżycia natchnęły ją myślą wystawienia pomnika ku pamięci dzieci, tej niezliczonej rzeszy małych męczenników ginących z rąk okupanta niemieckiego i rosyjskiego w czasie II wojny światowej. W lipcu 1989 roku byliśmy świadkami poświęcenia Krzyża-Pomnika Dzieci Polskich, ofiar ostatniej wojny. Zjawily się wtedy w

Amerykańskiej Częstochowie w Doylestown delegację weterańskie, zastępy harcerzy i setki pielgrzymów. Modlono się o spokój dusz zmarłych dzieci i proszono Boga, by "...przyjaźń i pokój między narodami stały się trwałą wartością wszystkich dzieci świata...".

Gdy w 1975 roku ówczesny proboszcz parafii M.B. Jasnogórskiej, ks. Z. Olbryś, poddał myśl stworzenia Domu Seniora pod nazwą "Szarotka". Maria była pierwszą, która złożyła okazały datek na ten cel. Z czasem też, gdy przejścia wojenne i nieludzkie traktowanie w sowieckich więzieniach, powoli lecz stale dawały znać o sobie, przeniosła się do "Szarotki". Miała bliżej na spotkania i zebrania. Była długoletnim członkiem SPK-Koło 43, łożyła hojną ręką na Skarb Narodowy. Bardzo zbliżyła się do harcerzy, harcerek i małych suchów. Zawsze czynna i pomocna, z przyjaznym uśmiechem obserwowała ich prace i osiągnięcia.

Trojanowska była bardziej wyrozumiała dla innych, niż dla siebie. Dobry dowódca, wymieniana kilkakrotnie w rozkazach Armii Polskiej, odznaczona dwukrotnie Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Monte Cassino, Medalem Skarbu Narodowego i wieloma jeszcze odznaczeniami polskimi i zagranicznymi. Prochy Marii Trojanowskiej spoczęły w Amerykańskiej Częstochowie w Doylestown w Pensylwanii, w Alei Zasłużonych u stóp ufundowanego przez nią Krzyża-Pomnika dla Dzieci Polskich, Ofiar II wojny światowej. (ZK)

## Na Zachodnim Wybrzeżu



Kalifornijski Sąd Apelacyjny utrzymał w mocy wyrok orzeczony na korzyść Uniwersytetu Stanforda w sprawie, którą wniósł w 1986 r. znany historyk brytyjski, Norman Davies. Sąd odrzucił skargę Daviesa o polityczną dyskryminację, w wyniku której nie uzyskał on profesury na tej prestiżowej uczelni amerykańskiej. Brytyjski historyk, autor między innymi dwóch znakomitych opracowań na temat historii Polski — *God's Playground* i *The Heart of Europe*, dowodził, iż nie otrzymał stanowiska, albowiem pewna grupa profesorów Uniwersytetu Stanforda nie zgadzała się z jego poglądem na temat polskiego ruchu oporu podczas hitlerowskiej okupacji oraz w

sprawie eksterminacji polskich Żydów.

Jak pisze *Stanford Observer*, prace Daviesa były krytykowane przez takich ekspertów, jak Lucy S. Dawidowicz (autorka pracy *The War Against the Jews, 1933-1945*), której zdaniem Davies umniejszył historyczną rolę antysemityzmu w Polsce oraz skłania się do obarczania winą polskich Żydów za los, jaki ich spotkał w czasie Zagłady.

*Stanford Observer* sprawiedliwie jednak zaznacza, iż Polacy twierdzą, że w czasie wojny cierpieli na równi z Żydami i niewiele mogli zrobić dla uratowania trzymilionowej żydowskiej mniejszości zamieszkującej przedwojenną Polskę.

Redaktor odpowiedzialny — Elżbieta Ringer

Amerykańska Częstochowa

POGRZEB DOWÓDCY PPŁK MARII TROJANOWSKIEJ  
W AMERYKAŃSKIEJ CZĘSTOCHOWIE

W niedzielę, 24-go maja, br., w święto Wieńczenia Grobów, złożyliśmy na wieczny spoczynek prochy ś.p. ppłk Marii Trojanowskiej, wielkiej patriotki, żołnierza i wspaniałego dowódcy 316 Kompanii Transportowej PWSK PSZ. Jej doczesne szczątki spoczęły w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Amerykańskiej Częstochowy, obok pomnika, poświęconego tragedii polskich dzieci 2-ej wojny światowej, której była fundatorką.

Po uroczystej Mszy św. o godz. 12-ej, której przewodniczył O. Zdzisław K. Kikowski, prowincjał paulinów w Stanach Zjednoczonych, wyruszyła długa, kolorowa procesja na Cmentarz Wojskowy Amerykańskiej Częstochowy. Procesji przewodniczył O. Jan Michałak, dyrektor Cmentarza w towarzystwie O. Michała M. Zembrzuskiego, założyciela Amerykańskiej Częstochowy i O. Mariana Załęckiego, dyrektora pielgrzymek. W procesji wzięły udział delegacje SWAP, SPK, Korpusu Pomocniczego Pań, Związku Harcerstwa Polskiego w USA i blisko tysięczna grupa wiernych.

Przed wyjściem na zewnątrz, procesja zatrzymała się w kruchcie sanktuarium, przy płycie poświęconej 316 Kompanii Transportowej Pomocniczej Wojskowej Służby Kobiet 2-go Korpusu, aby oddać cześć i pomodlić się za poległe kobiety-żołnierzy. Płyta została umieszczona w sanktuarium Amerykańskiej Częstochowy 24-go maja 1987, przy dużym, osobistym staraniu Kol. Bronisławy Kwaśnickiej-Sanejko, podwładnej ppłk Marii Trojanowskiej. Okazją odłożenia płyty pamiątkowej był Światowy Zjazd Ochotniczek 316 Kompanii Transportowej PWKS 2-go Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w Amerykańskiej Częstochowie. Przy płycie modlono się za dusze polskich kobiet i dziewcząt uwięzionych i wymordowanych w lagrach sowieckich oraz za tych, które przyłączyły się do armii gen. Władysława Andersa i dzielnie walczyły obok polskich żołnierzy na terenie Palestyny, Iraku, Egiptu i Włoch (Monte Cassino, Ancona, Bologna) w latach 1942-194

Życie i działalność wojskowa ppłk Marii Trojanowskiej to jeszcze jedna świetlana karta w historii Oręża Polskiego. Już jako młoda dziewczyna bierze czynny udział w Powstaniu Warszawskim jako kurierka pod pseud. "Rysia" a później w szeregach AK. Organizowała tajne przejścia przez granice, m.in. dla gen. Tokarzewskiego w okolicach Lwowa, gdzie została aresztowana przez NKWD w 1940 i zesłana na Syberię. W roku 1941 zgłosiła się do Polskiej Armii - V Dywizji Piechoty w Tatiszczewie, gdzie została mianowana komendantką 5-ej Kompanii PSK. Od 1944 do 1946 r. pełniła funkcje dowódcy 316 Kompanii Transportowej. Ochotniczki i jej podwładne okazywały dowódcy nie tylko posłuszeństwo wojskowe, ale darzyły głębokim szacunkiem i osobistą przyjaźnią. W roku 1947 ppłk Maria Trojanowska zakończyła służbę w PSZ w stopniu majora PSK, a w roku 1949 zakończyła aktywną pracę w PKPR.

Po zakończeniu działań wojennych, ppłk Maria Trojanowska przeniosła się na stałe do USA, gdzie nadal kontynuowała działalność na rzecz upamiętniania udziału i poświęcenia polskich kobiet-żołnierzy w 2-ej wojnie światowej.

Za jej ofiarną służbę Ojczyźnie, ppłk Maria Trojanowska otrzymała liczne odznaczenia wojskowe, m.in.: Krzyż Walecznych (dwukrotnie), Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Krzyż Monte Cassino, Medal Wojska (dwukrotnie), Gwiazdę za Wojnę, Gwiazdę Italii, Jugosławijską Odznakę Równogórską, Krzyż AK, Odznakę Honorową SPK, Odznakę 2-go Korpusu, Złoty Medal Skarbu Narodowego.

Świetlaną postać ppłk Marii Trojanowskiej cechowała wielka miłość dla polskich dzieci, które stały się największymi ofiarami 2-ej wojny światowej. Ku pamięci tych niezliczonych ofiar, polskich dzieci, ufundowała piękny "Pomnik-Krzyż" skradzionego dzieciństwa polskich dzieci w Amerykańskiej Częstochowie w 1989 r.

Z jej inicjatywy i materialnego poparcia, powstał w Los Angeles, CA., Dom Seniorów "Szarotka", gdzie ppłk Trojanowska spędziła ostatnie dni swego życia. Podczas jej choroby, śmierci i transportacji prochów do Amerykańskiej Częstochowy, oddała wielką przysługę miłości i przyjaźni dhna Gena Kliszewska z Los Angeles, CA.

Podczas procesji na Cmentarz Weterański, urnę z prochami ppłk Marii Trojanowskiej niosła Kol. Bronisława Kwaśnicka-Sanejko, która najwięcej włożyła serca w tę wyjątkową uroczystość pogrzebową. Nad mogiłą kolejno przemawiali: O. Michał M. Zembrzuski, Kol. Bolesław Wojewódka, Kol. Eugeniusz Wit. W imieniu ZHP w USA, żegnała dhna

2.11.90 wice prezydent P. ... 5 WITP ... w Ameryce

11/15

3.

Aleks Kiermaszowski - 4/10001

Danka Kozłowska a w imieniu 316 Kompanii Transportowej PWSK aktualna  
~~komendantka Janina Tokarzewska-Masłowska.~~

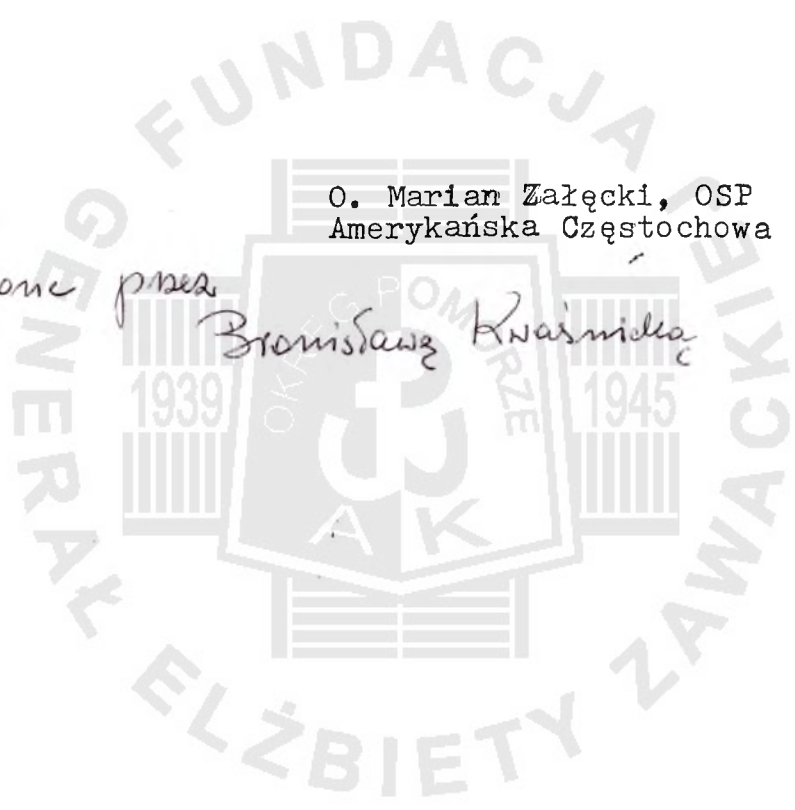
Złożono na mogile kwiaty biało-czerwone, kwiaty ojczyste - pewny  
znak naszej wdzięcznej miłości. One napewno zwiędną, ale wdzięczna  
pamięć o dowódcy, ppłk Marii Trojanowskiej pozostanie w naszych  
sercach na zawsze żywa.

Cześć jej świetlanej pamięci!

O. Marian Załęcki, OSP  
Amerykańska Częstochowa

poprawione przez

Bronisław Kwasiński



wa w Rosji w 1941 roku tworzyła się w warunkach i okolicznościach specyficznych.

Jedną z pierwszych kobiet zwolnionych z więzienia, która natchemniast zgłosiła się do sztabu Armii, ofiarowując swoją pomoc w organizacji służby kobiecej, była Władysława Piechowska, pierwsza inspektorka Pomocniczej Służby Kobiet.

Praktycznie rozkazy i odnośne zarządzenia, normujące służbę kobiet w wojsku, zmieniali się kolejno prawie na każdym nowym naszym etapie, w miarę postępu organizacji Armii, wynikających potrzeb i zdobywanych doświadczeń. W pierwszym zaś okresie, każda dywizja i niemal każdy oddział samodzielnie regulował te sprawy indywidualnymi, wewnętrznymi rozkazami.

Wprawdzie wytyczne dla organizacji PSK opracowane przez ówczesnego szefa sztabu Armii, płk. Okulickiego, obowiązywały już od 30 X 1941, ale wartość tego historycznego aktu mówiła sama za siebie. Był on sporządzony ówkiem, na urwanej połówce kartki z notatnika i zawierał tylko kilka podstawowych punktów. Niestety treści jego przytoczyć nie mogę, gdyż akt ten zaginął.

Nieco obszernej i jasnej precyzujący cele i zadania służby kobiet w wojsku pierwszy rozkaz Dowództwa Armii nosił datę 6 I 1942. Nie wyczerpuje on jednak w żadnym stopniu wszystkich problemów związanych z tym zagadnieniem.

Duże trudności z wcieleniem kobiet do wojska stawały przede wszystkim władze sowieckie. Kategorycznie sprzeciwiły się zaciągowi kobiet, motywując to tym, że w umowie o organizacji Armii takiego warunku nie było. Udało się jednak gen. Andersowi przy dużej pomocy i udziale gen. Bohusza-Szyszko przekonać odnośne sowieckie czynniki, że przeprowadzany już zaciąg kobiet nie stoi w sprzeczności z tą umową, gdyż mowa w niej o obywatelach polskich, a kobiety w Polsce korzystają z tych samych uprawnień co i mężczyźni. Jest to poza tym zgodne nie tylko z prawem polskim, ale i sowieckim, gdyż ustawy sowieckie o powszechnym obowiązku służby wojskowej kobiet nie eliminują, a kobiety sowieckie masowo odbywają służbę wojskową.

Uzyskana wreszcie zgoda władz sowieckich określała jednak maksimum kobiet polskich w wojsku na 2000. Przez komisje poborowe w Rosji przeszło 2747 ochotniczek. Wszystkie one odbyły przeszkolenie

unitarne o charakterze ogólnowojskowym, a następnie dopiero przekolenie fachowe, związane z działaniem ich służb.

W początkowym okresie jednostki organizacyjne PSZ na terenie Rosji mieściły się:

sztab główny i ośrodek zborny – w Buzutuku koło Kujbyszewa

5 Dywizja Piechoty – w Tatiszczewie koło Saratowa

6 Dywizja Piechoty – w Tockoje koło Czałowa

pułk zapasowy – w Koltubance, w niedalekim sąsiedztwie Buzutuku.

Przy pierwszych trzech jednostkach powstały kompanie PSK z tym, że kompania PSK w Buzutuku obsługiwała jednocześnie i pułk zapasowy w Koltubance.

Już w okresie pobytu PSZ w Azji Środkowej na ziemiach Uzbekistanu i Kirgizji – w oparciu o umowę grudniową Sikorski-Stalin, przewidującą dalszą rozbudowę Armii Polskiej w Rosji – tworzyć się zaczęły 7, 8, 9, 10 Dywizje Piechoty a równoległe do tych wielkich jednostek, powstały: 7, 8, 9, i 10 kopanie PSK.

Rozlokowanie kompanii PSK w Azji było następujące:

5 Kompania – w Dżat-Abat, 6 Kompania – w Szachriziab, 7

Kompania – w Kerminie, 8 Kompania – w Czokpak, 9 Kompania – w Margielanie, 10 Kompania – w Ługowoj.

Również już w Azji zorganizowana została kompania obsługi PSK przy Ośrodku Organizacyjnym Armii w Guzarze, kompania obsługi PSK w Centrum Wyszkozenia Armii we Wreskoje oraz Ośrodek Zapasowy i Wyszkozeniowy PSK w Guzarze, powstały na mocy rozkazu Dowództwa Armii z dnia 27 IV 1942.

Kompanie 7, 8, 9 i 10 uległy likwidacji przy pierwszej ewakuacji PSZ do Persji w marcu 1942, ponieważ jednostki, przy których powstały, zostały objęte tą ewakuacją.

Najdłużej przetrwały Kompanie PSK przy Sztabie Głównym oraz przy 5 i 6 Dywizjach Piechoty. Zorganizowane w pierwszych dniach tworzenia się Armii Polskiej w Rosji. Rozwiązane zostały dopiero na Środkowym Wschodzie na skutek reorganizacji PSK, co nastąpiło równoległe do reorganizacji Armii Polskiej na Wschodzie.

Z pierwszą ewakuacją do Persji, w marcu 1942, wyjechała również na czele 1159 ochotniczek inspektorka Władysława Piechowska.

Inspektorką na terenie Rosji rozkazem Dowódcy Armii z kwietnia 1942 wyznaczona została Bronisława Wysłouchowa. Pozostała ona na tej funkcji aż do rozwiązania 2 Korpusu, co nastąpiło w roku 1946 już na terenie Anglii.

Płk Bronisława Wysłouchowa zmarła w Anglii 5 II 1947 r. Została pochowana w Bookwood, na cmentarzu wojskowym. Obecnie prochy jej są złożone w grobie rodzinnym na powązkach w Warszawie.

#### Zakwaterowanie

Pod Kujbyszewem, Czkałowem i Saratowem przydzielono wojsku letnie obozy Armii Czerwonej z niewielką ilością budynków gospodarczych z dykty lub z pojedynczych desek. 80% żołnierzy mieszkało w namiotach. Ilość tych była jednak niewystarczająca i nowoprzybywający w listopadzie i w grudniu częściowo biwakowali pod gołym niebem.

W namiocie głęboko wkopanym w ziemię, z improwizacją pieca z blaszanki, z niedostateczną ilością pożywienia, bez obuwia i odzieży żołnierz polski zimował przygotowując się jednocześnie do spełnienia swych przyszłych zadań.

Z wyjątkiem budynków teatralnych o większych rozmiarach, lecz zbudowanych z pojedynczych desek, bez możliwości ogrzewania – nie było żadnych innych pomieszczeń, gdzie by w ciągu dnia lub wieczoru można było prowadzić z żołnierzami zajęcia pozaterenowe, urządzić pogadanki lub odczyty. Zaistniała więc kwestia budowy ziemianek-sświetlic, ale budulca oczywiście było brak, jak również brak było najprymitywniejszych narzędzi technicznych. Z trudem zdobywano każdą piłę, siekierę lub młotek.

Na własną rękę wojsko rozpoczęło eksploatację pobliskich lasów. Dywizja „Lwów” (6 Dywizja) mówi na ten temat:

Drzewo do obozu zwożono zaprzęgami z ludzi, później koni, a kiedy konie były zajęte inną pracą, całe oddziały dźwigały je na plecach. Była to praca nad wyraz ciężka i wyczerpująca.

Zarządzeniem ówczesnego Dowódcy 5 Dywizji, gen. Boruty-Spiechowicza, w której to Dywizji miałam zaszczyt mieć przydział,

wszyscy zdolni do marszu mają wyruszyć określonego dnia po budulec do lasu, odległego o 6 km od naszego mp. Zameldowałam się u generała z prośbą o pozwolenie kompanii kobiecej na wzięcie udziału w marszu. Początkowo nie chciał się zgodzić z uwagi na naszą złą kondycję fizyczną, jak również i dotkliwie braki w ubraniu. Zdołałam jednak przekonać go o tym, że nie chcemy stworzyć u żołnierza pojęcia jakiejś kastowej odrębności, faworyzowania lub braku zainteresowania jego potrzebami, gdyż jedynie nasza kompania mieściła się w tym czasie w baraku mieszkalnym o jednej dużej izbie z piętrowymi pryzkami. Było nas wtedy 94 kobiety. Uzgodnił, że pójdą tylko te, które zgłoszą się na ochotnika i naprawdę zdrowe. Prawie cała kompania zgłosiła się, musiała więc uznać nie lada perswazji, by niektóre zatrzymać w „domu”.

Wyruszyliśmy o mroźnym, suchym świcie z dowódcą Dywizji na czele. Poszło kilka tysięcy ludzi. Piłowaliśmy i rabaliśmy przez cały dzień wieczorem wracaliśmy z budulcem na plecach. W ciągu dnia dowieziono nam zapę, a chleb wzięliśmy ze sobą.

Efekt wyprawy był poważny. Budulca starczyło na batalionowe i kompanijne ziemianki-sświetlice, również na parę ziemianek mieszkalnych.

Na marginesie tej wyprawy przypomina mi się własne przeżycie. W nocy przed wyruszeniem obudziłam się z silnym bólem pod prawą łopatką i już do rana nie mogłam usnąć z bólu. Iść musiałam, bo czułam się odpowiedzialna za celowość udziału naszej kompanii. Po powrocie natychmiast powędrowałam na swoją pryzkę z dotkliwym, nieustającym bólem.

Generał przez gońca przysłał mi sporych rozmiarów szklankę rosyjskiej „wódki” zaprawionej pieprzem, którą musiałam wypić przy świadku-gońcu. Pomogło znakomicie i rano zbudziłam się bez bólu. Rozeszło się po kościach wraz z „wodką”. Jak mi później oświadczył lekarz, było to zapalenie oplotkowej.

W drugiej połowie lutego znaleźliśmy się w Azji Środkowej i rozlokowaliśmy się w najbliższym sąsiedztwie uzbeckich i kirgiskich miasteczek. Zamieszkałszy w namiotach, które o tej porze roku albo ginęły pod śniegiem, albo tonęły w ulewnych deszczach i zdawałoby się w nigdy nie wysychającym błocie. Stenniki z poszatkowaną skórą, której



zawsze było brak, kładło się wprost na ziemię, bo prycz nie było z czego sklecić. (Południowa Azja jest bardzo uboga w drzewostan). Udawało się nam czasami sienniki podsuszyć, ale nie miało to wielkiego znaczenia, gdyż kładło się je z powrotem na wilgotną, jeżeli nie mokrą ziemię. Po ulewnych deszczach trzeba było używać akrobatycznych sztuczek, aby wyjść lub wejść do namiotu, bo niewypalona cegła, którą zdobywało się z wielkim trudem i dźwigało nieraz kilometrami, a z której układało się schodki przy wejściu do namiotu – rozpyływała się w potokach wody.

Gnębiła nas zmora wszelkiego rodzaju robactwa i gadów. Skorpiony, falangi, czarne wdowy, węże nigdy przed tym niewidzianej wielkości, a także jadowite żmije były tam zjawiskiem powszechnym. Trzeba było codziennie sprawdzać, czy pod siennikiem nie ulokowała się żmija, co nam się często przydarzyło, a także na wszelki wypadek wytrząsnąć buty przed ich wciagnięciem, bo nieraz kryły w swym wnętrzu wiele niespodzianek.

Ze wspomnień jednego z oddziałów na temat miejsca zakwaterowania ochotniczek czytamy:

...Plagą obozu były skorpiony i węże. Ukąszenie pierwszych było w skutkach bardzo dotkliwie. Jedna np. z ochotniczek miała co pewien czas po takim ukąszeniu ataki połączone z konwulsjami. Takich ataków przeszła kilkanaście i wycieńczyły ją w okropny sposób. Kiedy raz czując się źle, położyła się pod drzewem i zemdląła, wzięłam ją na ręce, by zanieść do namiotu. Była tak przerażająco lekka, że miałam wrażenie, iż niosę małe dziecko...

Jednostki Dywizji rozrzucone były w promieniu około 10 kilometrów od Sztabu, w najbliższym sąsiedztwie którego było nasze mp., a że wszystkie nasze rodzaje służb i prac ściśle się wiązały z oddziałami, prawie każda z nas codziennie przemierzała niezliczoną ilość kilometrów.

Już przedtem przeszliśmy w łągach twardą i znacznie gorszą szkołę marszów, toteż kilometrowe odległości nie odgrywały wielkiej roli w naszym życiu, gdyby nie trudności z obuwiem i nie brukowane, tonące w grząskim, lepkim błocie okoliczne drogi.

W lecie, już w Azji Środkowej, gnębił nas upał, niekiedy przekraczający 100° F. Cała roślinność z wyjątkiem sztucznie nawadnianych pól ryżowych wypalona została przez słońce. Brak było też zadrze-

wienia, które by dawało cień. Wprawdzie podnosiłyśmy boki namiotów dla przewiewu, ale płócienne dachy rozgrzewały się niesamowicie, toteż w namiocie czułyśmy się znacznie gorzej niż na otwartej przestrzeni. Brak było przy tym dostatecznej ilości wody do picia. Przywoziło się ją beczkami w bardzo ograniczonej ilości. W niektórych naszych kobiecych kompaniach wodę do picia przynosiły same ochotniczki w butelkach. Odczuwałyśmy wtedy w wojsku brak wszelkiego rodzaju naczyń. Brak dostatecznej ilości kotłów do gotowania pożywienia powodował, że niektóre kuchnie czynne były do 24 godzin na dobę, co przy bardzo wysokiej temperaturze całego dnia i bezwietrznych, dusznych nocach stwarzało u kucharzy i kucharek pojęcie piekła na ziemi.

Ten stan rzeczy w znacznym stopniu przyczynił się do ogólnego pogorszenia stanu zdrowia. Szczególnie ujemnie odbiło się to na junakach i dzieciach pozostających pod opieką wojska. Wśród nich śmiertelność w okresie letnim znacznie wzrosła.

Z tego okresu na odprawie komendantek w Jangi-Jul w dniu 1 VII 1942 Komendantka ośrodka Guzar w swoim sprawozdaniu stwierdziła:

Zakwaterowanie fatalne w namiotach zastawionych w kilku podwórkach uzbeckich, bez przewiewu, bez cienia. Wyżywienie niedostateczne. Gaź na razie funkcyjne nie otrzymują, brak więc możliwości dokupienia czegokolwiek. Stan zdrowotny ze względu na specjalnie zły klimat i wysoką temperaturę (ponad 100° F.) – bardzo zły, dużo wypadków gorączki tropikalnej, ogólne wyczerpanie.

Na północy kontaktów z ludnością tubylczą nie utrzymywaliśmy. W naszych obozach żyliśmy swoim, polskim życiem, które z całą mocą polskiej żywotności i indywidualności po dwuletnich, ciężkich przeżyciach odradzało się i zestrajało w zbiorowym wysiłku. Był to okres wzniosłych i górnych lotów o niezwyklej sile twórczego napięcia. Izolacji pomiędzy nami a ludnością tubylczą w dostłownym tego słowa znaczeniu nie było, ale też nie było żadnej, wiążącej spójni. Mieszkaliśmy i żyliśmy tuż obok siebie, ale drogi nasze, dążenia i cele były krańcowo odmienne. Wyrosła między nami zaporą naturalnego izolacjonizmu, której obie strony nawet nie usiłowały przełamać.

W jednym tylko wypadku tubylcy przełamywali tę zaporę, nie bacząc na ewentualne późniejsze konsekwencje. Przychodziło ich zawsze dużo na nasze niedzielne msze polowe. Przychodzili nie wotani, nie za-

powiadani gromadnie. Przeważały kobiety i dzieci przy stosunkowo niewielkiej ilości ludzi starych. Początkowo tylko się przyglądali, ale z czasem widzieli się ich głęboko zatopionych w modlitwie.

Rzadko kiedy zgłaszali się do naszych szpitali i izb chorych po porady lekarskie, natomiast bardzo często indywidualnie przychodzili do naszych księży po porady duchowe. Przynosili lub przyprowadzali ze sobą dzieci, prosząc o ochrzczenie lub tylko o błogosławieństwo. Siła potrzeb duchowych była w nich większa aniżeli strach przed odpowiedzialnością. Zdarzały się wypadki, że ksiądz następnego dnia po ochrzczeniu dziecka przyniesionego przez matkę rozpoznawał to samo dziecko tym razem przyniesione przez ojca. W ZSRR myśli, uczucia i dążenia chowane są bardzo głęboko nawet przed najbliższymi, bo im się również nie dowierza.

Na południu zetknęliśmy się z odrębnością starej, bogatej kultury azjatyckiej. Prawie na każdym kroku spotykaliśmy jej widoczne jeszcze ślady w postaci pozostałości po zamkach i meczetach ze szczątkami dobrze zachowanych mozaik i fresków, dzieł rąk mistrzów chińskich z XIII i XIV wieku. Narody uzbecki i kirgiski, o bardzo prymitywnym i niskim poziomie życia, zachowały jednak dumę narodów ongiś wolnych i świadomość swej historycznej przeszłości.

Początkowa rezerwa w stosunku do nas, obcych przybyszów, szybko stopniała. Wprawdzie nie doznawaliśmy z ich strony żadnych specjalnych objawów wylewności uczuć, ale witali nas na drogach pogodnym uśmiechem, a niejednokrotnie z przykładaniem ręki do serca, ust i czoła. Byli nam życzliwi.

#### Umundurowanie

Stan umundurowania żołnierza polskiego w Rosji do czasu nadejścia mundurów angielskich był poniżej wszelkiej krytyki. Początkowo byliśmy tylko na „swoim... tj. w brudnych, zawoszonych łachmanach, bez białizny pod spodem i bez butów. W listopadzie dostarczono nam niewielką ilość odzieży, która – jak żartem twierdziliśmy – pochodziła z rekwizytów teatralnych. Pochodziła ona ze zrabowanych przez Rosję magazynów fińskich, estońskich, łotewskich i litewskich. Ponieważ

usiłowano w miarę możliwości dopasować ją do wielkości żołnierza, zdarzało się, że żołnierz miał na sobie różne i całkiem odmienne w kroju i w kolorze części mundurowe wymienionych krajów. Cieszyliśmy się i z tego, gdyby tej odzieży była wystarczająca ilość. W większości żołnierz nadal pozostawał na „swoim”. Toteż kompanie kobiece dokonywały cudów, aby w zorganizowanych na swoich terenach pralniach i szwalniach odzież tę doprowadzić do takiego stanu, by była względnie czysta i trzymała się kupy. Obie wymienione instytucje były wtedy oczywiście, jak i wszystkie inne, dużą improwizacją. Pralnia o jednej większych rozmiarów wanience, mieściła się w naszej kompanii na oszklonym, ale bez szyb i bez pieca ganku. Wodę przynosiło się z odległego strumienia i grzało się w cudem zdobytych wiadrach na żelaznym piecu naszej izby mieszkalnej. Stygła szybko na oblodzonym ganku, ale się prało mimo poodmrażanych, poranionych rąk. Zdobyliśmy maszynę do szycia, nawet żelazko. W ciepłe prawie nie wygasającego piecyka przez cały dzień i zarwaną noc pracowały ochotniczki z przerwaniami na posiłki, które wracające z innych prac koleżanki wciskały im nierz przymocowaną do rąk.

Pracy w tym okresie było niewspółmiernie dużo, ale one dwoiły się i troiły, by chociaż w części zaradzić tym rażącym brakom.

Szwalnia i pralnia w 6 Kompanii PSK ani maszyny do szycia, ani żelazka nie miała i wszystkie przeróbki, naprawy i łatania dokonywane były tam ręcznie. Sposób prasowania u nich pozostanie ich tajemnicą.

Stan obuwia przedstawiał się gorzej. Nawet już na „swoim” trudno było się utrzymać. Przeważały łapcie wszelkiego rodzaju i gatunku lub saboty na drewnianych podeszwach, bez zapiętek. To wszystko, co kiedyś nazywano się butami, z reguły powiązane było sznurkami i drutami. Często nogi owinięte były w sznaty. W miesiącu grudniu zanotowano całkowity brak obuwia dla 30 % ogólnego stanu żołnierzy. Specjalnie więc opracowano program szkolenia dla tzw. „bosych”, gdyż nie mogli oni brać udziału w ćwiczeniach kompanijnych.

Pamiętam jak dziś dzień 29 listopada 1941 roku i uroczyste otwarcie w tym dniu Szkoły Podchorążych 4 DP (miałam zaszczyt ją również ukończyć). Uroczystość rozpoczęła się Mszą Polową z okolicznościowym, przesłicznym kazaniem, a następnie przemarszem kandydatów na podchorążych przed dowódcą Dywizji. Pochmurny,

szary dzień ze śniegiem i deszczem na przemian. Rozmiękły grunt obozowy, przemierzany codziennie tysiącami stóp przeistoczył się w grząskie, głębokie błoto. Po tym błocie odbył się pierwszy, historyczny przemarsz pierwszej polskiej Szkoły Podchorążych na terenie Rosji.

Chłopcy szli usiłując za wszelką cenę utrzymać linię i krok. Łachmaniarze w podwiązanych drutami resztkach butów, w łapciach i sabotach na gołych stopach, gdzieniegdzie wprost na bosaka, stanowili obraz niezwykły, kontrastowo odbijający się od siły ich postaci. Z wynędzniałych, szaro-zielonych twarzy patrzyły rozpromienione oczy. Szli z usmiechem i pieśnią na ustach.

Brak obuwia i nam, ochotniczkom, mocno dawał się we znaki. Najgorzej działało się świetliczarkom. Kilka razy dziennie przemierzały bag-niste błoto, by dostać się na teren swego oddziału, a że początkowo prace świetliczarskie odbywały się w namiotach, również ginących w błocie, praktycznie więc biorąc przez cały dzień miały mokre, zgrabiące nogi. Dla nich wypożyczaliśmy najłżejsze buty ze stanu postadania kompanii. Po prostu tzw. szwaczki, praczki, prasowaczki i inne pozostające w pobliżu „domu” oddawały do ich dyspozycji swoje obuwie, o ile ono było lepsze, tj. o ile mogło się poszczycić jakim takim stanem podeszwy.

#### Wyżywienie

Przydzielona wojsku żywność składała się przeważnie z mąki, kaszy, ryżu, trochę mięsa, bardzo rzadko kartofli przeważnie zawsze zamrażanych i trochę tłuszczu. Mięsa i tłuszczu ani razu nie dostarczono na pełny stan żywionych, a nigdy nie przekraczały one 70 % należności. Jarzyn, tj. cebuli i czasami marchwi, nigdy nie dostarczono nam więcej niż 30% należności. To powodowało, że wartość kaloryczna porcji żołnierskiej wynosiła do 50% jej wartości według tabeli sowieckiej, znacznie zresztą niższej od przedwojennej polskiej. Miało to swoją wymowę szczególnie w odniesieniu do wyniszczonych dwuletnią głodową organizmów.

Udawało się nieraz poszczególnym oddziałom drogą bardzo zakonspirowanego kupna zdobyć barana lub cielaka. Szło to wtedy do wspól-

724  
nego, kompanijnego lub baonowego kotła. W Azji w ogóle jarzyny i owoce w bardzo szczupłym zakresie zdobywało się z wielkim trudem również na wolnym rynku.

Niemniej jednak żołnierz dzielił więcej niż chętnie swoją porcję z najbliższą lub przybraną rodziną zamieszkującą w obozach dla ludności cywilnej, lub też prywatnie, blisko naszych oddziałów. Ludność ta, której liczebność stale sięgała 50 % stanu wojska, prawie całkowicie uzależniona była od tej pomocy. Ale tego rodzaju zwyczajne, ludzkie uczucia obce były psychice, a także interesom sowieckim i na tym tle zachodziły rozbieżności pomiędzy ich stanowiskiem a stanowiskiem naszych dowódców.

W miarę przesuwania się linii frontu w głąb Rosji sytuacja żywnościowa, zawsze zła w ZSRR, uległa znacznemu pogorszeniu. Nastąpiły więc ponowne ograniczenia żywnościowe i przepisy zastrzegające sprawę dokarmiania przez wojsko ludności cywilnej. Wysuwane na ten temat w rozmowach sowieckie argumenty były tego rodzaju, że wojsko polskie przygotowujące się do wzięcia udziału w działaniach wojennych, i to już w najbliższej przyszłości, musi szybko odzyskać siły fizyczne, toteż nie może być obciążone tak wielką ilością podopiecznych. Wysuwane przez nasze władze kontrargumenty, że po prostu nie będzie się dobrze bił, jeśli będzie świadam, że jego najbliższa rodzina umiera z głodu – oczywiście nie trafiały do przekonania strony przeciwnej. Groźono dalszym obciążeniem porcji żywnościowych.

Celem przeciwdziałania takim możliwościom, w dążeniu do odciążenia wojska od bezpośredniej opieki nad ludnością cywilną, dowództwo naszej Armii, w porozumieniu z ambasadą polską, stworzyło szereg komitetów pomocy i opieki społecznej, w dalszym ciągu silanych przeważnie z kas i magazynów wojska, gdyż ambasada nasza nie rozporządzała większymi sumami, które mogłyby być użyte na ten cel.

Śmiem tu zaryzykować przypuszczenie, że nasze władze państwowe w Londynie nie doceniały w pełni tragizmu sytuacji polskiej ludności w Rosji.

Większość w/w komitetów powstała w najbliższym sąsiedztwie Taszkientu, Buchary, Akmołińska i Samarkandy. Były to punkty największego nasilenia wędrowek polskiej ludności, kierowanej tu przy-

musowo przez władze sowieckie całymi transportami, jeszcze przed przybyciem wojska polskiego do Azji, albo też przybyłej tu w dążeniu do znalezienia opieki i oparcia o wojsko.

Pod naporem szybko posuwającej się armii niemieckiej ludność tubylcza, masowo uchodząca z zagrożonych miast i wsi, dotarła również do ubogiej Azji, oblegając wszystkie jej miasta, miasteczka i wsie. Ograniczone przepisami wolne rynki w krótkim czasie ziały pustkami. Transporty używane wyłącznie na potrzeby armii nie dowoziły żywności. Rozpoczęła się walka o żywność i rozpoczęła się głód. A to, czego nie dobił głód, dobijając zaczęły choroby zakaźne. W ogóle niski poziom życia Azjatów pod względem sanitarnym – obniżony masowym naporem nowoprzybywających – katastrofalny brak żywności i brak wody destylowanej stały się przyczyną wybuchu chorób epidemicznych. Ludzie zaczęli masowo wymierać.

Jeszcze przed przybyciem naszych oddziałów do okręgu Buchara zmarło 20% przebywającej tam polskiej ludności.

Wprawdzie wojsku udawało się w dalszym ciągu – rzekomo przeżywać – ale już na znacznie mniejszą skalę utrzymywać przy sobie część naszej ludności, byliśmy jednak pod tym względem skrupowani wciąż narastającymi i zaostrzającymi się przepisami sowieckimi. Na naszą kobiecą kompanię w 5 DP władze sowieckie zwróciły szczególną uwagę. Dostawaliśmy przydział żywności taki sam co i żołnierz, toteż chętnie dzieliliśmy się zupą, kaszą i chlebem z naszą ludnością cywilną, która w czasie naszych posiłków tworzyła dość długie ogonki przed bramą. Zwróciło to uwagę władz sowieckich i zagrozili dowództwu dywizji, że jeżeli u nas nie ustanie rozdawnictwo żywności, zmniejszą porcje żywnościowe dla całej dywizji. Stanęliśmy wobec przymusowej sytuacji zlikwidowania ogonków przed naszą bramą, gdyż nie mogliśmy narazić żołnierzy na jeszcze większe okrojenie ich porcji. Mimo że kompania nasza stała się punktem stałej obserwacji, udawało się nam – w czasie gdy służbowa przy bramie krótkim „nie” odprawiała naszych podopiecznych z pustymi blaszankami na tyłach naszego terenu przez wylomy w murze szybko i sprawnie napełnić blaszanki. Nie każdy jednak wiedział o tych nowych możliwościach, a informować o tym nie mogliśmy, bo stworzylibyśmy nowy precedens „od tyłu”.

11/22

Był to dla nas okres ciężkich prób i zmagani wewnętrznych. Czuliśmy się gorzej niż w więzieniu lub łagrze, bo tam korzystaliśmy z jednakowych praw i możliwości, tu zaś tego rodzaju sytuacja wytworzyła pojęcie grupy uprzywilejowanej i innej, przeznaczonej na zagładę. Mocno nad tym cierpieliśmy.

Pamiętam jak dziś głodową śmierć młodego Polaka, tuż pod bramą naszego obozu. Nie byłby już w stanie przetrwać naszej zupy, ale świadomość, że konał z głodu na naszych oczach, kamieniem po dziś dzień leży na duszach tych wszystkich, którzy byli świadkami tej tragicznej śmierci.

Przy pomocy i osobistym udziale księdza dziekana Włodzimierza Cieńskiego, szefa Duszpasterstwa Armii Polskiej w Rosji, na Środkowym Wschodzie i we Włoszech aż do rozwiązania 2 Korpusu w Anglii, a później już samorzutnie oddziały zaczęły organizować ruchome ekipy pomocy doraznej dla naszej ludności rozlokowanej po wsiach i miasteczkach w zasięgu ponad 100 km od naszych mp. Gromadzono żywność, odzież, pieniądze, lekarstwa i opatrunki, ładowano na wóz w jednego lub dwa konie i ekipa jechała w objazd.

Ksiądz Cieński osobiście brał udział w tych objazdach, przemierzając dziesiątki kilometrów przeważnie piechotą, ze względu na przeciążenie wozu i możliwości wygodzonych koni. W pracach tych ekip brały udział ochotniczki jako siostry nosące pierwszą pomoc.

Relacje wracających ekip spędzały sen z powiek i zagłuszały potrzebę zaspokojenia własnego głodu. Siostra Wanda Czopowik z naszej kompanii odtwarzała przed nami obraz nędzy, upokorzenia i nawet w najgorszym dla nas okresie nie zaznanej przez nas ludzkiej poniewierki.

Nie wszystkie drzwi uzbeckich lepianek były ekipom otwierane, bo już nie miał im kto ich otwierać. Jeżeli jeszcze żyli, to już brakło im siły, by doczołgać się do drzwi. Jeżeli jednak ktoś na ten wysiłek zdobył się, to z reguły był nagi, jak i wszyscy mieszkańcy lepianki. Wszystko już oddano za ryż lub mąkę. Wszystko łącznie z dziećmi, które oddawane były tubylcom za 10 kg ryżu. Myślałam przewodnią w tych wypadkach „była niewątpliwie chęć ratowania w pierwszej kolejności dzieci, a następnie podtrzymywanie sił własnych w oczekiwaniu na jakiś cud, który może się zdarzyć”.

Pomoc ekip ruchomych w tych warunkach była kroplą w morzu ludzkiej nędzy.

Sprawa żywnościowa w tym okresie czasu w Armii Polskiej w Rosji była sprawą bodaj najważniejszą, odbijającą się na psychice odradzającego się żołnierza i dlatego piszę o niej stosunkowo obszernie, nie wyczerpując w dalszym ciągu tego rozdziału naszych doznań

#### Sanitariat

Bardzo ważną pozycją w życiu żołnierskim na terenie Rosji niewątpliwie był szpital. Prawie wszystko, co przyszło lub niemal dosłownie przyłazło na czworakach do obozów naszych jednostek – przeszło przez szpital, wielu z nich już w ostatniej swej ziemskiej wędrówce.

Statystyka z tego okresu wykazuje 100% zawszenia, 70% awitaminozy, 25% świerzbu. Ponadto ogólne wyczerpanie zanotowane prawie u 100%. Gniłec i podagra, sporadyczne wypadki tyfusu plamistego z miejsca stały się powodem dużej śmiertelności żołnierzy. Tylko przez jeden szpital w Tockoje w ciągu dwóch miesięcy przeszło ponad 700 żołnierzy.

Warunki leczenia pod każdym względem były rozpaczliwie złe. Budynki z pojedynczych desek lub dykty, bez ogizewania, bez światła i wody, z ubikacjami na zewnątrz. W zimie z trudem udawało się utrzymać możliwą temperaturę na salach chorych i salach operacyjnych, ale już na korytarzach zamarzała woda i przynoszone z kuchni jedzenie.

Brak było bielizny pościelowej i osobistej. Brak było również naczyń. Na jednym z raportów naczelnego lekarza szpitala dywizyjnego szef Służby Zdrowia Armii odnotował:

„Zbrodnią jest pomieszanie, gdzie leżą chorzy, nazywać szpitalami, a blaszanki od konserw – basenami i kubkami”. Pisz przełożona jednego ze szpitali:

„Z kopiciką w zgrabiałej ręce, skostniała z zimna, brnęłam po pas w śniegu, by dostawszy się narazcie do baraku celem zrobienia zastrzyku, zastać w sterylizowatorze zamarniętą strzykawkę, a w butelce zamiast lekarstwa – bryłkę lodu”.

Brak było także lekarstw, środków opatrunkowych, strzykawk, igieł i opatrunków. Zdobywało się to wszystko przeważnie własnym przemyśleniem, w bardzo skomplikowany sposób i w bardzo ograniczonej ilości. Nasze formalne zapotrzebowanie prawdopodobnie po dzień dzisiejszy odbywają swą drogę służbową w biurokratycznej Rosji.

Brak było również wykwalifikowanego personelu sanitarnego. Na ogólny stan 400 sióstr w Armii Polskiej zaledwie kilka było po szkole pielęgniarskiej i kilkadziesiąt po kursach PCK odbytych przed wojną w Polsce. Równocześnie więc z obsługiwaniem w tak ciężkich warunkach przeprowadzonych szpitali szkolono personel, siostry i sanitariuszki.

Oto co pisze na ten temat jedna z sióstr przełożonych:

Siostry po całonocnej pracy nocami mają wykłady, bo element jakkolwiek ciekawy, ale niewyszkolony. Nasi lekarze, mimo iż są przemęczeni pracą, prowadzą te kursy.

Siostry zakwaterowane były w pobliżu budynków szpitalnych, w barakach z pojedynczych desek lub dykty. Zaganiane w ciągu dnia, zarywając noce dla dokształcania się na kursach sanitarnych, nie miały czasu do pilnowania wiecznie kopących i gasnących żelaznych piecyków, toteż w ich mieszkaniu temperatura zawsze była dobrze poniżej zera. Gdy układały się do snu, naciągały na siebie wszystko, co się dało, z czapkami i rękawiczkami włącznie. Prawie wszystkie miały poodmrażane ręce i nogi, a o leczeniu trudno było myśleć, bo co chwila ręce zanurzały się w wodzie, a nogi grzeły w śniegu.

Tym wszystkim trudnościom pracy w szpitalach przeciwstawiła się dobra wola całego personelu szpitalnego i ta istotnie działała cuda. Większość chorych wychodziła podreperowana, podkarmiona, podtrzymana na duchu, ogrzana w atmosferze samarytańskiego samozaparcia, niezwykłej serdeczności i troskliwości. Włóczani z powrotem w łachmany, wracali żołnierze do namiotów pod śniegiem.

Po przetransportowaniu w lutym Armii Polskiej na południe nasilenie chorób zwiększyło się. Epidemia tyfusu plamistego i brzusznego, dezenteria i czerwonka dziesiątkowały nasze szeregi.

W miesiącu lutym zarejestrowano: 3472 przypadki tyfusu plamistego i 2748 przypadków zaburzeń jelitowo-żółdkowych.

Liczne wypadki innych schorzeń w tym okresie czasu rejestrowane nie były. Ilość chorych w stosunku do ogólnego stanu żołnierzy w PSZ w Rosji w miesiącu lutym wynosiła 38,9%, a w niektórych jednostkach dochodziła do 73,5%.

Walkę z epidemiami utrudniał fakt, że również i personel szpitali leżał pokotem. Toteż w 6 DP wszystkie świetliczarki zgłosiły się do pracy w szpitalach. A w ogóle nie zaistniał fakt wyznaczenia którejś kolwiek z urzędu na oddziały zakazne.

W 5 DP cała kobieca kompania, zaniebując inne swoje obowiązki, stanęła do walki z epidemiami.

Budynek szpitalny w 5 DP w Dżałal-Abat raczej był już z prawdziwego zdarzenia, ale z wodą w studni i z ubikacjami na zewnątrz, także bez światła.

W tym okresie na użytek szpitala trzeba było do kilkuset wiader wody dziennie, a więc przy jednej studni prawie bez przerwy pracowały zmieniające się zespoły ochotniczek. Dwa razy dziennie zmywały wszystkie podłogi piętrowego budynku, łącznie z klatką schodową. Nie było to zadanie łatwe, bo chorzy z braku dostatecznej ilości łóżek leżeli na podłodze, zalegając wszystkie korytarze i klatkę schodową. Na ogólny stan chorych przekraczający 4000 żołnierzy w dwóch szpitalach dwiżyjnych posiadano zaledwie 1200 łóżek. Chorych przeważnie układano po dwóch na jednym łóżku.

Ze względu na brak dostatecznej ilości bielizny pościelowej i osobistej uruchomiliśmy specjalną pralnię z wyłączną naszą obsługą, pracującą na zmiętą niekiedy przez całą dobę. Środki dezynfekcyjne, jak chociażby tylko mydło i chlor, były wtedy na wagę złota. Kuchnia szpitalna, poza kucharzem głównym, obsługiwana była również przez ochotniczki.

Mimo wprost nieludzkich wysiłków ogółu, co kilka godzin reprezentacyjna i jedyna trumna z ruchomym dnem wyjeżdżała na wozie w jednego konia za bramy szpitala.

Odeszło wtedy wielu bardzo wartościowych ludzi.

Epidemia tyfusu wygasła w kwietniu 1942. Podczas niej zmarło 1290 żołnierzy obojga płci i wszystkich stopni.

Epidemia chorób żołądkowo-jelitowych trwała do końca naszego pobytu w Rosji. Ilość tych przypadków, w miesiącu maju znacznie wzrosła. Zanotowano ich 6362, w lipcu – 6523 i 3733 wypadki czerwonki.

Jednocześnie szerzyć się zaczęły wszelkiego rodzaju choroby tropikalne z przeważającą ilością malarii i papataczy. Ta ostatnia wywoływana była przez małą, bezgłośną muszkę. Ukąszenie przez nią powodowało bardzo wysoką i długotrwałą gorączkę. W zasadzie nie groźna, ale wyniszczone organizmy w bardzo licznych wypadkach gorączki tej nie wytrzymały.

Ogólna liczba zmarłych żołnierzy w Rosji nie jest ustalona, sięga ona jednak ponad 7000 żołnierzy oraz 1823 dzieci i młodzieży będącej w ewidencji PSZ.

Z obsługi szpitalnej zmarło 21 lekarzy, 69 osób z męskiego personelu pomocniczego i 21 ochotniczek – siostry i sanitariuszek.

Żniwo śmierci zbierało swe ofiary z transporterów kolejowych do Krasnowodska, gonilo nas na nieludsko przeładowanych kutrach do Pahlawi, portu w Persji, i później w Teheranie pozostawiliśmy sporych rozmiarów cmentarze.

Zmarłych w transportach kolejowych wynosiło się, na pierwszych krótkotrwałych przystankach z przepelnionych „cieptuszek” i zostało przy torze kolejowym z przypiętą do koca kartą ewidencyjną.

Zmarłych na niesamowicie zatłoczonych i pozabawionych najprymitywniejszych urządzeń sanitarnych kutrach – wrzucało się do morza. Prawie wszystkie trupy w ciągu kilku dni po naszym wyładowaniu dopłynęły do perskiego brzegu. Zostali pochowani na polskim cmentarzu w Pahlawi.

Mówiliśmy między sobą, że nawet po śmierci siła woli gnala ich od wrogiej, nieludzkiej ziemi.

### Transporty

Wprawdzie rozkaz Dowództwa Armii z dnia 24 kwietnia 1942 roku, L. Dz. 1346 w punkcie 4 mówi, że ochotniczki mogą być przydzielone do prac fizycznych, także jako szoferki (zmieniono to określenie później na „kierowczynie,„) to jednak tego rozkazu wykonano na terenie Rosji nie dano się, bo nie przydzielono nam samochodów nawet do celów szkoleniowych.

Pierwsze szkolenie kierowczyń samochodowych odbyło się w Teheranie (Persja) po przybyciu tam ochotniczek pierwszą ewakuacją z Rosji. Wyszkolone kierowczynie przybyły do Julaula (Irak) – tam otrzymały prawo jazdy tworząc Kompanię 320. W Palestynie, w Rehovoth zorganizowano próbną pluton szkoleniowo-transportowy. Szkolenie zakończono z końcem września 1942 r.

W styczniu 1943 r. w miejscowości Gadera – Palestyna (obecnie Izrael) rozpoczęło szkolenie kierowczyń. Kurs objął ponad 700 kandydatek i trwał 3 miesiące. Nie tylko musiały one umieć prowadzić wóz, ale znać na pamięć każdą najdrobniejszą jego część składową, ogólną mechanikę i konserwację. Po zakończeniu kursu zorganizowano dwie Kompanie Transportowe – 102 i 103, które w okresie późniejszym przemianowano na Kompanie 316 i 317. Kompania 320 została rozwiązana, a ochotniczki-kierowczynie włączone do Kompanii 316 i 317.

Na dowódców tych Kompanii i poszczególnych plutonów wyznaczono oficerów – mężczyzn, z tym że oficerowie-kobiety dublowały stanowiska dowódców plutonów. Do każdej kompanii przydzielono także pluton warsztatowy, obsługiwany wyłącznie przez mężczyzn.

W dniu 9 sierpnia 1944 nastąpiło usamodzielnienie się Kompanii 316, której obsługę objęły całkowicie kobiety. Pluton warsztatowy przy kompanii, aż do rozwiązania Polskich Sił Zbrojnych bezpośrednio podlegał szefostwu Zaopatrzenia i Transportu 2 Korpusu. Z naszym Plutonem Warsztatowym żyliśmy w idealnej zgodzie, bo współpraca Plutonu z nami była dla wszystkich niezmiernie ważna i cenna. 317 Kompania Transportowa już we Włoszech usamodzielniała się w kilka miesięcy po 316 Kompanii.

Pamiętam jak dziś nasz pierwszy wycieczyn transportowy! Wyjechałyśmy pociągiem do Kairu, aby stamtąd przetransportować do Palestyny i dalej setkę trzytonowych wozów Chewrolet, dostarczonych dla naszych oddziałów przez aliantów. W Kairze dopiero je montowano w angielskich warsztatach, musialiśmy więc czekać kilka dni na zakończenie robót warsztatowych. Wreszcie o pewnym świcie kolumna samochodowa z obsługą kierowczyń wynurzyła w drogę powrotną do Palestyny. I tu zaczęły się nasze utrapienia. Pedały odpadały – hamulce nie działały, a w jednym wypadku kierownica została w ręku kierowczynie. Miałśmy jednak w zespole kilku naszych mechaników, którzy z

2.5  
miejscu usuwali błędy i niedociągnięcia angielskich warsztatów. Wpłynęło to jednak hamująco na czas trwania naszej podróży do Gedyry. Dojechalśmy jednak szczęśliwie, bez żadnego poważniejszego wypadku zarówno w ludziach jak i sprzęcie. Dalej już wszystko szło jak w zegarku.

W dniu 4 maja 1944 roku 316 Kompania Transportowa wylądowała we Włoszech. W ciągu roku tj. do 5 maja 1945 Kompania wykonała 31 129 świadczeń transportowych, przebywając 1 978 108 mil, przy użyciu 202 857 galonów benzyny. Przewieziony przez Komanię tonaż to: 6 626 ton amunicji, 30 410 ton materiałów pędnych, 77 902 tony żywności, 25 320 ton sprzętu materiałowego. Przewieziono także transporty naszych żołnierzy, zmieniających miejsca postoju. Największą jednak satysfakcję miały kierowczynie przy przewożeniu prawie z linii frontu do naszej Bazy w Motoli (600-700 mil) wziętych do niewoli Niemców.

317 Kompania wylądowała we Włoszech w kilka miesięcy po nas. Świadczenia i przewieziony tonaż tej Kompanii różni się tylko w skróconym czasie jej pobytu we Włoszech do zakończenia wojny. Ciężka praca fizyczna, wymagająca przy tym opanowania, skupienia, zaostrożnej uwagi i obserwacji, a również zaradności (szczególnie podczas dalekich podróży i przy niekiedy zdarzających się defektach wozów) wyrobiła w dziewczętach żołnierzach duże poczucie odpowiedzialności i samodzielności. Czynnikiem dodatnim było to, że nie używały alkoholu. Również poczucie dumy, że wykonują pracę taką samą jak i koledy mężczyźni dodawało im bodźca.

Z wyjątkiem tragicznie zmarłej na postoju ochotniczki Henryki Gromulskiej, kierowczynie z 316 Kompanii, nie spowodowały one żadnego wypadku śmiertelnego ani zniszczeń powierzonego im pieczy sprzętu. Na 330 kierowczyń w Kompanii (według etatu), ponad 200 miało za sobą w najlepszym razie szkołę powszechną. Wiele z nich z rodzin osadników rolnych wołyńskich i podolskich. Gdy dziś o nich myślę, to muszę przyznać, że swoją postawą wzbudzały wielki szacunek i nieklamany podziw. Dowodem tego niech będzie i to, że obie Kompanie otrzymały szereg pochwałnych rozkazów, i to nie tylko od dowódców polskich, ale i alianckich.

Wśród naszych lekarzy wojskowych utarło się powiedzenie, że praca kierowczyń ujemnie odbija się na ich zdrowiu w przyszłości, nawet na możliwości rodzenia przez nie dzieci. Żadne szczegółowe badania w tym kierunku nie były zarządzane ani dokonane. Każda Kompania

11/26

miała swoją lekarkę. Zdarzały się oczywiście wśród nich wypadki chorób kobiecych, tak jak i w innych większych zgrupowaniach żeńskich. Należy jednak wziąć pod uwagę poprzedni, dwuletni okres znacznie cięższej pracy fizycznej, wykonywanej w tajgach i stepach rosyjskich, o wiecznym głodzie i chłódzie. To był okres ich dzieciństwa, najważniejszy dla rozwoju kobiety.

Nie zatrączyły nic ze swej kobiecnosci. Wystarczyło tylko wejść do któregoś z ich namiotów. Namiot – prawie od pierwszego, przymusił wyjścia z domu rodzinnego, aż do końca wojny był zasadniczo ich domem i śmiem twierdzić, że tak to czuły. W namiocie panował idealny porządek i czystość. W przewidzianym porządku ustawione łóżka, pokryte zielonymi kocami. A na zewnątrz, u wejścia ustawione białej poszewce, obszyty koronkami, a przy każdym jaśku usadowiona pięknie ubrana lalka. To przemawiały niewyżyte lata dziecięce i narzeczcie urzeczywistnienie dotąd niespełnionych marzeń o lalce. Dówdztwo Kompanii oficjalnie o tym nie wiedziało.

Dziś prawie wszystkie, z którymi bezpośrednio lub pośrednio utrzymuję kontakt, powychodziły za mąż i mają jedno lub kilkoro dzieci. Poza wymienionymi dwiema kompaniami – już po naszym wyjeździe ze Środkowego Wschodu, zorganizowano tam po raz drugi 320 Kompanię Transportową w celu szkolenia nowych kierownic jako uzupełnienie dla kompanii transportowych we Włoszech.

320 Kompania pracowała na terenie Egiptu i jako całość do Włoch nie wyjechała. Komendantką Kompanii była Krystyna Ostrowska-Belza. Należy przyjąć, że w sumie w służbie transportowej w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie było ponad 1 000 kobiet żołnierzy.

### Było to w Forli

Któregoś dnia moja gospodyni, Włoszka, u której wynajmowałam pokój, przyprowadziła do mnie jakiegoś Pana po cywilnemu, mówiąc że ten pan ma mi coś do powiedzenia. Mówić było trudno, bo gość mówił po jugosłowiańsku, a ja tego języka nie znałam. Przeplatał go więc trochę włoskim. Z tego co zrozumiałam, uciekł on od ludzi, którzy

go chcieli zamordować i prosił o pomoc, by się dostać do kogoś z naszego Sztabu Korpusu, bo ma zlecenie od swoich jugosłowiańskich władz.

Był to już późny wieczór, więc nic innego mi nie pozostało jak pościelić mu w przylegającej komorze i dać mu się wyspać. Rano, po śniadaniu wsadziłam go do łazika i pojechałszy do naszego Sztabu. Tam odszukałam kpt. Woźniaka i przekazałam mu mego niespodziewanego, nocnego gościa.

Po jakimś czasie dostałam od tego pana list pisany po jugosłowiańsku i załączoną od niego odznakę dla mnie – dotąd nie znaną. Pojechałam do płk. Wyslouchowej, która znalazła tłumacza. Załączam kopię tego listu. Odznakę z dużą literą „P” (pisana po rosyjsku) zaczęłam wtedy nosić na mojej „prawej” kieszeni munduru. Jest ona przypięta do mojego frencza, który w tym roku zdałam Fundacji i Centrum 2-go Korpusu w Orchard Lake, Michigan. Kopia listu ppłk. Zivosada d'Andrio jest też u was w moich papierach, ale na wszelki wypadek raz jeszcze go posyłam, by włożyć go do prawej kieszeni frencza, do której jest przypięta odznaka.



Browistawa Sanejko-Krasnicka II/27  
"Zapomniane dzieła" Oddz. dub.  
stoc. "Uspolnota Polska" Dublin 1995.

Dłusne lub krótsze uzmiarki dot  
Mamii Twojanowskiej, strony: 71, 77, 81-82,  
97-98, 137, 142, 247, 248, 316.

Fotografie Mamii Twojanowskiej,  
pojedyncze i grupowe, strony:  
258, 267-268, 270, 274, 280,  
283, 320.

B. Rojeli  
27.05.2015.

1992  
Mystic B. Kuesnicke 31/5/96

Leslie Kuesnicke 11/28

PAULINE FATHERS

NATIONAL SHRINE OF OUR LADY OF CZESTOCHOWA

P.O. BOX 2049, DOYLESTOWN, PA 18901, FERRY ROAD, BEACON HILL, PHONE /215/345-0600, 345-0601



POGRZEB DOWODCY PPEK MARII TROJANOWSKIEJ  
W AMERYKANSKIEJ CZESTOCHOWIE

W niedzielę, 24-go maja, b.r.,<sup>1992</sup> w święto Wieńczenia Grobów, złożyliśmy na wieczny odpoczynek prochy ś.p. ppłk Marii Trojanowskiej, wielkiej patriotki, żołnierza i wspaniałego dowódcy 316 Kompanii Transportowej PWSK PSZ. Jej doczesne szczątki spoczęły w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Amerykańskiej Częstochowy, obok pomnika, poświęconego tragedii polskich dzieci 2-ej wojny światowej, którego była fundatorką.

Po uroczystej Mszy św. o godz. 12-ej, której przewodniczył O. Zdzisław K.

Kijowski, prowincjał paulinów w Stanach Zjednoczonych, wyruszyła długa, kolorowa procesja na Cmentarz Wojskowy Amerykańskiej Częstochowy.

Procesji przewodniczył O. Jan Michałak, dyrektor cmentarza w towarzystwie

O. Michała Zembrzuskiego, założyciela Amerykańskiej Częstochowy i O. Mariana Załęckiego, dyrektora pielgrzymek. W procesji wzięły udział

delegacje SWAP, SPK, Korpusu Pomocniczego Pań, Związku Harcerstwa Polskiego w USA i blisko tysięczna grupa wiernych.

Przed wyjściem na zewnątrz, procesja zatrzymała się w kruchcie Sanktuarium, przy płycie poświęconej 316 Kompanii Transportowej, Pomocniczej

Wojskowej Służby Kobiet 2-go Korpusu, aby oddać cześć i pomodlić się za poległe kobiety-żołnierzy. Płyta została umieszczona w Sanktuarium

Amerykańskiej Częstochowy 24-go maja 1987, przy dużym, osobistym staraniu Kol. Bronisławy Kwaśnickiej-Sanejko, podwładnej ppłk Marii

Trojanowskiej. Okazją odsłonięcia płyty pamiątkowej był Światowy Zjazd Ochotniczek 316 Kompanii Transportowej PWSK 2-go Korpusu Polskich Sił

Zbrojnych, w Amerykańskiej Częstochowie. Przy płycie modlono się za dusze polskich kobiet i dziewcząt uwięzionych i wymordowanych w łagrach so-

wieckich oraz za tych, które przyłączyły się do armii gen. Władysława Andersa i dzielnie walczyły obok polskich żołnierzy na terenie Palestyny,

Iraku, Egiptu i Włoch (Monte Cassino, Ancona, Bologna) w latach 1942-1946.

II/2  
a w imieniu 316 Kompanii Transportowej b.komendantka plutonu por.  
Aleksandra Kiersznowska -Wysocka.

Złożono na mogile kwiaty biało-czerwone - kwiaty ojczyste - pewny znak  
naszej wdzięcznej miłości. One napewno zwiędną, ale wdzięczna pamięć  
o dowódcy, ppłk Marii Trojanowskiej pozostanie w naszych sercach na  
zawsze żywa.

Wieńce złożyły byłe podkomendne z 5 KDP, z 316 i 317 Kompanii Transpor-  
towych, zamieszkały w USA i Kanadzie.

CZESC JEJ SWIETLANEJ PAMIECI !

O. Marian Załęcki, OSP

*Marian Załęcki*

Doylestown, dn. 5-go czerwca, 1992.



- i/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora  
- Protokół N° 56 (2 ND) Polish Corps Archives and Library,  
Rkp. kserokopia, K-1, s. 1-2.



PROTOKÓŁ N° 56

PRZYJĘCIA MATERIAŁÓW NADEŚLANYCH DO CENTRUM ŻKOR

PRZY ZAKŁADACH NAUKOWYCH W ORCHARD LAKE, M

13 lipiec 1988

T) Przekazane przez Panią Marię Trojanowską z  
Los Angeles, California - majora P.S.K. 2 Korpusu:

- 1) Koperta z papierami szlacheckimi i rachunkami  
w odniesieniu do 316 Komp. Transp. i Rady Kobi  
Żołnierzy P.S.Z.
- 2) Zarządzenie Naczelnego Wódca o awansach oficerów  
w Pomoc. Świadc. Kobiet, ze starszeństwem 1-1-194
- 3) Koperta z dokumentami wojskowymi i odznaczeniami  
wojskowymi: S.P.K. m.in. 2-krotny Krzyż Walecznych
- 4) Koperta z legitymacjami wojskowymi i odznaczeniami
- 5) Odznaczenia: Krzyż M.C., Medal Wopka, Medal A.K. i  
znak identyfikacji.
- 6) Kopie z herbasa.
- 7) Kopie dokumentów wziętych w Z.S.R.R.
- 8) Utwory literackie i poetyckie:
  - a) Oryginał utworu "Nowa Szkota", dla dzieci
  - b) Koperta z "Matrosia", "Ciapew's", "Kotysanka", "Dzieci
  - c) "Nieudana Wyprawa Kwieńska i jej skutki", oraz "W wzię-  
-tym Kalejdoskopie", i "Walentowa"
  - d) "Bajka" - oryginalny rękopis.
  - e) Opracowanie pt. "Pamięci Zaginionych Krzyży"  
(Zeszyt N° 58 - Zeszytów Historycznych Kultury z  
listem Gen W. Andersa do autorki.)

(2)

PROTOKÓŁ N° 56 c.d.

(przekazane przez p. M. Trejnowską) Sign. \_\_\_\_\_

- 9) Mundur oficerski majora P.S.K. z baretkami odznaczeń
- 10) Bluza battle-dress'u.

II) Przekazane przez inż. Henryka Scigotę z Chicago:

- 1) "Katyn and other unknown places of Martyrdom of Polish prisoners of war in the U.S.S.R." by B. Bereziński - chairman of the Katyn Massacre Remembr. Committee
- 2) "Katyn 1940" - The Story of A Soviet Massmurder, (issued in New Britain, Conn. 1983. - third edition)
- 3) "Reprinting of House Report N° 2505, 82<sup>nd</sup> Congress, Concerning the Katyn Forest Massacre" (U.S. House of Represent.)
- 4) "Wolny Polak" - czasopismo Zw. b.Żołn. S.BSK, - Grudzień 87.
- 5) Kopia listu do Prezyd. Reagana, z odpowiedzisz "Białego Domu"
- 6) Korespondencja w sprawie książki Jan Korszunowa pt. "The Race for Rome"
- 7) Kopia korespondencji w sprawie oskarżeń niemieckich o demoralizację i zdradę jeńcami niemieckimi i akcji wypatnienia i obrony imienia żołnierza Polskiego przeprowadzonej przez p. H. Scigotę.

Za zgodność:

Bogdan A. Grodzki

BOHDAN A. GRODZKI  
CENTRUM 2 KORPUSU  
PRZY ZAKŁ. NAUK W  
ORCHARD LAKE.

Roman Nir

KS. DR. ROMAN NIR,  
DYR. ARCHIWUM ZAKŁ. NAUK,  
KURATOR ARCHIWUM CENTRUM  
2 KORPUSU

J. 361/WSK

PKK

++

TROJANOWSKA Maria

ps. „Rysia”

v. Nazwiskowe karty informacyjne: 12

J. 361

PSK

miej Trojanowski Marek

" termin do Grotte  
" sra przy granicy z m. Taborowym  
" niedziada w wyżekim w 1940r w D mi-  
" propietywka,  
" także P Pienkise  
" m. Taborowski i R. Ruchowski

zob. Zarys by H. H. 1981/56 s 153

- miała pójść na przesłanie 1940r. do Francji

tamże art m. Trojanowski

" wieloletnie wyprawy kierunkowe i jej skutki"  
A. 157 - 187



T 361

Bon / Wsu

Prtk Trojanowska Maria

zob Komunikat 5/44/9, Ameryk Okragn

- była żołn PK, Warszawa ~~Katol PK 3.3~~  
Kumarka

- aresztowane przy przeprowadzeniu obywatel  
polskich na terenie węgierskiej

Po podrocznym pobyciu w więzieniu wydalono  
na Syberię

Emolentowa Pamięka Dzieci Polaków Ofiar  
II wojny Świat. w Daylesford (Sanctuary District)

W wieku lat 86 wulka dridaerka apt i pracy  
człowiek na skutek udarow krwi do usznej stoa-  
ciła paucie - przebywa w szpitalu w Los Angeles

Mł.aspirantka Maria Trojanowska ur. w .....  
Komendantka powiatowa PWK na powiat Grójec. Łączni-  
czka KG V/k AK, kurierka do Lwowa, towarzysząca  
gen.M.Karaszewicz-Tokarzewskiemu. Oboje aresztowani  
na granicy. Komendantka komp. w Armii gen.Andersa,  
ps."Rysia". Mieszka w USA.-

kg Ak  
PS k  
Armii Andersa

HSz.

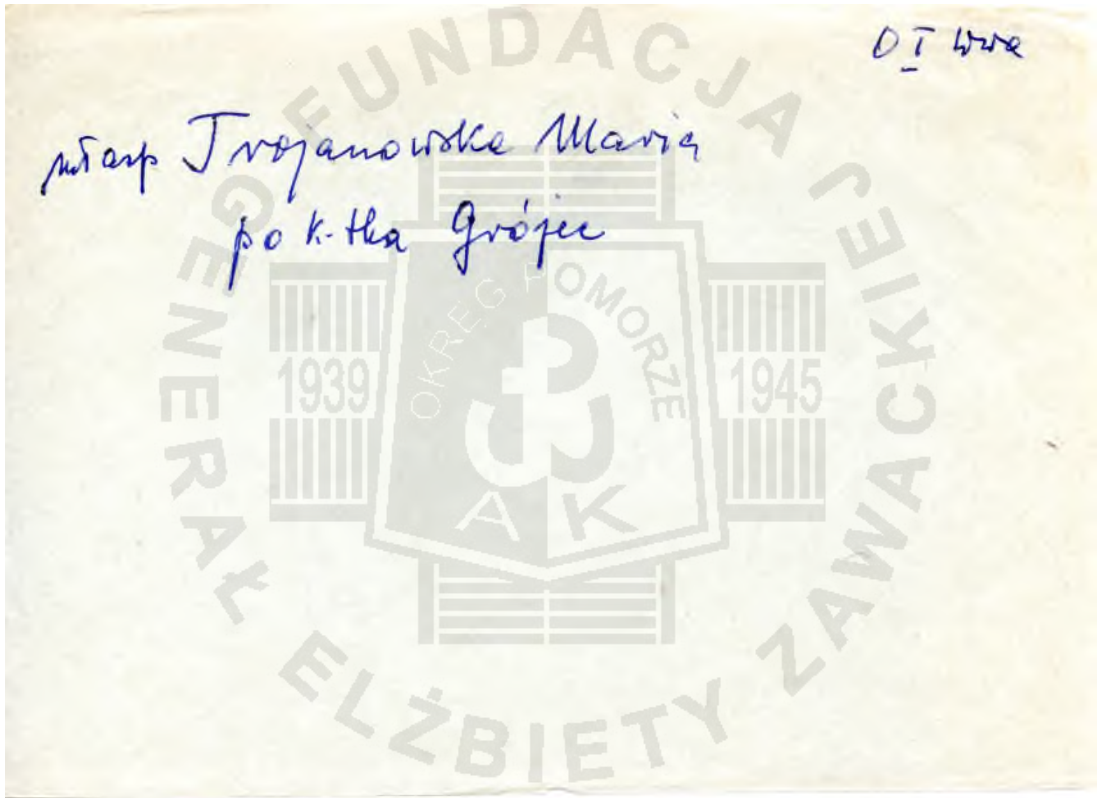
W

Trójnajska Maria, mjr

PSK  
kg AK  
WP Wschod  
Anni Anders



E Rak .96



T361

ZSRR

Trojanowska Maria

PEK

autorka "Pamięci zaginionych krzyży"

Wyd. Biblioteka "KULTURY" w Paryżu,  
tom 344

M. Trojanowska, "Pamięci zaginionych krzyży"  
str.

-2

T 361

PSK  
WPWschód

Trojanowska Maria, mjr

"Jednodniówka", str. 38-40

K.Wojt., 96.

P.S.K.

Trojjanowska Maria

Inspektorka P.S.K. 316 i 317 k.1

Major

Burutuk - Palestyna - Egipt, Sudan  
Anglia

Wm. ob. w U.S.A

W. ob. Album 316 k.1

Zapomnienie obwoje  
s. 27 113

T. Blaszczyk  
1918

PSK

mjr TROMANOWSKA MARIA

Dowódca 316 Kompanii Transportowej w czasie kompanii w 1stkiej 2 Korpusu PSK.

zob.:

S. Bieganiski i A. Szukta, Polski wysiłek zbrojny w II wojnie światowej [w:] Prace Kongresu Kultury Polskiej na Obczyźnie Londyn 14-20 X 1985 pod red. E. Szubermana, s. 113

P. 2003



120  
ZSRR

Trojauowska Maria  
rosyjska  
(autorka "Historii organizacji Pomocniczej  
Siły Kobiet w Polskich Siłach Ubrojonych  
na terenie Rosji),  
(Młodym dla organizacji PSK opracował  
siet Szabla Armii pTK L. Okulicki 30. X. 1941  
- atówkowo),  
Rokas petry dawawny 6. I. 1942.

Zes. list. 58 (1981) s. 3-43

JN-K, 2004

T. 361 T. S.P.P.

PL SK  
2 Korpus

†† Jrodzanskie Maria  
Ktka PSK 5 D.P.

zob 2 Damin Wilczynski Wojrko Polskie w Traku  
S. 134

22 99

i

SzP PSK

++ Trojanowska Maria

■ Inspektorka pptk. Maria Trojanowska

zmarła 31 grudnia 1991 r. w Los Angeles.

Prochy śp. pptk. M. Trojanowskiej spoczywają na Polskim Cmentarzu Weteranów w Doylestown - Pensylwania.

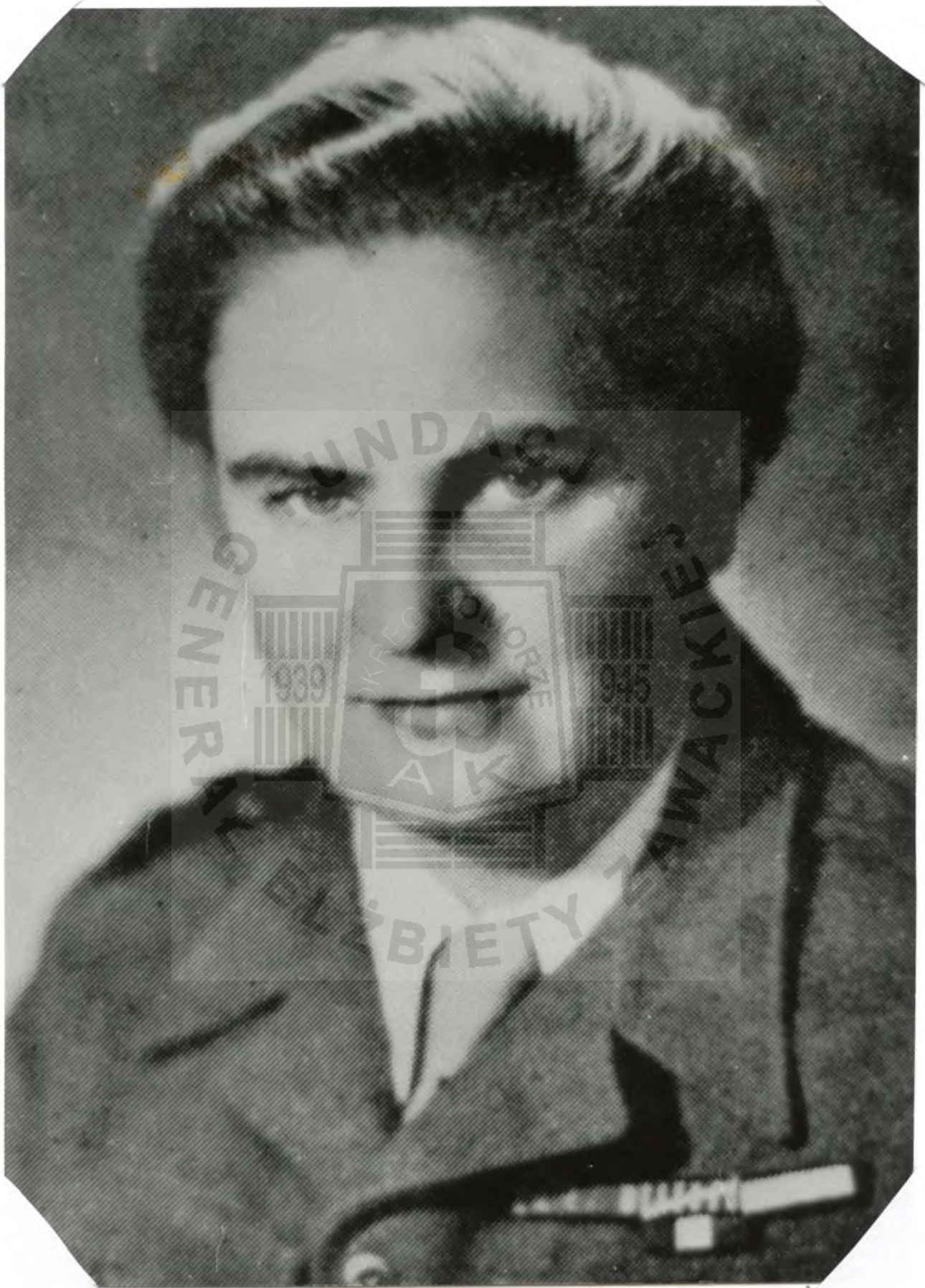
## TROJANOWSKA Maria

---

VI. Fotografie

1. Zdjęcie okupacyjne w mundurze [b.d.] reprodukcja, (16.8 x 22.5) szt.
2. Zdjęcie j.w. Hydnuk Komp. rozmiar pocztówkowy.
3. Fotografia z dn. 9. III. 1943r., Credeva. Zdjęcie legitymacyjne.





Mjr. Trojanowska Mała  
zdjęcie - jako Insp. Służb Transportowych  
PWsk 2 Korpusu  
Jca. 316 Komp. Transp.



1. WSK - Jeszli osobowe
2. T. 361 / WSK
3. rozpr. 8 x 11,5
- 4.
5. TRUJANOWSKA Maria
- 6.
7. zob. Szejko: Zapomniane dziewczęta
8. Uwagi: opis fotogr.  
mjr Maria Trujanowska  
ppłk dra 316 komp.  
Traszp.



Fot. przetw. p. Bronisławie  
 Szejko-Kwasniewska  
 18. X 1996 m





TROJANOWSKA

Trojanszka Maria



Trojanszka Maria

++  
TROJANOWSKA MARIA



~~ARCHIWUM~~  
~~Elżbiety Zawackiej~~  
~~1939-1945~~  
~~Elżbiety Zawackiej~~  
~~1939-1945~~



**TROJANOWSKA  
MARIA**

Тројановска марија



TRÓJANOWSKA Maria



Spółdzielnia Pracy „POLIGRAFIKA”  
Bartoszewo, ul. Służba Poczta 2

TECZKA DO AKT

1824-931 BN-737065-07

Cena um. 39 zł